



Bakteria 078

MARIAN LEON BIELICKI

BAKTERIA 078

POWIEŚĆ

ROK 1952. WYDANIE II.

I Poruszenie w policji

O godzinie 15.30 komendant policji piątego obwodu Tokio kapitan Jamagisi zapisał w księdze raportów: „Demonstracja na Placu Cesarskim została rozpędzona, porucznika Tamura i podporucznika Sotojara podają ilość zabitych demonstrantów - 4, rannych 37. 23 policjantów doznało obrażeń. Na miejscu demonstracji aresztowano 14 osób, winnych podburzania ludności. Jednego z nich, Takeo Fukudę, schwytano w chwili, gdy wygłaszał przemówienie, w którym wspominał o zbrodniarzach i wojnie bakteriologicznej. Aresztowany Takeo Fukuda (dokumentów przy nim nie znaleziono, takie nazwisko podał), jako najbardziej podejrzany, został zgodnie z instrukcją przesłany pod eskortą do dyspozycji MP. Pozostali aresztowani znajdują się w areszcie policyjnym”.

Kapitan Jamagisi odłożył pędzelek i zadzwonił. W drzwiach stanął policjant.

- Przede wszystkim herbaty - zarządził kapitan. - Po drugie, przyślij mi Tokawę.

Policjant skrył się za drzwiami. Jamagisi schował raport do koperty, zakleił ją i otarł chusteczką kropelki potu, spływające za uszami.

- Ale upał - westchnął.

Koś zapukał. Jamagisi schował chusteczkę, twarz jego odzyskała wyraz powagi.

- Wejść.

Wszedł sierżant policji, zatrzymał się na progu i służbiście trzasnął obcasami - Chodź tu, Tokawa - przywołał kapitan przybyłego policjanta. - Mam tu dokument, który trzeba odwieźć do prefektury i oddać pułkownikowi. Po powrocie zameldujesz mi o wykonaniu rozkazu.

Tokawa odszedł. Po chwili zjawił się policjant z herbatą.

- Teraz nie wpuszczaj do mnie nikogo - mruknął kapitan. - Będę bardzo zajęty.

Policjant postawił herbatę na biurku, zsalutował i wycofał się z gabinetu. Kapitan Jamagisi wyciągnął z szuflady wypchaną papierami teczkę, rozłożył notatki na stole, rozluźnił uwierający go pas i rozsiadł się wygodnie. Po kilku minutach drzemał nad niedopitą filiżanką herbaty.

*

Nad drzwiami prowadzącymi do gabinetu szefa prefektury policji płonęło czerwone światełko. Urzędujący w sekretariacie adiutant bezszelestnie poruszał się po pokoju. Czerwone światełko oznaczało, że szef jest bardzo zajęty. Adiutant półgłosem rzucał rozkazy i odpowiedzi do mikrofonu. Szef odbywał konferencję.

W przestronnym, jasnym gabinecie pułkownika Riusi przebywał gość. Niski otyły mężczyzna, o apoplektycznym wyglądzie, z cieniutkim siwym wąsikiem nad górną wargą, palił amerykańskie cygaro i z pobłażliwym uśmiechem wysłuchiwał tyrad pułkownika. W pewnej chwili zniecierpliwiony machnął ręką. Pułkownik widząc ten gest zamilkł i z szacunkiem schylił głowę.

- Nie zgadzam się z tobą, drogi Riusi - oświadczył po chwili namysłu gość. - Niewątpliwie obecność Amerykanów w Japonii może w pewnym stopniu ranić naszą dumę narodową. Podkreślam - uniósł wskazujący palec w górę - może, ale nie powinna. Sam przyznasz, że w stosunku do nas, do tych ludzi,

którzy reprezentują wielkość Japonii, Amerykanie zachowują się nader grzecznie. Powiedziałbym po przyjacielsku.

- Ale pchają nos we wszystko - wtrącił gniewnie pułkownik.

Gość skrzywił się z niesmakiem.

- Stałeś się nerwowy, mój drogi Riusi. Nie sądzę, by to było korzystne dla twojej służby.

Pułkownik znów skłonił głowę na znak szacunku. Usiadł spokojnie obok gościa.

- Otóż - gość wrócił do przerwanej myśli - doszliśmy do wniosku, że Amerykanie zachowują się wobec nas jak przyjaciele. Czy to prawda? Stanowczo tak. Wystarczy przyjrzeć się ich działalności od chwili wkroczenia do Japonii, aby zrozumieć, że je chwilą zakończenia wojny przestali oni widzieć w nas wrogów. Sądzę, że czytujesz amerykańskie gazety. Nieraz chyba spotykałeś oświadczenia rozsądnych polityków amerykańskich, że w świetle wydarzeń powojennych staje się coraz bardziej jasne, jak wielki błąd popełniły Stany Zjednoczone występując w ostatniej Wojnie przeciw Niemcom i nam.

Pułkownik skinął głową potakująco.

- A widzisz - uśmiechnął się gość. - Trzeba tylko rozumować logicznie. W chwili obecnej Japonia jest jedynym miejscem w Azji, gdzie Amerykanie czują się jako tako pewnie. Podkreślam - jako tako. Czy w naszych interesach leży osłabienie ich pozycji? Niechaj nas szinto strzeże. Ich przegrana oznacza naszą klęskę. Spójrz na miasto - skinął ręką ku oknu, zza którego dolatywał wielkomięjski gwar. - Tam przecież wre jak w kotle. Siedzimy, przyjacielu - pochylił się ku pułkownikowi i dokończył szeptem - na beczce z prochem. Ten przekłęty motłoch - skrzywił pogardliwie usta - nie chce się pogodzić z faktem, że mimo klęski wojennej nic się w

Japonii nie zmieniło, że u steru władzy stoimy nadal my, a nie ludzie ulicy. I tu musimy pamiętać, że tylko dzięki Amerykanom stare obyczaje nie zostały u nas podeptane. To Amerykanom właśnie zawdzięczamy, że W wyniku wojny, choć wiele rzeczy i spraw legło w gruzach, podstawa naszego bytu - palcem wskazał pułkownika i siebie - idea „tanno” nie doznała szwanku. Rozumiesz?

- Tak, generale - odpowiedział pułkownik.

- Dlatego nie powinienes, drogi Riusi, tak bardzo psioczyć na Amerykanów. Gdyby nie oni, kto wie, czy zamiast w tym gabinecie, nie siedziałbyś w jednej z licznych cel, wtrącony przez tych, których teraz ty sam skwapliwie tam wysyłasz. A sny o potędze i wielkości - dodał na chwili w zamyśleniu - spełnić się mogą jedynie w oparciu o naszych nowych przyjaciół. Nie zapominaj, że łączy ich z nami wspólne niebezpieczeństwo. Nie czas dziś na waśnie i kłótnie między nami. Wiesz dobrze, że naszemu światu grozi zagłada - gotują ją ci, którzy dziś tylko wrzeszczą na ulicach o równości i wolności, a jutro od krzyków mogą przejść do czynów. Rewolucja, drogi Riusi - pamiętaj, zetknąłem się z nią po raz pierwszy w 1918 roku, kiedy dowodziłem jednym z naszych oddziałów na Syberii - otóż rewolucja to straszna, nieubłagana siła...

Na biurku trzykrotnie zabrzączał dzwonek. Sygnał, że adiutant ma sprawę, jego zdaniem, niecierpiącą zwłoki. Pułkownik spojrzeniem przeprosił gościa, zbliżył się do stołu i nacisnął guziczek. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł adiutant.

- Przyniesiono meldunek od kapitana Jamagisi z piątego obwodu w sprawie dzisiejszych zajęć.

- Proszę zostawić.

Adiutant wyszedł. Pułkownik ujął palcami kartkę i zbliżył ją do oczu. Był krótkowidzem, ale nie uznawał okularów.

- No, co tam słyhać? - zapytał gość. Pułkownik przestał czytać.

- Nic specjalnego, generale. Demonstrację rozpędzono. Jest kilka ofiar. Poza tym ujęto jednego prowodyra. Kapitan Jamagisi to jeden z moich najzdolniejszych oficerów. Nie zasypia gruszek w popiele.

Gość tytułowany generałem, wstał, podszedł do pułkownika i zajrzał mu przez ramię do meldunku. Na twarzy jego malował się wyraz zadowolenia. Przebiegł oczami podany usłudźnie meldunek i nagle zmarszczył czoło. Odruchowo dotknął palcami wąsów, potem zwracając meldunek pułkownikowi, potarł policzek.

- Fukuda? - zdziwił się na głos. Znów się zamyślił. - Fukuda. Znam skąciś to nazwisko. Zaraz... zaraz... Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, ale...to było na pewno związane z jakimś niezbyt miłym wydarzeniem... Fukuda... bakterie... - i naraz, jakby tknięty prądem elektrycznym, szarpnął się całym ciałem ku zdumionemu pułkownikowi. - Mam. Już wiem. Łącz się natychmiast z pułkownikiem Crosby w dowództwie amerykańskim. Prędzej, Riusi. Nareszcie go dopadnę - wysapał.

*

Sierżant Tokawa należał do ludzi flegmatycznych. Kiedy człowiek się śpieszy - mawiał w gronie przyjaciół - zdiera obuwie, na które nie jest znów tak łatwo zarobić, a poza tym zbyt często wpada w oko swym przełożonym, którzy uważają

go za najbardziej odpowiedniego do wykonywania wszystkich zleceń.

W ogóle sierżant Tokawa nie należał do ludzi zadowolonych z życia.

- Psie czasy - tłumaczył przyjaciołom. - Co innego było dawniej. Służył sobie człowiek na Korei i żył jak król. Phi - parskał gniewnie - buty to dziś cały kłopot. A wtedy... ho, ho. brało się koreańskiego szewca do komisariatu, mówiło mu się parę słów do słuchu i po kilku dniach człowiek miał w domu piękne butki. Szedł, bracie, człowiek ulicą, a wszystko z drogi ustępowało. To rozumiem. Bieda zaczęła się dopiero potem - tu zamyślał się. - A teraz tu, w swoim własnym kraju, człowiek nie ma pięciu minut spokojnych. Wciąż jakieś demonstracje, manifestacje, strajki. Idziesz, a wszyscy na ciebie wilkiem patrzą. Tak samo jak na Korei. Idziesz i myślisz, że jakiś kamień może ci łeb rozwalić. Tfu! Dlatego nigdzie się nie pcham ani nie śpieszę.

Zgodnie z wyznawaną przez siebie zasadą sierżant policji Tokawa, odniósłszy meldunek kapitana Jamagisi do prefektury, wolniutkim krokiem wracał do obwodu. Szedł, jak zwykle, oddając się ponurym rozmyśleniom. Przed czterema dniami Jamagisi polecił mu kierować akcją przeciw demonstrantom. Kamień furknął bodaj o kilka centymetrów od głowy sierżanta. Dobrze, że dziś udało mu się wykręcić. Porucznik Tamura opowiadał, że dużo policjantów zostało rannych. Tokawa wyobraził sobie na miejscu któregoś z nich i poczuł, jak mu po plecach przechodzą ciarki. Rozejrzał się po ulicy. Samochody śpieszyły we wszystkich kierunkach. Przeważały auta z amerykańskimi znakami rozpoznawczymi, które pędziły nie zważając na żadne przepisy.

- Diabły - zaklął w duchu Tokawa - przez nich tyle katastrof w mieście. Jadą jak opętani.

W tej chwili uwagę Tokawy przykuł tłum zgromadzony na rogu ulicy Ludzie coś krzyczeli, biegali tam i z powrotem. Tokawa początkowo chciał się wycofać, pomny, że tam gdzie jest dużo ludzi, policjant może oberwać. Zauważył jednak, że wokół zbiegowiska krąży dużo dzieci. To oznacza - pomyślał - po prostu jakiś wypadek.

Sierżant Tokawa obciągnął fałdy munduru i z groźną miną ruszył w stronę tłumu. Jakiś umorusany chłopak, drepcąc obok niego, opowiadał mu, że przed kilku minutami miała tu miejsce katastrofa. Krzyczący tłum otacza właśnie rozbity samochód.

Tokawa, gniewnie pokrzykując, zaczął rozpychać ludzi. Rozstępowano się niechętnie. Wreszcie sierżant dotarł do szczątków samochodu. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że zdemolowane auto było własnością policji. Upewnił go w tym widok policjanta, który ocierając z twarzy krew, wyciągał z rozbitego wozu szofera.

- Furniczi! - zawołał Tokawa przyjrzawszy się policjantowi.
- Co tu robisz? Co się stało?

Tamten obejrzał się i widząc sierżanta zamarł w pozycji na baczność.

- Katastrofa się wydarzyła, panie sierżancie. Jechaliśmy - głos jego zniżył się do szeptu - do MP z aresztantem. Sirodzuki prowadził wóz. Ja siedziałem obok aresztowanego. Patrzę przed siebie, a tu przed nami „Willys” kręci się, jakby upił się wódką. A potem huknęło, trzasnęło... i oto koniec - żalonym gestem wskazał resztki samochodu.

Zahuczała syrena karetki pogotowia. Tłum rozstał się. Zamigotały białe fartuchy sanitariuszy.

Tokawa patrzył na to posępnym okiem. Nagle coś sobie przypomniał.

- A gdzie aresztant? - zachrypiął prosto do ucha policjantowi.

Ten bezradnie rozłożył ręce i głosem, w którym dźwięczał Strach, odpowiedział cicho: - Uciekł.

*

Natrętny dźwięk brzęczyka telefonicznego wciskał się w uszy kapitana Jamagisi, wyrrywając go ze słodkiej drzemki. Kapitan otworzył jedno oko, zerknął gniewnie na telefon, machnął pogardliwie ręką i już miał zamiar pogрузić się ponownie we śnie, gdy naraz dotarło do jego świadomości, że dzwonił bezpośredni telefon łączący go z policją amerykańską. Jamagisi natychmiast otworzył drugie oko i chwycił słuchawkę.

Po tamtej stronie jakiś nieznajomy bas zahuczał:

- Hallo, boy. Tu porucznik Booge s MP. Jest tu taka sprawa.

- Słucham.

W miarę jak bas na drugim krańcu przewodu huczał, z twarzy Jamagisi znikał uprzejmy uśmiech, kąciki warg opadały, na czole zjawiała się pionowa zmarszczka - wyraz zdumienia.

- Jak to, nie ma go? - wykrzyknął wreszcie zniecierpliwiony.

- Przed godziną wysłaliśmy go pod eskortą do was... Co?... a pewno?... Sprawdźcie jeszcze raz. To niemożliwe, Tak... Tak, Ja też sprawdzę... Kto? Kto się interesuje... Och, sam pułkownik Crosby?... A znam, naturalnie wiem kto to jest... Nie... Zaraz, nie... Zaraz sprawdzę i zatelefonuję do was... Tak, ale wy tam u siebie też sprawdźcie.

Odłożył słuchawkę i nacisnął dzwonek.

W drzwiach ukazał się policjant.

- Wezwać natychmiast podporucznika Sotojarę. Żywo! Spod ziemi mi go wynaleźć!

Kapitan Jamagisi wstał i spojrzął na zegarek. Niemożliwe. Amerykanie musieli coś poplątać. Dokładnie 65 minut temu wydał rozkaz odesłania aresztowanego Fukudy do dowództwa MP. czyżby jeszcze nie wykonano rozkazu? A poza tym, co mogło się stać, że sam pułkownik Crosby zainteresował się aresztowanym? Crosby zajmuje się tylko sprawami wyjątkowej wagi. A może - na twarzy Jamagisi zaigrał uśmiech rozmarzenia - a może Fukuda to taka sprawa wyjątkowej wagi. Może to jakiś ważny komunista. Jeżeli tak, to Jamagisi już ma upragniony awans w kieszeni. Za takiego ptaszka czeka go nagroda.

Wszedł podporucznik Sotojara. Jamagisi nachmurzył się.

- Podporuczniku Sotojara, czy mój rozkaz w sprawie aresztowanego komunisty nazwiskiem Fukuda został wykonany?

Słowo „komunisty” wypowiedział Jamagisi ze szczególnym naciskiem, chcąc - w ten sposób dać do zrozumienia podwładnemu, że on, Jamagisi, dobrze wie, kogo ujęto.

- Tak jest, panie kapitanie. Auto z aresztowanym wyjechało przed godziną.

Jamagisi uśmiechnął się.

- W porządku - odpowiedział. - Przewidywałem to. Jest pan wolny, podporuczniku, ale na przyszłość proszę pamiętać: o wykonaniu rozkazu meldować mi natychmiast.

Sotojara strzelił obcasami, ale zanim zdążył odejść do drzwi, do gabinetu kapitana wpadł sierżant Tokawa.

- Panie... Panie kapitanie! - zawołał od drzwi. Jamagisi zerwał się. Zamiast skrzyknąć policjanta za nieprzepisowe

zachowanie, spojrział nań i zdumiony zapytał: - Co jest, Tokawa? Co się stało?

Czuł, że lęk ściska mu serce. W koniuszkach palców, pod paznokciami, zrobiło mu się zimno...

- Auto, które wiozło aresztowanego do Amerykanów, rozbite. Szofer nie żyje. Eksportujący policjant Furniczi ranny...

- A co z aresztowanym, ośle? - huknął Jamagisi.

- Uciekł - wystękał Tokawa.

- Uciekł? - Jamagisi z wrażenia opadł na krzesło. - Uciekł? Jak to uciekł?... Gdzie uciekł? - zawył nieludzkim głosem. - Kto uciekł, bałwanie? Aresztowany?

- Tak.

- Dawać mi go tu - wrzasnął Jamagisi. - Dawać mi tu tego drania. Furniczi. Zabiję. Zastrzelę. Pozwolił uciec takiemu..

Tokawa usiłował tyłem wycofać się za drzwi. W progu zatrzymał go okrzyk kapitana.

- Stój. Skąd wiesz o tym? Gdzie Fumiczi?

- Opatrują go właśnie w ambulatorium. Jamagisi huknął pięścią w stół.

- Sprowadzić mi go tu! Już!

Oczami wyobraźni widział, jak ulatnia się awans. Złapał ptaszka, którym zainteresował się pułkownik Crosby, i... ptaszek uciekł.

Na biurku zadzwonił telefon. Kapitan Jamagisi zrezygnowanym ruchem sięgnął po słuchawkę.

*

Generał dreptał po gabinecie, a pułkownik siedział w fotelu i chciwie chłonał każde jego słowo. Wszystko, co usłyszał, brzmiało jak bajka.

- Rozumiesz teraz, Riusi, dlaczego chcę schwytać tego drania, dlaczego musimy skończyć z nim raz na zawsze.

Pułkownik potakiwał głową.

- Jeżeli to jest ten sam człowiek, o którym ci opowiadałem, poproszę cię, abyś mi pozwolił osobiście załatwić całą sprawę z Amerykanami. Nie jestem wprawdzie na razie osobą urzędową, ale... - generał uśmiechnął się i zmrużył jedno oko - sam wiesz, że liczą się ze mną wszyscy.

- Ależ naturalnie, generale. Skoro tylko otrzymamy odpowiedź od pułkownika Crosby'ego, jedziemy na miejsce. Chciałbym być obecny przy tym, jak pan będzie badał tego Fukudę.

Generał przyjaźnie poklepał pułkownika po ramieniu.

- Przyda ci się, Riusi, przyda mała lekcja. Choć wiem, że nie traciłeś czasu. W szkole żandarmerii byłeś zawsze moim najlepszym uczniem.

Pułkownik uśmiechnął się.

W pokoju zapadła cisza zakłócona jedynie odgłosami dolatującymi z ulicy. Wreszcie generał przerwał milczenie.

- Już wtedy byłem przekonany, że Fukuda jest komunistą, wie, czy go wówczas komuniści nie nasłali do nas. Ale kto mógł wówczas pomyśleć. Przyjechał, opowiadał mi o tym pułkownik Macumura, z polecenia samego Isii. Tak, tak przyjacielu - Westchnął - czasem trudno jest od razu poznać, z kim się ma czynienia...

Dzwonek na biurka zadzwieczał trzykrotnie. Pułkownik Riusi nacisnął guzik dwa razy i podniósł słuchawkę. Chwilę słuchał milczeniu. Potem spojrzął na generała i skinął głową.

- Dobrze, dobrze. Zaraz będziemy - i odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - zainteresował się generał.
- Telefonowano z biura pułkownika Crosby, który prosi, żebyśmy do niego wpadli.
- A widzisz, Riusi - generał i zadowoleniem zatarł ręce - widzisz, jak pracują Amerykanie. Mówiłem ci. To pierwszorzędni sojusznicy.

*

Pułkownik Crosby otworzył podłużną bańkę i piwem i zawartość jej przelał do wysokiej szklanki. Popijał drobnymi łykami, równocześnie zaś wolną ręką ocierał pot z czoła. Siedział na krześle z nogami wysuniętymi do przodu, bez marynarki, w rozchełstanej koszuli i z przekrzywionym krawatem. Co kilka łyków sapał i wydymając policzki, hałaśliwie wydymował powietrze.

Nagle coś sobie przypomniał.

- Rooge! Rooge! - krzyknął, w stronę drzwi.

Wszedł opasty, niski mężczyzna z papierosem zwisającym w kąciu warg. Mundur porucznika wisiał na nim jak worek.

- Masz, napij się piwa - mruknął Crosby - i gadaj, co załatwiłeś.

- Skrzyczałem tego kretyna Jamagisi z piątego obwodu i zatelefonowałem do Riusi, żeby tu przyszedł razem z twoim przyjacielem Kanadzawą.

- Dobrze, ale czy dowiedziałeś się, co to za figura ten cały Fukuda. Musi to być sprytna bestia, że tak zwiął.

- Nikt nie wie. Sprawdziłem w G-2 i też nic w ich kartotekach takie nazwisko nie figuruje. Zresztą czego się śpieszysz. Ten twój żandarm wszystko ci powie...

- Nie kpij, Rooge. Nie zapominaj, że jesteś w gabinecie swego szefa.

Rooge wzruszył pogardliwie ramionami.

- A poza tym wiedz - Crosby nie zwrócił nawet uwagi na gest podwładnego - że Kanadzawą to głowa, jakich niewiele się spotyka w żandarmerii. Technikę naszej pracy ma w małym palcu. Zna się na rzeczy jak nikt. To chyba jeden z najlepszych specjalistów od spraw komunistycznych.

- No to co?

- Rooge stanowczo nie nadajesz się do służby w MP. Byłeś i pozostaniesz giełdowym naganiaczem. Pomyśl. Skoro Kanadzawa robi ruch o tego Fukudę, to znaczy, że jest to jakaś grubsza ryba. A my o nim nic nie wiemy. Ładnie wyglądamy, co?

- Phi, trzeba się do tego umiejętnie zabrać i wszystko od staruszka wyciągnąć. Tego mnie uczono właśnie na giełdzie.

Crosby roześmiał się hałaśliwie.

- To też metoda Ale gorsza sprawa, że tego Fukudy nie ma, Zgubili go po drodze.; - Nas to nie obchodzi - mruknął Rooge. - Za to odpowiada ten dureń Jamagisi.

- Każdemu może się coś takiego przytrafić - zauważył Crosby,

- Pewnie Każdy business ma swoje ryzyko... Na biurku napaliła się zielona lampka.

- Kooge, zobacz, kto przyszedł, może to już oni - powiedział Crosby i zaczął zapinać guziki u koszuli.

Rooge wyszedł na chwilę, ale zaraz wrócił.

- Tak, to oni.

- Proś.

Ceremonia powitalna nie trwała zbyt długo. Crosby zaproponował obu Japończykom piwo. Riusi, krzywiąc się niemiłosiernie, wypił nieco, Kanadzawa zaś odmówił.

- Dawnośmy się nie widzieli, generale - zaczął Crosby, gdy goście się rozsiadli.

- Nic dziwnego, pułkowniku. Nie należy zabierać czasu ludziom, którzy poświęcają go ważnym sprawom.

- Świetna zasada - mruknął Rooge, - Człowiek businessu nie powinien marnować czasu.

Generał spojrział na porucznika, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego uśmiechnął się lekko i zwrócił do pułkownika Crosby - Czy pański współpracownik jest...

- Ależ tak generale, to mój najbliższy współpracownik, porucznik Rooge. Kieruje sekcją badania działalności antyamerykańskiej, A pan sobie chyba zdaje sprawę z tego, że dziś działalność antyamerykańską uprawiają ci sami wywrotowcy, którymi zajmuje się u pułkownika Riusi sekcja zwalczania działalności antyjapońskiej.

- Bez wątpienia - odrzekł generał.

Rozmowa utknęła. Crosby kilka chwil siedział w wypełniając je sączeniem piwa Raz po raz spoglądał na ale ci siedzieli nieporuszenie Crosby zaklął w duchu świetne rady daje Rooge, tylko jak je zastosować, skoro się ma do czynienia nie z gadatliwym Amerykaninem, lecz Japończykami. Rozumiał, że Kanadzawa i Riusi nie zaczną mówić o sprawie, która ich tu sprowadziła, zanim on nie poruszy tego tematu. Ale jak zacząć Prawdopodobnie Kiusi nie wie jeszcze, że aresztant uciekł. Rooge telefonował do niego natychmiast po rozmowie z Jamagisi. Japończycy musieli od razu wyjechać tu, a więc raport jeszcze do nich nie dotarł, zresztą Jamagisi z pewnością nie śpieszył się z podobną wiadomością. Jak wobec tego zacząć rozmowę. Gdyby od razu powiedział, że Fukudy nie ma w więzieniu. Japończycy, aby ukryć konsternację, mogą zbagatelizować całą sprawę i po wymienieniu ceremonialnych

grzeczności odejść. Trzeba by maczać jakoś dyplomatycznie. Tylko jak.

Z opresji wyratował go Rooge.

- Niezły ptaszek z tego Fukudy - mruknął zapalając papierosa.

Generał poruszył się na krześle.

- Panowie zdążyli to już zauważyć? - zapytał patrząc na Crosby.

- O, yes - wybąkał Crosby.

- To nawet nie było specjalnie skomplikowane - pośpiesznie wtrącił Rooge, starając się odwrócić uwagę gości od zażenowanego pułkownika. - Będzie z nim sporo kłopotu - dodał wieloznacznie - nawet bardzo dużo. Wyobrażam sobie, że panowie mieliście z nim również niemało utrapienia.

Generał porozumiał się wzrokiem z Riusi.

- Znamy go nie od dziś - oświadczył po chwili namysłu. - Ja osobiście zetknąłem się z nim po raz pierwszy w roku 1944...

- Czy ekscelencja - Rooge użył celowo tego pompacyjnego tytułu - czy ekscelencja nie byłby skłonny powiedzieć coś niecoś o jego dawnych wyczynach? Pomogłoby to nam w omawianiu dalszego postępowania w stosunku do Fukudy.

„Spryciarz” - pomyślał Crosby z zadowoleniem, widząc, generał po raz pierwszy przychylnie spojrzął na porucznika.

- Macie panowie rację - odparł Kanadzawa. - To niezły pomysł. Zanim przejdziemy do spraw bieżących, warto zapoznać się bliżej z przeszłością człowieka nazwiskiem Takeo Fukuda. Zwłaszcza że jestem jednym z nielicznych ludzi znających tę przeszłość.

Crosby i Rooge usadowili się wygodniej, przygotowując do słuchania Crosby wyciągnął z szuflady nową bańkę z piwem i napełnił szklanki.

- Jak więc panom powiedziałem, z Fukudą zetknąłem się po raz pierwszy w 1944 roku. Sytuacja wojenna Japonii znacznie się pogorszyła. Na froncie...

Rooge siedział z kwaśną miną. Crosby dyskretnie oglądał firanki, które wiatr poruszał nad oknem. Generał analizował sytuację na frontach w roku 1944. To było nudne, nawet bardzo nudne. Potem padło po raz pierwszy słowo „bakteria” i Amerykanie zaczęli słuchać uważniej. Po kilku dalszych minutach Rooge z przejęcia gwizdnął. Zreflektował się jednak od razu i pośpiesznie wyciągnął notes. Generał dreptał po pokoju i opowiadał. Kiedy skończył, Crosby zerwał się na nogi i zaklął. Generał uśmiechnął się.

- Skoro znacie już panowie sprawy dawne, przejdźmy 10 spraw aktualnych. Co panowie zamierzają przedsięwziąć?

Crosby spojrział na swego pomocnika. Ten zapalił papierosa i zwrócił się do pułkownika Riusi.

- Czy kapitan Jamagisi to dobry pracownik?

Zamyślony Riusi spojrział nań ze zdziwieniem. Co to pytanie może mieć do rzeczy. Nie chcąc jednak być niegrzecznym odparł: - Bardzo dobry.

- Myli się pan, pułkowniku - odrzekł Rooge. - Kapitan Jamagisi to dureń.

- Ależ poruczniku - Riusi zerwał się oburzony. Crosby również wstał.

- Niestety, pułkowniku - oświadczył oziębło - porucznik Rooge ma rację.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał zirytowany Riusi.

- Dosłownie - odparł Crosby. - Kapitan Jamagisi miał w swych rękach Fukudę i...

- Jak to miał? - wtrącił generał.

- Miał. Właśnie miał i już nie ma. Ani on, ani my...

- To znaczy?

- To znaczy, że Fukuda uciekł i samochodu policyjnego. Rozumiecie panowie? Uciekł. Wymknął się eskorcie przydzielonej mu przez kapitana Jamagisi w drodze do nas, korzystając z niewielkiej kraksy...

- Co? - generał zerwał się.

Riusi stał obok mego blady i roztrzęsiony.

- Nie przejmujcie się, panowie, szkoda na to czasu - roześmiał się ironicznie Rooge - Musimy się teraz zastanowić, jak wspólnymi siłami schwytać ponownie Fukudę. A to, sądzę, nie będzie zbyt proste.

II

Człowiek, który uciekł z samochodu

Samochód mknął ulicą. Ale myśli człowieka siedzącego w tyle biegły jeszcze szybciej. Widział przed sobą policyjny kaszket szofera, przesłaniającego najbliższą część ulicy. Za szybą widać było ludzi śpieszących we wszystkich kierunkach i rozpędzone samochody. Boczne szyby były zasłonięte ciemnymi firankami. Obok, na siedzeniu, rozparł się policjant, który nie spuszczał oka z aresztowanego. Policjant trzymał w ręku pistolet, dając jakby w ten sposób więźniowi do zrozumienia, że wszelkie myśli o ucieczce są nierealne.

A jednak aresztowany myślał o ucieczce. Myślał o niej od chwili, gdy chwytiliwe łapy czterech policjantów ściągnęły go z trybuny zaimprovizowanej na platformie ciężarówki i zawlokły do krytego wozu więziennego. Myślał wówczas, gdy wszędobylskie ręce jakiegoś oficera policji szperały w jego kieszeniach, szukając dokumentów. Myślał o ucieczce, kiedy spisywano jego personalia i kiedy oświadczono mu, że zaraz pojedzie do innego aresztu.

Przez chwilę zastanowił się nad tym, dlaczego tak intensywnie myśli o ucieczce. Szansę na to, by go poznano, są niewielkie. Prawie żadne. Ludzi, którzy go znali i mogliby go wydać, jest zaledwie kilku. Nawet jeśli go uznają za prowodyrę, grozi mu najwyżej kilka miesięcy aresztu. A jednak myślał o ucieczce. Bynajmniej nie z obawy przed więzieniem. Do tego zdążył się już przyzwycząić. W pewnej chwili zdał sobie sprawę z przyczyny niepokoju. Wiedział, dlaczego nie wolno mu znaleźć się za kratami właśnie teraz. Tu już nie chodzi o sytuację w kraju, gdzie wrzenie wzrasta z dnia na dzień, z godziny na godzinę, gdzie każdy człowiek oddany sprawie jest potrzebny.

Ostatecznie partia zawsze znajdzie kogoś na jego miejsce. Tu chodzi jednak o człowieka, którego poznał na ulicy przed trzema tygodniami. O człowieka, za którym od trzech tygodni jeździ jak cień. Jak to źle, że nie wskazał tego osobnika nikomu z towarzyszy. Przypomnił sobie słowa o tym, iż człowiek najsilniejszy jest wówczas, gdy działa w oparciu o innych. Nie zastosował tej zasady i teraz musi tego gorzko żałować. Musi teraz spożywać owoce próby samotnego chodzenia własnymi drogami. I dlatego kiedy on będzie siedział w więzieniu, tamten zniknie mu z oczu, Zacisnął w gniewie pięści. Był na siebie zły, bardzo zły. Nie potrzebnie wyskoczył z tym swoim przemówieniem na demonstracji. Obeszłoby się bez niego. Nikt go nie prosił. Ale nie mógł wytrzymać. Musiał, uważał to za swój obowiązek, powiedzieć ludziom, tysiącom takich jak on, marzący o szczęściu - tych kilka słów. Tylko że przez to wpadł i stracił z oczu tamtego. A tracić go z oczu nie wolno. Nawet jeśli z więzienia wyśle do towarzyszy gryps, nie będzie mógł w nim wytłumaczyć, jak mają rozpoznać tego, kogo należy pilnować. Nazwisko niewiele pomoże w poszukiwaniach...

Znów wrócił do myśli o ucieczce. A gdyby tak spróbował otworzyć drzwi i wyskoczyć na zakręcie. Był wysportowany, miał wprawę i nic by mu się nie stało. Zwłaszcza że auto nie jedzie tak szybko. Ostrożnie, starając się nie zwracać uwagi policjantów, poruszył ręką. Powoli, centymetr za centymetrem zaczął ją zbliżać do klamki, - Trzymać łapy przy sobie! - wrzasnął policjant. - Ja ci tu zaraz...

Aresztowany ani drgnął. Spojrzał zdziwiony na rozwścieczonego policjanta.

- Auto tak trzęsie - mruknął - chciałem się złapać za uchwyt, - Milczeć, Już ja was znam - huknął eskortant i jakby

dla dodania wagi swym słowom ostentacyjnie uderzył się w kolano kolbą pistoletu.

Aresztowany, zdawało się, nie zwrócił na to uwagi. Patrzył przed siebie, ponad głową szofera. Czuł, jak w dłoniach i za uszami pulsuje mu krew. Zaraz za tym rogiem spróbuje obezwładnić policjanta. Zanim szofer się obejrzy, będzie już na ulicy...

Nagle usłyszał przeraźliwy pisk hamulców. Auto podskoczyło, zgrzytnęła blacha karoserii, zabrzęczało szkło. Coś ostrego uderzyło go w twarz. Poczuł, że po policzkach spływa mu jakaś wilgotna ciecz. Zamroczyło go. Gdy w chwilę potem otworzył oczy - samochód stał.

Obok niego siedział skulony policjant z zakrwawioną twarzą. Ręka trzymająca pistolet zwisała między kolanami. Szofer zawisł na wale złamanej kierownicy. Wokół auta gromadzili się ludzie.

Aresztowany szarpnął przygniecione drzwi. Raz, drugi. Drzwi ustąpiły. Jednym susem wyskoczył z samochodu. Rozkrzyczany tłum zamilkł. Ludzie odstąpili przerażeni. Aresztowany wśliznął się między nich. Kilku krokami przebiegł jezdnię. Na szczęście znajdował się na ulicy zabudowanej wysokimi europejskimi domami. Biegąc między odskakującymi na jego widok przechodniami stukął oczami bramy, w której można by się schronić.

Poczuł na karku czyjś przyspieszony oddech. - Gonią mnie - strzeliło mu przez myśl. Był jednak zbyt osłabiony, by przyśpieszyć biegu. Bolała go noga. Widocznie w czasie kraksy coś go musiało mocniej uderzyć.

Nieznany prześladowca szarpnął go za rękaw. Usłyszał szept.

- Tu do tej bramy, towarzysza,

Wydano mu się, że ktoś tchnął weń nowe siły. Skoczył w bramę. Zobaczył, że obok niego biegnie młody mężczyzna w roboczym kombinezonie.

- Teraz tu, w lewo.

W lewej części podwórza stała niewielka szopa. Mężczyzna w kombinezonie pchnął drzwiczki. Uciekinier znalazł się w mrocznym pomieszczeniu, w którym pachniało zgniłą, suszoną rybą.

- Masz siły, możesz biec? Tu jeszcze mogą nas dopaść - wysapał przewodnik.

- Biegnijmy.

- Masz - nieznajomy podał mu kawałek brudnobiałego płótna. - Wytrzyj twarz. Niech nie widzą tyle krwi.

Aresztant starł lepką ciecz, krzepnącą na policzkach.

- Teraz szybko.

Wyskoczył na dwór innymi drzwiami. Nieznajomy rozejrzał się. Na podwórku nie było nikogo.

- Tędy - mruknął i pobiegł w stronę sadu, który rozciągał się za domem.

Biegli tak kilka minut, mijając nieznajome podwórka, ogrody, sady, aż znaleźli się na wąskiej uliczce, zabudowanej już po japońsku. Po obu stronach ciągnęły się rzędy niskich, ubogich domków. Ludzi było na tej ulicy sporo. Na widok biegnących rozstępowali się, jakby chcąc im ułatwić ucieczkę.

- Jesteśmy na miejscu - wysapał nieznajomy, opychając zbiegłego aresztanta do jednego z małych domków.

Zbieg chciał usiąść, ale nieznajomy mu nie pozwolił.

- Chcesz wpaść? - zapytał i wyprowadził go na podwórko, gdzie stał ciężarowy wóz.

- Siadaj. Tylko staraj się schować twarz. Widać na niej ślady krwi i to może cię zdradzić.

Usiadł przy kierownicy. Po chwili pędzili krętymi uliczkami miasta. Niedośły lokator więzienia MP w milczeniu obserwował twarz swego wybawcy. Był to mężczyzna około trzydziestki. W kącikach warg w zmarszczkach czał się wyra: troski.

Robotnik albo szofer - skonstatował w myślach zbieg. - Ale dlaczego mi pomógł. Przecież nawet nie wie, kim jestem.

Wybawca, jakby odgadując myśli swego pasażera, odezwał się nie odrywając oczu od jezdni.

- Słyszałem ciebie na wiecu. Dobrze mówiłeś. Aż mi się pięści zaciskały ze złości...

- Naprawdę dobrze? - uśmiechnął się zbieg.

- Ja tam czasu nie mam na to, żeby głupstw słuchać, czy gadać komu grzeczne słówka. Dobrze i basta. Pomyślałem sobie, kiedym ciebie słuchał, ot, to swój chłopak. Potem szkoda mi było, kiedy ciebie schwycili. Rozmyślałem - znów dobrego towarzysza wpakują za kratki.

- Skąd wiesz, że jestem towarzyszem?

Szofer w milczeniu oderwał jedną rękę od kierownicy i palcem dotknął nosa.

- Rozumiem - uśmiechnął się znów pasażer.

Czuł się szczęśliwy. Oto znów jest na wolności. Odpocznie chwilę i pójdzie szukać tamtego. O nie, nie da mu uciec, nie pozwoli, by znikł mu z oczu. Musi wybadać, co tamten robi. Bo jeżeli... Nie skończył myśli. Poczuł, jak zimny pot występuje mu na czoło.

Aby rozproszyć przykre myśli, zapytał:

- Dokąd mnie wiesz?

- Do cesarza - mruknął szofer niechętnie. Był niezadowolony z pytania. - Dowie" się, kiedy będzie potrzeba.

Zapadło milczenie. Uciekinier siedział skurczony, zasłaniając ręką twarz, pomny ostrzeżenia. Rzeczywiście, jakiś

policjant czy inny drań zobaczy krew na twarzy i zacznie się czepiać. Jechali ostrożnie. Wreszcie samochód się zatrzymał.

- Poczekaj chwilę - powiedział szofer, wyskakując z wozu.

Wrócił po kilku chwilach ze starszym mężczyzną w zniszczonym kimonie.

- Weźmiecie go do siebie? - zapytał szofer. - Mogę - odparł człowiek w kimonie.

- Wsiadaj - rzucił szofer do pasażera. - Jesteśmy na miejscu. Tu się tobą zajmą.

Zbieg, krzywiąc się z bólu, zeskoczył na jezdnię.

- Dziękuję ci.

- Ech tam. Nie ma za co - wykręcił się szofer. - Zresztą wpadnę do ciebie wieczorem, to pogadamy.

Mężczyzna w zniszczonym kimonie pociągnął nieoczekiwana gościa za rękę. Weszli do domu. Na ulicy zaterkotał motor ciężarówki. Po chwili ucichł w oddali.

- Rozbierz się - powiedział gospodarz, gdy znaleźli się w pokoju, w którym jedyne umeblowanie stanowiły maty i niski stolik z przyborami do pisania.

- Rozbierz się, potem się tam umyjesz - wskazał niewielkie drzwiczki.

Gość zaczął się rozbierać. Mężczyzna w kimonie przyglądał mu się spod przymrużonych powiek, nie mówiąc ani słowa.

Gość wszedł do malutkiego pokoiku, w którym stała duża miednica i dwa wiadra z wodą. Zmywając twarz stwierdził, że czoło ma rozcięte. Dopiero teraz poczuł piekący ból.

Gospodarz czekał nań.

- Chodź tu.

Wprowadził go do innego pokoju, zastawionego przyrządami lekarskimi.

- Jesteście doktorem?

- Tak. Siadajcie. O tu... Tak. Zaraz zobaczę, co wam jest. Umył ręce, potem kawałkiem waty oczyścił rozcięcie na czole.

- Nic strasznie. Tylko tu - dotknął ranki nad okiem - trzeba założyć klamerkę. Za tydzień nie będzie śladu.

Pacjent chciał już wstać.

- Czekaście, jeszcze noga Kuleliście przecież.

Gość wyciągnął przed siebie nogę i oparł ją o niski stołek.

- Macie dobre oko.

- Lekarz musi już taki być.

- To prawda - westchnął pacjent.

Doktor spojrział nań zdziwiony.

- Wiecie coś o tym?

- Tak.

- Skąd?

- Bo.. bo jestem lekarzem.

Gospodarz nie dał po sobie poznać, czy go ta wiadomość zdziwiła, czy nie.

- Pracowaliście w Tokio? - zapytał.

- Nie.

- A gdzie?

- Różnie bywało - odparł niechętnie pacjent.

Gospodarz zakończył opatrunek skaleczonej nogi. Podniósł się i oświadczył: - Idźcie teraz odpocząć. Albo zaraz dam wam herbaty i coś do zjedzenia. Później się wyśpicie.

- Nie jestem zmęczony,

- Nie pytam was o to - szorstko powiedział gospodarz. - W tej chwili jesteście moim pacjentem i musicie mnie słuchać. Te zasady chyba znacie.

Gość uśmiechnął się.

- Sprawiam wam wiele kłopotu, doktorze.

- Jestem do tego przyzwyczajony. Zresztą, jak będziecie mnie słuchać i pójdziecie spać, to żadnego kłopotu nie będzie.

Wyszedł. Za nim, kulejąc, wyszedł również pacjent. Usiadł w sąsiednim pokoju na macie. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Był wyczerpany fizycznie i psychicznie. Z radością pomyślał o oczekującym go wypoczynku. Do wieczora może się wyspać. A o zmroku odnajdzie tamtego...

- Proszę. Tu jest herbata, a tu suszona ryba i kawałek placka. Niestety, nic więcej nie mam w domu - oświadczył gospodarz, wchodząc do pokoju.

Gość wstał.

- Siedźcie, przecież boli was noga. Jesteście moim pacjentem i gościem. Przywieziono was tu nie tylko na kurację.

- Jak to? - zdziwił się gość.

- Kosuke powiedział, że musicie tu pozostać ze dwa, trzy dni, zanim nie przestaną was szukać.

Gość domyślił się, że Kosuke to jego wybawca. A więc ta jest lokal, gdzie partia, w razie czego, kieruje „spalonych” ludzi - pomyślał.

Aby nawiązać rozmowę powiedział:

- Kosuke to szofer, to znaczy, ten który mnie ta przywiózł.

Gospodarz spojrzał nań uważnie.

- Aha, prawda - oświadczył sucho - mówiliście już, że nie pracujecie w Tokio.

- Nie. Znalazłem się tu zupełnie przypadkowo. Chwilę panowało milczenie.

- Jesteście lekarzem? - zapytał wreszcie gospodarz.

- Mówiłem przecież. Nie wierzycie mi?

- Wierzę, ale ręce wasze wyglądają raczej jak ręce chemika.

- Jestem bakteriologiem - odparł w zamyśleniu gość. - Ostatnio miałem bardzo dużo do czynienia z odczynnikami chemicznymi.

Pociągnął jeszcze jeden łyk herbaty i wstał.

- Nie chodźcie. Macie dość głęboką ranę na nodze, - To głupstwo - powiedział s roztargnieniem gość. - Zapomniałem nawet podziękować wam za pomoc - uśmiechnął się.

- Nie szkodzi, Widzę, że was coś gnębi. Może później, kiedy odpoczniecie, porozmawiamy. Zresztą - gospodarz wstał sprząając filiżanki - jak będziecie mieli ochotę, to dobrze, nie - drugie dobrze.

Gość doszedł do gospodarza i zajrzał mu w oczy.

- Później porozmawiamy. Opowiem wam coś o mojej pracy. Bo ja jestem - powiedział z naciskiem - bakteriologiem. A to jest bardzo ciekawa specjalność. - Głos mu się zniżył do szeptu.- I bardzo... trudna. Aha - dodał po chwili - nie przedstawiłem się nawet. Nazywam się Fukuda. Takeo Fukuda. Lekarz bakteriolog.

III

Pułkownik Crosby rozpoczyna poszukiwania

Pułkownik Crosby przemierzał rozległy gabinet długimi krokami. Miękki dywan wchłaniał odgłos kroków, wskutek czego zdawało się, że pułkownik porusza się bezszelestnie. Obite wołokiem i skórą drzwi i szczelnie zasłonięte okna nie przepuszczały do gabinetu żadnego dźwięku. Panowała cisza tak monotonna, że aż irytująca. Crosby doszedłszy do biurka szarpnął czubkiem bucika dywan i gwałtownie odrzucił go na bok. Teraz od drzwi do przeciwległej ściany mógł chodzić po podłodze. Tupał głośno, z satysfakcją.

Hałas spowodowany krokami sprawiał mu przyjemność i przynajmniej trochę przeszkadzał myśleć. Bo pułkownika Crosby gnębiły myśli niezbyt przyjemne.

Od trzech lat był oficerem do spraw szczególne; wagi w dowództwie MP, Przed rokiem poruczono mu jeszcze jedną ważną funkcje Został przedstawicielem komisji do badania działalności antyamerykańskiej. Praca ani przyjemna, ani łatwa, zwłaszcza w takim kraju jak Japonia, z którym nie wiadomo jak postępować. Przed wojną pułkownik Crosby, wówczas jeszcze jako major, zajmował się sprawami szczególnej wagi na Filipinach. Tam przynajmniej nie miał specjalnych kłopotów. Był prawie nieograniczonym władcą życia i śmierci tych, których sprawy trafiły na jego biurko. Mógł robić, co mu się żywnie podobało. A tu, w Japonii, sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana. Jakże często musi się głowić nad tym, jak postąpić w poszczególnych przypadkach. Czasy się zmieniły i ludzie nie bardzo przypominają samych siebie sprzed wojny. Zresztą nie tylko tu, w Japonii. Na Filipinach też wrze i kipi. Pisał mu niedawno kolega, że musieli wydać na kilku buntowników wyrok

śmierci. Było to konieczne, gdyż tamci prowadzili czerwoną agitację, ba, nawoływali do wypędzenia Amerykanów. I wyroku nie można było wykonać. Na znak protestu wybuchł strajk powszechny. Pod oknami pałacu Malakanan odbyła się demonstracja.

Pułkownik Crosby zacisnął pięści w gniewie. Zawsze miał o Filipinach zdanie niezbyt pochlebne. W prywatnych rozmowach z kolegami, którzy uważali go za specjalistę od spraw filipińskich, mówił o tubylcach, jako o bezwolnych mułach wymagających jedynie odpowiedniego jarzma. A tu masz, cała teoria wali się w gruzy. Filipiński muł okazał się rumakiem, który umie gryźć wędzidła.

- Psiakrew - zaklął półgłosem Crosby. - Wszystko przez tych czerwonych.

Wrócił do myśli o Japonii. Tu sprawy stają się z każdym dniem bardziej skomplikowane. Strajki i bunty to już zjawisko niemal codzienne. W takiej atmosferze nie wystarczy być dobrym oficerem, znającym dobrze swe obowiązki i sumiennie wykonującym rozkazy przełożonych. Tu trzeba być politykiem. A politykiem Crosby nigdy nie był. Jedni - zwłaszcza dowódcy wojskowi - poczytywali mu to za zasługę. Inni - a przede wszystkim senator Mathews - uważali to za poważny brak.

- Amerykański oficer, który się znajduje w kraju, związanym z interesami Stanów Zjednoczonych, powinien być wojskowy, handlowcem i politykiem - mawiał Mathews.

A Crosby był wprawdzie i wojskowym, i handlowcem niepośledniego rzędu, ale politykiem nie był. Uważał, że politykowanie należy pozostawić nierobom w Kongresie. Tymczasem sytuacja w Japonii wciąż wymagała odeń politykowania. Ot, chociażby ostatnia, dzisiejsza historia z tym zbiegłym aresztantem. Jak go tam... aha, Fukuda.

Crosby zacisnął pięści.

- Uciekł drań - wysyczał przez zaciśnięte zęby - a ty człowieku kłopotcz się i martw, co tu robić. A jeszcze diabli nadali tego całego Kanadzawę. Gdyby nie ten żandarm, historia byłaby całkiem prosta.

Crosby zaklął głośno i soczyście. Zdawało się, że to mu sprawia pewną ulgę. Napełnił szklanekę piwem, opróżnił ją jednym haustem i zapalił papierosa, opierając się kolanem o oparcie fotela.

Tak, rzeczywiście gdyby nie Kanadzawa sprawa byłaby całkiem prosta. Nic by go wówczas nie obchodziło. Po prostu schwytyany agitator komunistyczny, którego policja japońska chciała dostarczyć MP, uciekł. I na tym koniec. Małoż to ludzi ucieka z aresztu albo wymiguje się od aresztowania. Wszyscy wiedzą, że komuniści są sprytni i nie łatwo dają się schwytać. Sprawa byłaby tym bardziej prosta, że wówczas Crosby nie wiedziałby nic o niej. Ani słowa. To nie należałoby do jego resortu,

Musiał się jednak przyplątać, diabli wiedzą skąd, ten przeklęty generał i nawarzyć piwa. Teraz sprawą Fukudy musi się zająć Crosby osobiście. Teraz to już jego resort. Zresztą nie tylko resort. Prywatny business także. Wszystko, co mówił Kanadzawa, trzeba wziąć pod uwagę. Kanadzawa to stary żandarmski pies, który nie daje łatwo za wygraną. Na pewno poleciał już do kogoś z dowództwa, najprawdopodobniej do kogoś i G-2 i opowiada już tam całą historię. A jutro posypią się rozkazy, rozwrzeszczą się telefony. „Crosby, co z Fukudą!” „Crosby, dawaj Fukudę!”, „Crosby, łap Fukudę!” A skąd go wziąć, jak go złapać - o tym nikt nie pomyśli. To już należy do niego, do pułkownika Crosby, oficera do spraw szczególnej wagi.

Crosby postawił dziś cały swój aparat na nogi. W ciągu kilku godzin przewertowano wszystkie kartoteki. Porozumiano się z różnymi oddziałami w innych większych miastach i nic, ani słowa. Nigdzie nie figuruje nazwisko Fukudy. Nikt nie wie, jak ten Fukuda wygląda, nikt o nim nigdy nie słyszał. Nawet w kartotece pomniejszych aktywnych komunistów nie ma ani słowa o żadnym Fukudzie. Być może, że występował dotarł pod innym nazwiskiem, ale pokazywano przecież Kanadzawie różne fotografie, przechowywane w aktach komisji i japoński generał twierdzi, że żaden z tamtych ludzi nie jest Fukudą.

Może się mylić. Kanadzawa spotkał się - jak sam mówi - z Fukudą zaledwie kilka razy i to dość przelotnie rok przed zakończeniem wojny A te szmat czasu. Mógł zapomnieć jego twarzy, nie poznać go na fotografii.

Piekielna historia. Tak skomplikowanej sprawy jeszcze nie miał. Najgorsze zaś jest to, że nie wiadomo, co Fukuda wie, a o czym nie wie. Z zeznań agentów japońskiej policji, którzy słyszeli jego przemówienie wynika, że coś musi wiedzieć. Mówił przecież wyraźnie, że są ludzie w Japonii, którzy chcieliby powtórzyć zbrodnicze doświadczenie z bombą bakteriologiczną i są ludzie, którzy im w tym walnie pomagają. Równie dobrze mógł to być demagogiczny chwyt i wówczas Fukuda nie jest właściwie tak bardzo niebezpieczny. Ale komuniści - Crosby znał już takie sprawy na pamięć - nie zwykli uciekać się do takich chwytów. Nie zwykli rzucać słów na wiatr.

Wobec tego Fukuda coś niecoś wie z pewnością. Pułkownik stukając bucikami przeszedł po pokoju. Wściekłym ruchem wyszarpnął z pudełka nowego papierosa, ale zamiast zapalić, zgniótł go w palcach i rzucił na podłogę. Coś trzeba przedsięwziąć. Koniecznie... Ale co? Co zrobić? Jak schwytać

człowieka, o którym się wie jedynie, jakie nosi nazwisko. A schwytać go trzeba, bo w przeciwnym razie...

Crosby wyjął z kieszeni pęk kluczy i doszedł do stojącej przy ścianie kasy pancерnej. Nastawił zamek, przekręcił jeden klucz, potem drugi. Oburącz pociągnął ku sobie masywne drzwiczki. Z górnej przegródki wyjął zieloną teczkę zapieczętowaną i zalakowaną, na której czerwieniła się podłużna pieczętka - „ściśle tajne”. Zdrapał nożem lak i zaczął wertować papiery. Wreszcie natrafił na zalakowaną kopertę. Na niej znów czerwona pieczęć - „ściśle tajne”. Nieco niżej inna pieczęć: „Otrzymują według rozdzielnika... potem z góry na dół jedenaście kolejnych cyfr. Przy cyfrze „9” ktoś dopisał atramentem „płk Robert Crosby”.

Pułkownik otworzył kopertę. Treść instrukcji znalazł na pamięć, ale w tej chwili chciał ją sobie jeszcze raz przeczytać. Może tam znajdzie natchnienie, jak złapać Fukudę. Instrukcja pokryta była pieczętkami „ściśle tajne”, „zatwierdzam”, „przechowywać w pewnym miejscu”. Dalej następowały liczby i znaki po czym krótka treść:

„Załącza się instrukcję w sprawie „ośrodka BB”. Należy zachować najdalej idącą ostrożność. „Ośrodek BB” nie może być przez nikogo rozszyfrowany. W razie wykrycia jakiegokolwiek niebezpieczeństwa grożącego ujawnieniem „ośrodka BB”, osoby otrzymujące instrukcję według rozdzielnika winny natychmiast niebezpieczeństwo zlikwidować. Wszelkie meldunki sygnować literami BB”.

Crosby zamyślił się. Przypadek chciał, że nic podejrzenia o niebezpieczeństwie dla „ośrodka BB” dotarła do niego. Teraz na nim spoczywa obowiązek zlikwidowania tej groźby. Tylko że przede wszystkim należy dotrzeć do jej źródła, do Fukudy.

Nerwowo przerzucił pozostałe papiery. Nie, stanowczo sprawy lekceważyć nie wolno. Nawet jeśli Fukuda nic nie wie,

trzeba go zlikwidować. Historia jest zbyt poważna, by można było pominąć ją milczeniem. W razie czego wszystkie gromy zwałą się na niego, pułkownika Crosby. A na tym by nikomu chyba na jego miejscu nie zależało. Trzeba działać.

Nacisnął dzwonek. Po chwili w gabinecie zjawił się młody sierżant.

- Porucznik Rooge jest?

- Wyjechał na miasto, panie pułkowniku.

- Cholera - zaklął Crosby - ile razy jest mi potrzebny, nigdy go nie ma.

- Jest już po ósmej, panie pułkowniku - wtrącił sierżant,

- No to co! - wrzasnął Crosby. - Tu ma warować, jak długo mu każę, choćby pięć nocy i pięć dni bez przerwy.

Sierżant stał w milczeniu, czekając na dalsze rozkazy.

- Wobec tego - podjął po chwili Crosby - sprowadzić mi natychmiast kapitana Malchomea z siódmego wydziału.

Sierżant zasalutował i ruszył do drzwi.

- Czekajcie - zawołał Crosby - załatwimy to inaczej. Wyrwał z notesu kartkę, napisał na niej kilka słów, schował papier do koperty.

- Znajdźcie kapitana i oddajcie mu ten list, potem pójdziecie szukać porucznika Rooge.

Sierżant wyszedł.

Crosby wstał, poprawił przekrzywiony krawat, doszedł do okna i podniósł żaluzje. Za oknem ciągnął się ogród, a dalej biegła jaskrawo oświetlona ulica, którą przewalał się tłumy ludzi.

Crosby uchylił okno. Gwar wdarł się od razu do pokoju gwałtowną falą. Słysząc było wrzask klaksonów, nawoływanie przekupniów Crosby chwilę patrzył na panoramę ulicy, wsłuchując się w jej hałas. Po kilku minutach cofnął się,

zamknął okna, opuścił żaluzje i wrócił do biurka. Usiadł, przymknął oczy i mruknął apatycznie:

- I znajdź w tym tłumie kogoś, kto się nazywa Fukuda, Sięgnął po słuchawkę telefoniczną i nakręcił numer.
- Czy generał Smuthers jest w domu?
- Tak, chciałem z nim mówić. Tu pułkownik Crosby.

*

- Bardzo panu dziękuję, generale Kanadzawa, za tak cenne informacje.

Tęgi, wysoki mężczyzna, z cygarem w ustach, mówiąc to schylił głowę na znak szacunku.

Generał Kanadzawa również się uklonił.

- Za to nie należy dziękować, generale. To mój obowiązek. Musiałem ostrzec przyjaciół przed niebezpieczeństwem, jakie grozi im, a tym samym i nam.

Mężczyzna z cygarem, nazwany generałem, uśmiechnął się.

- Ma pan rację. Przyjaciele nie powinni sobie wzajem dziękować. Muszą sobie pomagać.

Generał odłożył cygaro, wstał i napełnił kieliszki likierem rubinowego koloru.

Obaj mężczyźni wypili w milczeniu.

- Chciałem pana zapytać, generale Kanadzawa - uśmiechnął się znów gospodarz, zlizując z wargi kroplę likieru - czy nie uważa pan, iż czas skończyć z wypoczynkiem?

Na twarzy Kanadzawy nie drgnął żaden muskuł. Głos jego brzmiał spokojnie, zdawałoby się obojętnie.

- Nie sądzę, by moje zdanie było tu najważniejsze. Decyzję pozostawiam moim przyjaciołom,

- Doskonale, doskonale - roześmiał się gospodarz. - Wy. Japończycy, jesteście doskonałymi politykami. Nigdy nie zdobyłbym się na taką odpowiedź: „Decyzję pozostawiam moim przyjaciołom”. Wobec tego - poklepał gościa po kolanie - może pan uważać okres wypoczynku i nieróbstwa za skończony. Jutro z rana porozumiem się w tej sprawie z generałem Mac Arthurem i sądzę, że w ciągu najbliższych dwóch trzech dni otrzyma pan nominację. Potrzebni nam są ludzie doświadczeni. Zresztą my, Amerykanie, nie zapominamy o przyjaciołach. Przekona się pan o tym.

Kanadzawa schylił głowę, nie tyle na znak podziękowania, ile po to, by ukryć grymas niesmaku, jaki słowa gospodarza wywołały na jego twarzy. Są rzeczy, o których nie należy mówić.

- Wracając do sprawy owego Fukudy - podlał po chwili gospodarz - to zastanawiające jest jedno: czym ten człowiek zajmuje się obecnie i gdzie mieszka. Pułkownik Crosby będzie miał sporo roboty zanim go odnajdzie,

- Pomyślałem już o tym - wtrącił Kanadzawa - i podjąłem na własną rękę pewne kroki...

- Ho, ho, widzę, że energicznie zabiera się pan do dzieła. Czy mógłby mi pan zdradzić, co pan zamierza zrobić. Boję się, że przy takiej energii wyprzedzi pan jeszcze pułkownika Crosby.

Kanadzawa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mister Crosby jest moim przyjacielem. Zawdzięczam mu życie. Gdyby nie on...

- Wiem - przerwał gospodarz - to są stare dzieje, o których nie warto wspominać.

Zadzwoił telefon. Gospodarz podniósł słuchawkę.

- Hallo, tu Smuthers.

- ...

- Tak, tak - ożywił się. - Łączyć, łączyć. Dłonią przykrył mikrofon i odwrócił się do gościa.

- To Crosby.

Chwilę słuchał uważnie tego, co mu mówił Crosby. Potem uśmiechnął się i odrzekł.

- A więc czekam, pułkowniku... Będzie pan za dwadzieścia minut?... Dobrze. Rozumiem. Skoro uważa pan, że sprawa jest pilna, czekam.

Odłożył słuchawkę.

- Crosby zaraz tu będzie.

Kanadzawa wstał.

- Muszę już iść. Nie chciałbym spotkać się teraz z moim przyjacielem Crosby. Gotów jeszcze pomyśleć, że nie miałem doń zaufania.

Smuthers pokiwał głową na znak, że rozumie.

- Ale, ale - zreflektował się po chwili - miał mi pan opowiedzieć o podjętych krokach...

- Opowiem za dwa-trzy dni - odrzekł Kanadzawa z naciskiem. - Taki termin sam pan wymienił generale.

Generał Smuthers roześmiał się hałaśliwie. Odprowadził gościa i zamknąwszy za nim drzwi syknął:

- Sprytna bestia. A niech go...

*

Człowiek o sępiej twarzy w zniszczonym kimonie i słomianych chodakach siedział w kucki w rogu niewielkiego pokoju. Prócz niego było tu jeszcze kilka osób, które siedziały opodal i zawzięcie o czymś dyskutowały. Człowieczek o sępiej twarzy zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Był całkowicie pochłonięty lekturą pisma. Gdyby jednak ktoś uważny

niepostrzeżenie mu się przyjrzał, zauważyłby, że ten raczej udaje zaczytanego. Małe świdrujące oczka raz po raz odrywały się od druku i szybkim, ślizgającym się spojrzeniem obiegały twarze zajętych rozmową ludzi. Wzrok człowieka ze szczególnym jednak wyrazem zatrzymywał się na drzwiach, zza których dolatywał stłumiony gwar głosów.

Do pokoju wszedł nowy gość. Na jego widok człowieczek o sępiej twarzy zerwał się.

- Witajcie, towarzyszu Kosuke. Co słyhać?

Kosuke miał na sobie ten sam szoferski kombinezon co z rana. Podał człowieczkowi rękę i przywitał się z nim bez oznak radości czy wylewności.

- Nie widzieliście sekretarza, towarzyszu Toszima? - zapytał.

- Jest na zebraniu. Ja także czekam na niego. Przyszedłem i czytam sobie gazetę. Bardzo się cieszę, że was widzę.

Cóż to za nagła radość, towarzyszu Toszima, przecież widzieliśmy się dopiero z rana, na demonstracji.

- Właśnie, właśnie - człowieczek wyrzucał z siebie słowa pośpiesznie, jakby bojąc się, że nie zdąży ich wypowiedzieć, - Ta demonstracja dodała mi tyle sił i otuchy, że muszę po prostu z kimś pomówić o swoich przeżyciach.

Szofer uśmiechnął się i przyjaźnie poklepał człowieczka po ramieniu.

- Rozumiem was, towarzyszu Toszima, dobrze rozumiem. Sam jestem dotąd jeszcze podniecony tym, co widziałem. To była wspaniała manifestacja. Policja rozpędziła nas, zginęło nawet kilku towarzyszy, a jednak nie udało się nas rozbić. Nie byłem już potem, bo miałem pilną sprawę do załatwienia...

Człowieczek rzucił na szofera szybkie spojrzenie.

- Więc nie byłem na dalszej części manifestacji - ciągnął Kosuke - ale słyszałem od towarzyszy, że zabitych nie oddano

policji. Złożono ich na noszach i tysiące ludzi odprowadzały ich ciała do domów. Podobno policja nawet bała się zaatakować demonstrantów.

- To prawda. Te dranie z policji - podchwycił z ożywieniem Człowieczek - to w gruncie rzeczy tchórze. Boją się nas.

Kosuke zamyślił się.

- Tchórze? Może. Fakt, że nas się boją. Ale to wcale nie znaczy, że nie są dla nas niebezpieczni. Policja czuje za sobą poparcie. Strzelają do nas z amerykańskich karabinów. To dodaje im poczucia siły, dlatego mordują naszych towarzyszy,

- Sądzicie, że gdyby nie Amerykanie, sytuacja u nas przedstawiałaby się inaczej? - wtrącił Toszima.

- Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć - mruknął Kosuke. - Sądzę, jednak, że gdyby nie Amerykanie, robotnicy nie byłiby już dziś niewolnikami Dżajbatsu, a nasze żony nie musiałyby gotować stawy gorzkiej od łez rozpacz. Człowieczek pokiwał głową.

- Ale demonstracja była imponująca. Zwłaszcza ta druga część, na której nie byliście - wrócił do porzuconego tematu, - Pierwszy raz byłem na takim wiecu. A te przemówienia. Słyszeliście? Jakby mnie ktoś ogniem polał.

- Przemówienia słyszałem. Podobno wszystkich mówców aresztowano. I nie tylko mówców. Schwytano czterech innych towarzyszy. - Kosuke opuścił głowę, opierając czoło o rękę.

Człowieczek spojrzał nań uważnie i ostrożnie przysunął się o kilka centymetrów.

- Mówiło dziś na wiecu kilku towarzyszy, których widziałem pierwszy raz. Znacie ich, towarzyszu Kosuke?

Szofer popatrzył zdziwiony na swego rozmówcę.

- Partia jest wielka, towarzyszu Toszima. Nie wszystkich towarzyszy musimy znać osobiście...

- Nie, nie - przerwał szybko Toszima - nie o to mi chodzi. Źle zrozumieliście moje słowa. Ale widzicie, wydało mi się, że jednego z tych, co przemawiali, kiedyś spotykałem.

Szofer sięgnął po papierosy. Podał pudełko towarzyszowi, zapalił zapałkę. Zaciągnął się głęboko,

- Dawno już nie paliłem. Co najmniej dwie godziny - mruknął, pocierając z zadowoleniem podbródek. - Miałem dużo roboty. Nawet nie zdążyłem się dziś ogolić, choć już najwyższy czas,

Toszima patrzył nań spod opuszczonych rzęs.

- Rozwoziliście dziś gazety? - zapytał obojętnym tonem. Kosuke uśmiechnął się.

- Nie, dziś nawet nie trzymałem kierownicy w ręka. Toszima odpowiedział mu uśmiechem.

- Zdawało mi się, że widziałem dziś wasz samochód po demonstracji. Tak około czwartej,

- Jak to przecież mówiliście, te byliście na dalszej części demonstracji? - zdziwił się Kosuke,

Człowieczek zmieszał się. Oczy uciekły mu w głąb

- Pewnie się pomyliłem. Wiecie... tyle wrażeń, że nawet godziny się człowiekowi płaczą w głowie.

Kosuke ziewnął, przeciągnął się.

- Zmęczony jestem - oświadczył. - Aha, przecież przerwałem wam myśli. Mówiliście, że znacie kogoś z mówców, z dawnych lat.

- Nie mówiłem, że go znam, ale że go niegdyś spotykałem - ożywił się Toszima. Chodzi mi o tego, co to mówił coś o bakteriach. Nie mogę sobie przypomnieć skąd go pamiętam i to mnie męczy...

Kosuke znów ziewnął.

- Tylu ludzi poznaje się w życiu. Mogliście i tego towarzysza gdzieś spotkać.

- A wy go nie znacie? - zapytał zniecierpliwiony Toszima.

- Nie. Widziałem go pierwszy raz.

Toszima nie zwrócił uwagi na jego odpowiedź. Mówił cicho, jakby wypowiadając dręczące go myśli.

- A ja sobie nie mogę przypomnieć. Nawet wydaje mi się, że znałem jego nazwisko. Cały czas o tym myślę,

- Dlaczego? - zdziwił się Kosuke.

- Coś mi się wydaje - Toszima przysiadł się jeszcze bliżej - że spotkanie z tym towarzyszem nie było zbyt przyjemne - błysnęła białkami oczu w stronę szofera, ale ten patrzył właśnie na rozwiewające się kółko dymu. - Dlaczegoś kojarzy mi się jego twarz z mundurem oficerskim. - Oparł się o ramię Kosuke i schylił się do jego ucha. - Wiecie przecież, że policja nasyła na nas swoich ludzi...

- Fiu - gwizdnął Kosuke. - To ciekawa sprawa i - spojrzał zimno na Toszimą - ciężkie oskarżenie. Nie wiem, dlaczego mnie o tym mówicie. O takiej historii należy przede wszystkim porozmawiać z sekretarzem. Wiecie przecież - zmrużył oczy - że z prowokatorami postępujemy krótko.

Toszima skinął potakująco głową. Spojrzał na szofera, ale ten siedział już zwrócony twarzą w inną stronę.

- Mówiłem wam o tym - w pośpiechu wyszeptał Toszima - bo mam do was wiele zaufania, a nie wiedziałem, co począć. Powiedzcie, czy wam nie wydało się jego przemówienie zbyt gwałtowne i demagogiczne?

Kosuke wstał. Przeciągnął się w ramionach, aż zachrzęściło w stawach. Zacisnął pięści, potem rozprostował palce i strzepnął nimi kilkakrotnie.

- Nie, Mnie się nie wydało - odrzekł cedząc słowa. - No, Czas już na mnie. Zebranie chyba się przeciągnie, a ja muszę jutro wstać przed czwartą. A wy, Toszima, o swoich

podejrzeniach opowiedzcie sekretarzowi. Może on zna tego mówcę...

W tej chwili drzwi, za którymi odbywało się zebranie, otworzyły się. Z zadymionego pokoiku wyszło kilkanaście osób. Jeden z mężczyzn, średniego wieku młody brunet uśmiechnął na widok szofera.

- Dobrze, że jesteście, towarzyszu Kosuke, mam dla was robotę na jutro. Chodźcie do mnie, pogadamy.

Kosuke uśmiechnął się szeroko i radośnie.

- Bardzo lubię robotę, towarzyszu sekretarzu. Ale - dodał po chwili - ja może zaczekam, bo tu towarzysz Toszima ma do was ważną sprawę.

- No, skoro zaczekacie, to chodźcie wy, towarzyszu Toszima - oświadczył sekretarz.

Człowieczek o sępiej twarzy uśmiechnął się radośnie i ruszył za sekretarzem.

Kosuke odprowadził go wzrokiem, a kiedy drzwi się zamknęły, cichutko gwizdnął. Rozejrzał się po pokoju. Wzrok jego napotkał młodą dziewczynę.

- Towarzyszko Suraba, dobry wieczór. Pozwólcie na chwilę.. Muszę was c coś zapytać.

*

- A więc, drogi Crosby, sprawa jest chyba jasna - Smuthers mówiąc to przechylił się na krzesło do tyłu. Krzesło zawisło na chwilę na tylnych nóżkach i zatrzeszczało.

Smuthers roześmiał się hałaśliwie. Crosby zachnął się w duchu słysząc ten śmiech. „Dobrze mu się śmiać - pomyślał - a ja co mam teraz robić?”

- Lata płyną - powiedział przez śmiech Smuthers - a tłuszczu przybywa. Nawet krzesło zaczyna pode mną trzeszczeć. I ciebie to czeka, drogi Crosby, chyba... - generał pogroził mu palcem - chyba że nie będziesz umiał troszczyć się o swój business. A twój business dziś, to polowanie na Fukudę.

- Wiem - skrzywił się Crosby - łatwo to jednak powiedzieć, ale jak tego człowieka złapać,

- Mój drogi, chyba nie chcesz, abym rękę zastąpił w poszukiwaniu jednego niebezpiecznego komunisty. Do twojej dyspozycji stoi teraz cały amerykański aparat wywiadowczy. Twoim zadaniem jest tak pokierować poszukiwaniami, aby w rezultacie Fukuda przestał być dla nas niebezpieczny. I nie tylko on - wszyscy, którzy cośkolwiek mogą wiedzieć.

Smuthers wstał i rozlewając whisky dodał:

- Chciałem cię jeszcze uprzedzić, że jutro przyjeżdża senator Mathews...

- Co? tylko tego idiota brakowało mi w tej chwili.

- Uspokój się Crosby, senator Mathews jest twoim przełożonym jako przewodniczący komisji do badania działalności antyamerykańskiej. Poza tym jest finansowo zaangażowany w kilku fabrykach i zakładach chemicznych, które żywo interesują się „ośrodkiem BB”. Wprowadziliśmy go nawet do zarządu naszej firmy.

Crosby aż gwizdnął z wrażenia.

- Nic o tym nie wiedziałem - wybąkał. - Ten idiota będzie mnie teraz mordował bez skrpułów.

Smuthers zbliżył się do pułkownika i usiadł na oparciu fotelu, w którym spoczywał Crosby. Sprężyny jęknęły. Smuthers zmrużył jedno oko.

- Crosby, otrzymałem list od George'a.

- Od jakiego George'a?

- Od twojego starszego brata, ty gamoniu. Nasza firma dzięki jego staraniom uzyska monopol na BB. Kosztowało to wprawdzie sporo dolarów, ale - poklepał pułkownika po łopatce - to nam przyniesie, Bob, tysiąc razy więcej. Firma „Crosby, Smuthers, Parker and Crosby” staje się potęgą. George był w Pentagonie i w Białym Domu. Sprawą BB interesują się tam niesłychanie. Obiecano oszałamiające kredyty. Bob, rozumiesz, co to znaczy? Nie wolno nam zawalić sprawy tu, w Japonii. Od nas zależy powodzenie Ameryki i powodzenie naszej firmy.

Crosby potarł grzbietem dłoni czoło.

- A to przekłęty Japończyk. Że też musiała mu się udać ucieczka. Diabli... - klął dłuższą chwilę.

- Uspokoileś się?

Smuthers nalał Crosby'emu whisky, Gość wychylił kieliszek duszkiem,

- Tak - zasapał. - Myślę teraz, jak to zrobić. Jedną rzecz już załatwiłem.

- Co? - ożywił się Smuthers.

- Kazałem Malchomowi przygotować kilkudziesięciu japońskich zuchów. Jutro z samego rana przeprowadzę nalot na ważniejsze komunistyczne lokale. Zanim Komuniści się zorientują, będziemy mieli w rękach spisy. Może tam znajdziemy ślad Fukudy.

Smuthers roześmiał się.

- Nic się nie zmieniłeś, Bob. Jesteś tak samo prostolinijny i bezwzględny jak przed wojną na Filipinach. Walisz na odlew. Zresztą akcja choć nieco brutalna jest dobrze obmyślana, A co zrobisz, jeśli w spisach nazwiska Fukudy nie będzie?

- Nie wiem - wystękał Crosby. - Słowo daję, że nie wiem. Nawet nie potrafię o tym pomyśleć,

- Widzisz, a ja to już obmyśliłem. Potrzebny nam jest ktoś, kto zna Fukudę, Prawda?

- Tak.

- Mamy takiego człowieka.

- Gdzie? - zerwał się Crosby.

- Uspokój się. Przecież był u ciebie Kanadzawa...

- A u ciebie też był? A to drań.

- Siedź cicho i słuchaj, Kanadzawa jest nam potrzebny. Bez niego nie damy sobie rady. Trzeba go tylko z nami związać.

- Ale jak?

- O to się nie martw. Pojutrze generał Kanadzawa zajmie odpowiednie stanowisko w policji japońskiej i będzie ci podlegał.

- Jesteś generał Sorter - zawołał radośnie Crosby

- Genialny - generał skrzywił się z niesmakiem. - Po prostu umiem dbać o mój business. That's all.

*

Kosuke był doprawdy bardzo wyczerpany. W ciągu ostatnich dni miał tyle roboty, że na sen zostawały mu najwyżej niespełna cztery godziny. Czuł się jednak szczęśliwy. Świadomość, że jest potrzebny, że służy partii, że służy tylu tysiącom towarzyszy, nie dopuszczała doń zmęczenia. Całymi dniami jeździł rozwożąc gazety, druki, zlecenia, pomagał w organizowaniu strajków i wieców, przemawiał i pilnował porządku. We wszystkich fabrykach Tokio znano jego szeroką, zawsze uśmiechniętą twarz, postać z lekka przygarbioną wskutek ciągłego przesiadywania za kierownicą i potężne

pięści, których siłę poznał niejeden szpicel, nasłany przez policje, by zerwać zebranie robotnicze,

Dziś jednak zmęczenie wzięło nad nim górę. Lokal partyjny wkrótce opustoszał Kosuke nie rozmawiał zbyt długo z Surabą, Kilka minut tłumaczył jej coś, na co dziewczyna odpowiadała raczej ruchami głowy niż słowami. Na pożegnanie uścisnął jej rękę.

Kiedy dziewczyna wyszła, szofer rozejrzał się. Okazało się, że poszli już wszyscy. W oczekiwaniu na rozmowę z sekretarzem kucnął w kącie. Kilka chwil czytał gazetę, potem ręce mu opadły, powieki przesłoniły światło lampy i Kosuke zdrzemnął się.

Ze snu wyrwał go hałas. Uniósł głowę i współprzytomnym spojrzeniem ogarnął pokój. Przed nim stał uśmiechnięty sekretarz.

- No, wyspany się?

Kosuke z miną winowajcy wstał.

- Rozumiem ciebie. Kosuke - powiedział sekretarz ciepło. - Ja sam, daję ci słowo, muszę często potrząsać głową, aby nie zasnąć przy pracy. Takiej roboty jak w ciągu ostatnich tygodni jeszcze nie mieliśmy. Ale - roześmiał się radośnie - tak wspaniałych wyników też jeszcze nie mieliśmy. Wiesz, Komitet nas pochwalił, stawiając naszą dzielnicę jako wzór dla całego Tokio.

Kosuke zawtórował mu śmiechem. Nagle urwał, rozejrzał się i pytająco spojrzał na sekretarza.

- A gdzie Toszima?

- Już porozmawialiśmy - twarz sekretarza sposępniała. - Hm. Przykra sprawa - mruknął do siebie. - Właśnie kiedy wychodził trzasnęły drzwi i to cię obudziło.

- Powiedział wam wszystko?

Chociaż w pokoju nie było nikogo. Kosuke zniżył głos do szeptu,

Sekretarz uniósł brwi na znak zdziwienia.

- A co miał mi powiedzieć? Wiesz coś o tym?

Kosuke gniewnie potrząsnął ręką.

- Pewnie, że wiem. Więcej niż wam się wydaje.

- Powiedział wam o tym, że towarzysz, który mówił dziś na wiecu, jest nasłany? - gorączkowo zapytał Kosuke.

Sekretarz strząsnął jego ciężką dłoń ze swego ramienia. Przeszedł się po pokoju i wreszcie zatrzymał się na wprost szofera.

- Towarzyszu Kosuke, nauczcie się wreszcie, że w Partii istnieje dyscyplina. Są sprawy, które...

- Towarzyszu sekretarzu, odpowiedzcie mi tylko na to jedno pytanie...

W głosie Kosuke brzmiały błagalne nuty. W oczach jego czaiła się prośba i sekretarz uległ.

- Powiedział - odrzekł twardo. Kosuke chwycił sekretarza za rękę.

- Nie wierzcie mu, to on jest prowokatorem!...

- Towarzyszu Kosuke - głos sekretarza brzmiał zimno i oficjalnie. - Czy nie za ciężkie oskarżenie cucicie na towarzysza, nie mając po temu żadnych podstaw? Co?

Kosuke zamilkł. Usiadł gwałtownie na krześle i ciężko dyszał. Ręce drżały mu z podniecenia. Potem wstał i w krótkich słowach powtórzył cały przebieg rozmowy z Toszimą. Nie zapomniał opisać również zachowania Toszimy podczas rozmowy.

- No i co? - zapytał sekretarz. - Gdzie macie podstawę do „skarżenia Toszimy?

Kosuke pokręcił głową.

- Właśnie, że nie mam, ale czuję - dotknął kilka razy palcem nosa - czuję, że Toszima nie przypadkowo ze mną o tej sprawie zagadał.

- Może coś o was wiedział?

- O mnie?

Szofer nachmurzył się, wstał i zbliżył się do sekretarza tak, że twarze ich prawie stykały się.

- Jeżeli Toszima coś wiedział o mnie, jeżeli on widział wszystko, to ja go... - palce Kosuke zacisnęły się gwałtownie. - Ja go - powtórzył chrapliwie - zabiję.

Sekretarz usiadł. Rozłożył gazetę, wygładził zmięty róg i zaczął czytać. Nagle spojrzał na szofera.

- Znacie tamtego? Wiecie, jak się nazywa?

- Znać to go znam - odrzekł cicho szofer. - To ja go przecież wyprowadziłem... Ale nie wiem, jak się nazywa...

Sekretarz milczał i Kosuke zrozumiał, że sekretarz czeka, on wszystko opowie. Zaczął więc mówić. Opowiadał gorączkowo i bezładnie. Mówił na przemian o demonstracji i o katastrofie samochodowej, o aresztowaniu towarzyszy i o tym, jak prowadził zbiega. Sekretarz słuchał uważnie, nie przerywając.

- Towarzyszu sekretarzu - Kosuke skończył relację i wstał - powiedziałem wam wszystko. Po to tu zresztą przyszedłem, bo chcę żebyście tamtego towarzysza zobaczyli. Ale mogę wam jedno powiedzieć. Policja wyczynia czasem różne hece, żeby nam wepchnąć prowokatora. Tym razem to nie była żadna heca. To była prawdziwa katastrofa i ten człowiek naprawdę uciekał...

- Wiem o tym, towarzyszu Kosuke, ale to jeszcze nie powód, żebyśmy mieli podejrzewać towarzysza Toszimę. Być może, że mówił wszystko w najlepszej wierze, być może...

- Towarzyszu sekretarzu powiem wam jeszcze coś. Prosiłem towarzyszkę Surabę, aby zainteresowała się żoną Toszimy.

- Bez zgody Komitetu?

- Coś, sam nie wiem co, kazało mi tak postąpić.

- No cóż, stało się. Rozpatrzmy wasze postępowanie na zebraniu - podkreślił sekretarz. - A teraz zaprowadźcie mnie do Fukudy.

- Do kogo?

- No do tego towarzysza, który dziś uciekł policjantom.

- Znacie go? Znacie jego nazwisko? - Kosuke otworzył usta ze zdumienia.

Sekretarz uśmiechnął się.

- Nigdy nie widziałem go na oczy. Ale już o nim słyszałem. Od czterech godzin policjanci wyłazą ze skóry szalejąc człowieka nazwiskiem Fukuda. Najdziwniejsze jednak, że szukają go przede wszystkim Amerykanie. Coś w tym musi być...

- Wszystko wiecie - Kosuke wciąż jeszcze nie mógł się uspokoić. - Wszystko wiecie.

- Cóż chcecie, towarzyszu Kosuke. Nasza partia nie zwykła bagatelizować ważnych spraw. A to, co się kryje za kulisami dzisiejszej historii, nie jest sprawą błahą, skoro Amerykanie postawili na nogi cały aparat. Partia zainteresowała się tym i poleciła mi wyjaśnić pewne kwestie... Musimy uprzedzić poczynania szpiclów... Dlatego nie czas teras na rozmowy. Chodźmy lepiej do Fukudy. Zanim przystąpimy do działania, musimy poznać tego człowieka, dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia.

*

Zegar przed gmachem prefektury policji wskazywał godzinę dziesiątą. Zazwyczaj o tej porze paliło się światło jedynie w gabinetach, w których urzędowali sędziowie śledczy. Dziś jednak wszystkie okna były oświetlone. Wewnątrz budynków panował gorączkowy ruch. Oficerowie i policjanci biegali po schodach jak oparzeni.

Na drugim piętrze pieklił się sprawca całego zamieszania - pułkownik Riusi. Co chwilę wpadał ktoś do jego gabinetu, by od razu wylecieć odprowadzany wściekłymi okrzykami zwierzchnika. Riusi biegał po pokoju, wyrzucał rozkazy z szybkością karabinu maszynowego, przeglądał raporty, darł je i deptał, krzyczał do telefonu, trząsał widełkami.

- Wszystkich zbadaliście? Nikt z nich nic nie wie? - krzyczał Riusi do rozdygotanego majora, który stał w postawie na baczność ze strachem myśląc, że za chwilę pułkownik uderzy go ciężkim przyciskiem, który trzymał w ręku.

Ale Riusi rzucił przycisk na podłogę.

- To się nazywają pracownicy policji - wrzeszczał pułkownik.- I wy uważacie, że jesteście ludźmi, którzy potrafią bronić imperium?! - Zaklął. - Wódkę chlać umiecie, pieniądze kraść, łapówki brać, szantażować idiotów, to umiecie. A z kilku komunistami nie możecie sobie dać rady. Wybadać ich nie potraficie! Wy durnie. Skórę z nich zdzierać pasami, nogi im łamać po centymetrze, żeby zaczęli śpiewać. Muszą powiedzieć, skąd jest ten Fukuda, gdzie się ukrywa, kto mu pomógł w ucieczce. Przecież widziano, że ktoś biegł za nim i wprowadził go do jakiegoś podwórka, skąd dalej uciekli przez ogrody.

- Panie pułkowniku - wtrącił dygocąc major - ośmielam: się zauważyć, że wszyscy aresztowani zorali poddani badaniom drugiego stopnia. Dwaj nawet tego nie wytrzymali.

Riusi nagle uspokoił się. Spojrzał pogardliwie na majora i syknął:

- Baba! Niech pan wraca i dalej prowadź! Przesłuchanie. Albo nie, niech pan zleci badanie kapitanowi Kikuczi. Ten potrafi nawet niemego zmusić do gadania. Niech pan tylko asystuje.

Major wyszedł i Riusi został sam w gabinecie. Doszedł do telefonu. Chwilę czekał ze słuchawką w ręku, wreszcie zdecydował się i nakręcił numer.

- To pan, generale?... Tak, Riusi. Nic nowego na razie. Tak. Marny już o dwóch aresztowanych mniej... Tak... nie wytrzymali badania... To nic. Kikuczi teraz rozmawia z pozostałymi. Zresztą ja sam zaraz zejdę... Tak., Jeszcze tylko skończę z tyra głupcem Jamagisim... Jasne, jasne, generale... Nic innego nie może zrobić... Tak, tak... Zatelefonuję... Nawet w nocy, jeśli czegoś się dowiem.

Odwiesił słuchawkę, wezwał dyżurnego. Kazał wprowadzić kapitana Jamagisi.

W kancelarii oficerowie siedzieli jak myszy pod miotłą. Gdy Jamagisi znikł wewnątrz gabinetu pułkownika, jeden z nich szeptem zwrócił się do drugiego:

- Takiego piekła tu jeszcze nie było,
- Musiał nam się wymknąć nie lada ptaszek.
- I za to wszystko odpowie Jamagigi.
- Co mu zrobią?

- Nic. On sam sobie robi - chwycił ze stołu nóż do rozcinania papieru i przytknął go sobie do brzucha. - Rozumiesz? A chłop wcale nie jest winien.

W tej chwili Jamagisi wyszedł z gabinetu. Był całkiem blady. W twarzy jego nie było widać ani kropli krwi. Szklanymi oczyma prześlizgnął się po twarzach kolegów i bez słowa zamknął za sobą ciężkie drzwi kancelarii.

- Biedny chłop...

Oficer nie zdążył skończyć. Z gabinetu wyleciał Riusi.

- Próżnujecie? Ja was nauczę. Kartoteki sprawdzone?

Oficerowie zastygli w postawie na baczność.

Riusi skrzywił się z niesmakiem. Był zły na siebie za swój gniew. Nikt przecież nie jest winien ani mniej, ani bardziej niż on. Za przypadek, że Fucudzie udało się uciec, nie można przecież winić całej policji tokijskiej.

- Idę teraz na dół, na śledztwo. Jeśli nadejdzie jakiś meldunek, dajcie mi natychmiast znać. Spróbujemy jeszcze wycisnąć coś z jego współników.

Wychodząc z kancelarii odwrócił się.

- Poruczniku Tamura przygotujcie dokładny rysopis tego Fukudy. Widzieliście go przecież z bliska. Potem zajmiecie się kontrolą obławy i rewizji. Major Kioszi ma z tym za dużo roboty, a ja muszę mieć w ciągu nocy dokładne sprawozdanie. No, a teraz śpieszę do naszych ptaszków - zakończył z krzywym uśmiechem.

*

Muzyka przestała grać. Kilka par, potykając się i zataczając, wracało na miejsca. Przy barze panował ścisk. Mężczyźni w mundurach ściskając obnażone kobiece ramiona wołali głośno do barmanów, żądając jeszcze wódki. Kobiety chichotały i śpiewały, usiłując zdusić pijacką czkawkę.

Przy stolika w łoży siedziało kilku oficerów i dwie kobiety. Obie miały wystraszone spojrzenie. Wyraz ich twarzy - osowiały i smutny - nie licował ani z eleganckimi ubiorami, ani z głośnym śmiechem reszty towarzystwa. Dziewczyna w długie i czarnej sukni usiłowała ześlizgnąć się z kolan

porucznika Rooge, który waląc pięścią w stół tłumaczył coś swoim kolegom. Ale Rooge zawsze w porę wolną ręką ścisnął dziewczynę w pasie, mówiąc:

- Siedź, mała, i ciesz się, że mister Rooge raczy w ogóle wziąć na swoje kolana coś takiego jak ty.

Koledzy Rooge'a słuchali jego wywodów niezbyt uważnie. Znacznie bardziej interesowała ich w tej chwili scena rozgrywająca się przy innym stoliku. Jakiś pijany major wdrapał się na stół i tłumaczył wszystkim, że utrzyma się na czterech butelkach. Ktoś usiłował ma to wyperswadować, ale major zniecierpliwiony, pchnął oponenta i kazał ustawiać butelki. Przy wszystkich stolikach rozpoczęły się zakłady. W loży Rooge'a wyczyn majora też wzbudził sensacji.

- Stawiam dwadzieścia dolarów, że się utrzyma - krzyczał ktoś przy sąsiednim stoliku, - Znam go, to „Łysy Jim”, atrakcja cyrku Mikulo w Cansas. Gdyby był trzeźwy, nie dałbym za niego złamanego centa, a po pijanemu „Łysy Jim” przejdzie nawet po linie.

Rooge zamilkł na chwilę i spojrzał mętными oczami na akrobatyczną scenę.

- Przyjmuję zakład - krzyknął na cały głos i bez ceregieli zrzucił dziewczynę z kolan. - Stawiam czterdzieści, że upadnie.

Dziewczyna ześlizgnęła się na podłogę. Cicho popłakując wstała i chciała wyjść. Ale Rooge schwycił ją za rękę.

- Siedź i czekaj. Zapłaciłem za ciebie pięć dolarów i nie mam zamiaru znosić twoich fochów. My, Amerykanie...

Zanim skończył „Łysy Jim” z trzaskiem i hukiem zleciał ze stolika, Rooge podskoczył z zachwytem. „Łysy Jim” leżał na podłodze. Z policzka rozciętego o potłuczoną szklanę ściekała krew.

- Widzicie, durnie - wołał Rooge. - Płacić pieniążki. Ja stawiam zawsze na dobry business. Mam dobrego niucha do pieniędzy.

- Dlatego siedzisz w G-2 - krzyknął ktoś spośród tych, co stawiali na akrobatyczne umiejętności „Łysego Jima”,

- A żebyś wiedział - odrzekł Roore - G-2 to najlepszy business. Lepszy niż twoje kanty z wódką z ryżu. Aha - zawołał zadowolony, widząc, że tamten cofnął się zdumiony, - Myślisz, że nic nie wiemy. Figę z makiem. Jutro przyjdiesz do mnie, to sobie pogadamy. Tak, tak, mój słodki Perkins. Rooge to stary wyga.

Perkins zaklął i usiadł przy ich stoliku. Kieliszki zostały napełnione.

Rooge schylił się w stronę siedzącego obok cywila.

- Ja panu mówię, mister Hitchener, słuchaj pan moich rad. Chce pan zarobić dobry kusz, dawaj pan pięćdziesiąt tysięcy dolarów i robimy spółkę. Ta fabryka warta jest co najmniej dwadzieścia razy tyle. Ani się pan obejrzy, a już w kieszeni będziesz miał pół miliona, moja głowa w tym, żeby żadnego ryzyka nie było. Mój szef, ten baran Crosby, ma swój business i nie będzie nam przeszkadzał. Zwłaszcza, że teraz ma głowę zajętą jakimś paskudnym gachem, który zwiął z więzienia. Ale my go złapiemy i business ruszy. Roope to panu mówi. A Rooge, mister Hitchener, za darmo nie rzucił spokojnej roboty na giełdzie i nie poszedł przelewać krwi ta Amerykę. Business is business. Trzeba umieć zarobić na wojnie i na zwycięstwie. - Język mu się chwilami plątał, ale Hitchener słuchał uważnie, - Rozumiesz, Hitchener. Złapiemy tego Fukudę i zgniemy go jak pluskwę, et tak - zdusił pięścią kieliszek. - Wszystkich czerwonych zdusimy. Podniósł oczy i zobaczył kelnera.

- Precz - wrzasnął - pod słuchujesz, o czym mówią amerykańscy oficerowie, japońska świnio. Precz, bo cię rozstrzelam. Wszystkich czerwonych rozstrzelam.

Kelner znikł. Rooge posadził sobie na kolana dziewczynę i podał jej kieliszek wódki.

- Pij mała. Znaj dobre serce porucznika Rooge'a.

- Mister Rooge - trącił go Hichener - czy ten pański business jest pewny?

Rooge zaryczał.

- Sto razy ci mówiłem, Hichener. Pamiętam, jak ci doradzałem kupno tamtej kopalni. Ile na tym zarobiłeś? Miliony: A dzisiaj jest nowy business, I też będą miliony. Porcelana - dodał szeptem - będzie teraz potrzebna. Na porcelanie będziemy robić kokosy, Por-ce-la-na! - zanucił.

Ogarnęła go znów pijacka wesołość. Szturchnął boleśnie dziewczynę.

- Śmieję się mała. Bo jak rzucimy ci na głowę bombę atomową, to nie będziesz na to miała czasu.

Zarechotał dumny ze swego dowcipu. Reszta towarzystwa też śmiała się do rozpuku.

- A zresztą śmieję się nie z bomby atomowej. Śmieję się, mała, bo kto wie, jaką jeszcze broń wymyśli Ameryka. Zdrowie nowej bomby, panowie. Tylko czerwoni boją się atomów. Dla nas rzucić komuś bombę na głowę, to tyle, co raz splunąć, a dla nich to cały problem moralny... Zresztą, teraz musimy wypić. I już!

IV

Opowiadanie Fukudy. Człowiek staje się maszyną

Wokoło panowała nieprzenikniona ciemność. Fukuda otworzył szeroko oczy. A jednak ciemność nie ustępowała. Czoło i twarz bolały go, piekąc niemiłosiernie. Uniósł głowę z poduszki. Ból wzmógł się. Usiłował zebrać rozpierzchające się myśli. Zaraz, zaraz. Dlaczego jest tak ciemno, gdzie się znajduję?... Aha. Z wolna w świadomości zaczęły wyrastać obrazy minionego dnia. Najpierw jakieś tłumy ludzi - to wiec. I jeszcze przemówienie. To on mówił. Teraz przypominał sobie wszystko po kolei. Aresztowanie, przesłuchanie na policji, jazdę samochodem, zgrzyt hamulców, piekący ból i nagłą ucieczkę. Potem wyrósł skądś przy nim jakiś człowiek, razem biegli przez ogrody, jechali ciężarówką. Teraz jest w mieszkaniu u tego doktora, który mu opatrzył obrażenia.

A tamten? Gdzie teraz jest? Co robi? Myśl ta oślepiła go nagle i rozpałała się gdzieś u samego szczytu czaszki. Fukuda uniósł się na rękach. I naraz uspokoił się. Tamten mu nie ucieknie. Trafił przecież na dobry i pewny ślad. I już go nie zgubi,

Zaczął nasłuchiwać. Zza ściany dolatywał stłumiony ludzki szept, Fukuda wstał, syknąwszy, bo poczuł, jak wzmaga się ból w kolanie. Namacał w kieszeni pudełko zapalek, zaświecił jedną z nich. Migotliwy płomyk wskazał mu drogę do drzwi. Fukuda zawahał się. A co jeśli tam za ścianą jest ktoś, kto nie powinien Co tu widzieć. Przecież doktor powiedział mu wyraźnie, że kilka dni będzie musiał się ukrywać. Kilka dni! Łatwo powiedzieć - kilka dni. Ale on, Fukuda, nie może marnować czasu. Tamci nie próżnują. Musi im przeszkodzić.

On? Znów złapał się na tym słowie. Dość już tego samotnictwa”. Sam nic nie robi. Zdmuchnął zapałkę, która zaczęła mu parzyć palce. Porozmawia z doktorem i tym szoferem, żeby go skontaktowano z kimś z władz partyjnych. Jeżeli wezmą się do tego wszyscy razem, na pewno osiągną powodzenie.

Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi. Oślepiła go smuga światła. Na chwilę przymknął oczy, do których nagle napłynęły łzy. Otarł je grzbietem dłoni i tym razem już ostrożnie podniósł powieki.

Przy niziutkim stoliku siedziało trzech mężczyzn. Fukuda znał tylko dwóch - doktora i szofera, który mu pomógł w ucieczce. Trzeci mężczyzna, młody, o żywych, ruchliwych oczach, siedział na wprost drzwi i badawczo spoglądał na Fukudę.

- Wypoczęliście trochę towarzyszu? - zapytał doktor w stając i dochodząc do Fukudy.

- Tak, dziękuję wam za opiekę.

Fukuda zamilkł. Nie wiedział, co ma mówić, jak się ma zachować. Badawcze spojrzenie nieznanego nie tyle peszyło go, ile gniewało, i naraz rozumiał dlaczego: „Nie mają do mnie zaufania - pomyślał z żalem. - I słusznie. Czasy są trudne, nie wolno ufać każdemu na pierwsze wejrzenie”.

Popatrzył na nieznanego. Oczy ich spotkały się na chwilę. W spojrzeniu tamtego zamigotał cień uśmiechu. Coś jak gdyby radość, że zaczynają się rozumieć.

- Siadajcie, towarzyszu Fukuda - odezwał się nieznanomy.

Fukuda drgnął - skąd znają jego nazwisko? Dopiero po chwili zreflektował się, że przecież podał je gospodarzowi, po opatrunku.

Usiadł i zamyślił się. Dlaczego dwukrotnie podał dziś nazwisko, którego nie używał już od kilku lat. Może to i

dobrze. Nigdzie, nawet w Kobe, gdzie mieszkał ostatnio, gdzie był zameldowany, nie znano go jako doktora Fukudę.

- Niewielu jest ludzi znających moje prawdziwe nazwisko.

Wypowiedział te słowa bezwiednie, głośno wyrażając swe myśli.

- Mylicie się - uśmiechnął się nieznajomy. - Dziś zna już je nawet zbyt dużo ludzi.

- Moje nazwisko? - zdziwił się Fukuda.

- Mhm. Policja od kilku godzin nie robi nic innego, jak tylko szuka niejakiego Takeo Fukudy,

- A, policja - uspokoił się Fukuda. - Tak im się przedstawiłem, kiedy mnie aresztował: - zażartował, - Skoro im uciekłem, więc mnie szukają.

Nieznajomy znów badawczo spojrzął na Fukudę.

- Nie macie racji. Nie każdego szukają tak - podkreślił to słowo - jak was.

Fukuda poruszył się niespokojnie,

- Nie rozumiem... Co to może oznaczać...

- My też nie rozumiemy - przerwał mu nieznajomy - i sądzimy, że nam to wyjaśnicie.

Fukuda siedział zamyślony. Zdawało się, że nawet nie dosłyszał słów nieznajomego.

- Słuchajcie, towarzyszu - zwrócił się do szofera, któremu zawdzięczał wolność - chcę, byście mnie skontaktowali z kimś z przywódców partyjnych tu, w Tokio.

Szofer uśmiechnął się i już chciał coś powiedzieć, gdy odezwał się nieznajomy:

- Najpierw, chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś od was. Kim jesteście?

Z twarzy szofera znikł uśmiech, Fukuda spojrzął na nieznajomego otwarcie i szczerze,

- Nie o wszystkim, towarzyszu, można każdemu powiedzieć.

- Macie rację. Ale czasem trzeba o sobie powiedzieć - strzepnął pakami. - Jestem sekretarzem organizacji dzielnicowej w tej części Tokio i przyszedłem po to, by omówić z wami wasze sprawy

- Moje sprawy? - Fukuda powiedział te słowa wolno, z namysłem. - Dobrze - zdecydował się. - Najpierw powiem wam, kim jestem. Powiem wam wszystko. Mnie też milczenie ciąży. Ale - zamyślił się - zanim dojdę do dnia dzisiejszego muszę wam powiedzieć wiele rzeczy. Może to was będzie nużyło. Jest już chyba późno, a moja historia jest dosyć długa...

Nikt nie powiedział ani słowa, ale z twarzy wszystkich trzech odczytał Fukuda, że będą go słuchać uważnie i w skupieniu, choćby to miało trwać nawet cała noc.

Sięgnął po papierosa. Zapalił, zaciągnął się dymem i usiadł wygodnie.

- Zanim dojdę do wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich dniach, muszę się cofnąć do historii z lat bardzo dawnych...Byłem wtedy małym chłopcem, miałem sześć lat. Dzieciństwo moje upływało, podobnie jak dzieciństwo setek tysięcy innych sześciolatnich Japończyków, Mając sześć lat znałem już krwawą cenę każdego yena. Nie widziałem na twarzy mojej matki uśmiechu. Często natomiast widziałem, jak bruzdami zmarszczek spływały po jej policzkach łzy...

Głos Fukudy biegł jakby z oddali. Jakby on sam wraz ze wspomnieniami cofnął się wstecz, do tamtych lat. Widział siebie jako małego chłopca, noszącego kubeczki wody na pole, na którym pracował ojciec...

- Miałem sześć lat, ale już nie byłem dzieckiem. Pewnego dnia wróciliśmy wcześniej z ojcem do domu. Ojciec nie mógł ustać na nogach. Położył się bez jedzenia na macie. Rzucił się,

krzyczał coś, żar bił od niego jak z pieca. Matka pobiegła do sąsiadów. Przyszło kilka kobiet i wówczas dowiedziałem się, że ojciec jest chory i że w naszej wsi choruje tak samo jeszcze wielu mężczyzn, kobiet i dzieci.

- W nocy obudziło mnie szlochanie matki. Ojciec umarł nie odzyskawszy przytomności. W naszej wsi zaczęły dziać się straszne rzeczy. Ludzie marli jak muchy. Po kilku dniach przyjechali lekarze. W kilka chwil po ich przybyciu rozeszło się straszne słowo „dżuma”,

- Dżuma - powtórzył Fukuda i rozgorączkowanymi oczami wpił się w swoich słuchaczy. - Czy rozumiecie, co kryje się za tym słowem? Śmierć! Śmierć setek tysięcy ludzi, dla których nie ma ratunku. 1 ja tę śmierć widziałem. Widziałem trupy na progach domów, trupy na polach, trupy na drodze.

- Lekarze, których do nas przysłano, już nie wyjechali. Samolot dostarczył pewnej ilości lekarstw. Naszą wieś i kilka okolicznych wiosek otoczono zasiekami z drutów kolczastych. Wojsko i policja pilnowała, by nikt z zadzumionych wsi nie przedostał się za zasieki. Nie rozumiałem tego wszystkiego. Byłem przecież mimo wszystko dzieckiem. Biegałem po wsi i widziałem, jak ludzie umierają. Pędziłem do lekarzy, bo rozumiałem już, że tylko oni mogą zwalczyć śmierć, i wołałem ich na pomoc, ale lekarze też byli bezradni. Nasz dobry rząd - podkreślił z ironią - przysłał tak mało środków sanitarnych, że trudno było powstrzymać zwycięski pochód śmierci. Nasz dobry rząd, nasz wielki „tanno” nie mieli czasu zatroszczyć się o życie ludzi z nędznych, ubogich wiosek. 1 ludzie marli. A „tanno” wcale się tym nie przejmował, bo przecież w Japonii i tak ludzi było zbyt dużo, przecież i tak życie człowieka warte jest zaledwie kilka yen, a medykamenty są drogie, bardzo drogie...

- To wszystko zrozumiałem znacznie później - ciągnął Fukuda. - Wtedy, jako sześćoletni chłopiec, patrząc na śmierć mojej matki, przysiągłem sobie, że kiedy dorosnę, zostanę lekarzem, że będę miał biały fartuch, a w kieszeni pełno buteleczek z płynem zabijającym dżumę.

Zamilkł na chwilę. Myśli jego błądziły w przeszłości, przebiegały pola, na których usechł nieuprawiany ryż, i chaty, w których zamilkło życie.

- Nie gniewajcie się na mnie, że mówię wam o tym wszystkim, że mówię chaotycznie i nie potrafię opanować swoich uczuć - zwrócił się do słuchaczy, Spojrzał na ich twarze i odnalazł w ich oczach smutek. - To doprawdy wszystko jest ważne. Życie człowieka i samego człowieka formują przecież warunki, w jakich dorasta i żyje.

- W ekipie lekarzy, przysłanych do walki z dżumą, był jeden stary doktor, który strasznie gniewał się, że ma tak mało środków. Nie pamiętam, co mówił, ale wiem, że bolał nad każdym umarłym i przeklinał tych, którzy temu byli winni. Bałem się tego doktora i kochałem go. Takie sprzeczne uczucia często dają się pogodzić w duszy dziecka. Stary doktor też musiał mnie lubić. Opiekował się mną, karmił, oddając mi część swojej racji żywnościowej. Płakał razem ze mną, gdy zmarła moja matka... Potem epidemia zaczęła wygasać. W naszej wsi zostało przy życiu zaledwie kilkunastu ludzi. Wśród nich byłem i ja. Pewnego wieczoru stary doktor zawołał mnie do siebie i zaczął wypytywać o rodzinę. Nie miałem nikogo. I doktor powiedział mi, że skoro tylko skończy się kwarantanna, zabierze mnie ze sobą do miasta, w którym mieszka, Stary doktor mówił, że nie ma dzieci, że jest sam z żoną, że będzie mi u niego dobrze. Wyznałem mu wtedy moje najskrytsze marzenia - stać się lekarzem i zabić dżumę. Stary doktor pogłaskał mnie po głowie i obiecał, że pomoże mi

zostać doktorem. Do dziś zdaje mi się, że czuję na głowie jego suchą, starczą dłoń i słyszę jego drżący ze wzruszenia głos.

Jaskrawe światło żarówki padało na twarze mężczyzn zgromadzonych przy niskim stoliku. Każdy z nich słuchając opowiadania Fukudy cofał się myślami w przeszłość, do własnych lat dziecińczych. I każdy myślał o tych latach ze smutkiem i gniewem. Przecież dzieciństwo Fukudy niczym nie różniło się od ich dzieciństwa. Cóż z tego, że we wsi, w której urodził się Kosuke, nie było dzumy. Ale był głód i była nędza i ludzie też umierali i dzieci też znały tylko grymas troski zastygły wokół matczynych ust, co nie umiały uśmiechnąć się nawet do własnego dziecka...

- W mieście oddano mnie do szkoły - podjął swe opowiadanie Fukuda. - Stary doktor i jego żona zajęli się mną, jakbym był ich synem. A u nich też się nie przelewało. Stary doktor nie szukał bogatych pacjentów, tak jak inni jego koledzy. Nieraz po nocy wzywano go gdzieś do chorego, który uległ wypadkowi w fabryce. I doktor śpieszył, wracał dopiero nad ranem i zamiast pieniędzy znosił do domu opowiadania o niedoli robotniczej... A ja uczyłem się. Uczyłem się pilnie. Byłem najlepszym uczniem w klasie. Zainteresował się mną nawet dyrektor szkoły, stawiano mnie za wzór wszystkim uczniom. Dostawałem pochwały i nagrody.

- Któregoś dnia dyrektor wezwał mnie do siebie. Miałem już wtedy dwanaście lat. Dyrektor tłumaczył mi długo i zawile, że Bóg nie na próżno ocalił mnie, gdy w mojej wsi szalała dzuma, a potem roztoczył nade mną swą opiekę i pozwolił się uczyć.

Chciałem zaprotestować i powiedzieć, że to nie Bóg, ale stary doktor mi pomógł, ale dyrektor mówił pięknie i kwiecicie, a mnie, dwunastoletniemu chłopcu, zaczęto się wydawać, że to rzeczywiście Bóg mnie wyratował. Potem

dyrektor mówił mi wiele o obowiązkach wobec cesarza i ojczyzny, o tym, że każdy Japończyk musi oddać wszystkie swe siły na służbę dla cesarza. W mojej pamięci dziecka, które z otchłani nędzy przeniesiono w dostatnie życie, zacierało się z wolna wspomnienie o krzywdzie, jaka się stała moim rodzicom i ludziom z naszej wsi. Może to była nawet wina starego doktora, który nigdy nie mówił ze mną o tych sprawach. Dość, że uwierzyłem dyrektorowi i poczułem nagły przypływ miłości do cesarza. Zapytałem dyrektora czy ja, dwunastoletni chłopiec, mogę w czymś przysłużyć się imperium. Wówczas dyrektor objął mnie i oświadczył, że jestem chlubą jego szkoły, ale skoro chcę już teraz służyć cesarzowi ze wszystkich sił, to zgodzi się przenieść mnie do szkoły wojskowej, w której uczą się przyszli oficerowie bohaterskiej armii cesarza. Na moją wyobraźnię podziałała wizja barwnego munduru. Od razu zobaczyłem siebie na czele pułków zdobywających dalekie kraje. Oczom mej fantazji ukazał się Takeo Fukuda jako zwycięski dowódca, jako bohater, o którym piszą, w książkach. Zgodziłem się bez wahania. Ba, dziękowałem dyrektorowi za jego opiekę nade mną.

- Wróciwszy cło domu opowiedziałem wszystko staremu doktorowi. - Głos Fukudy załamał się. - Nigdy... nigdy nie zapomnę smutku, jaki widziałem na jego twarzy podczas tej rozmowy. Kiedy skończyłem, stary doktor zaczął mi mówić, że wchodzę na złą drogę. Przypomniał mi dziecięce sny o karierze lekarza - pogromcy dzumy. Ale wizja munduru i laurów bohatera była znacznie bardziej pociągająca i przesłaniała wizję lekarskiego fartucha. Wtedy mój opiekun zaczął mówić o krzywdzie i niedoli japońskiego chłopca i robotnika. Tłumaczył mi, że cesarz nie jest ojcem wszystkich Japończyków, ale złym ojczymem biedaków. Ale doktor nie

umiał mówić tak pięknie, jak dyrektor Nie uwierzyłem mu. To była nasza ostatnia rozmowa. Nazajutrz ze szkoły sam dyrektor odprowadził mnie i jeszcze kilku chłopców do szkoły wojskowej. Zaczął się nowy okres w moim życiu.

Fukuda zwiesił głowę. Jego czarne włosy obramowane białą bandażą wyglądały jak mała czapeczka wtłoczona na czubek czaszki.

- Nie będę wam opowiadał o tym, co się działo w mojej nowej szkole. Znamie te sprawy nie gorzej ode mnie, chociaż tam nigdy nie byliście. Uczono nas wszystkiego, czego się uczy w szkole normalnej, ale podlewano to obficie niż gdzie indziej sosom nagości i uwielbienia dla cesarza. Od rana do wieczora wpajano w nas szintoizm. Po lekcjach odbywały się ćwiczenia wojskowe. Zresztą - machnął ręką - sami wiecie, jak to wygląda. Przecież do dziś nic prawie nie zmieniło się w takich szkołach. Powiem wam krótko - lata spędzone w tej szkole miały mnie i moich rówieśników zamienić w maszyny, w bezmyślne mechanizmy zdolne jedynie do wykonywania rozkazów i służenia cesarzowi. Kiedy ukończyłem szkołę, byłem już właściwie nie człowiekiem, ale taką maszyną.

Fukuda zapalił papierosa. Ręka, w której trzymał zapalnik, drżała ledwo uchwytne. Kosuke westchnął ciężko. Fukuda spojrzał nań. W jego wzroku znalazł współczucie i zrozumienie,

- Nie wiem - powiedział po chwili - czy mnie rozumiecie. Ale to naprawdę bardzo ważne. Wkroczyłem w życie włokąc za sobą podwójny balast - jeden, to zacierające się wspomnienie o latach niedoli w dzieciństwie, w nędznej chacie rodziców, drugi - to wciąż wtłaczana w głowę nauka, że jestem sługą cesarza i imperium...

- Rozumiem cię - odezwał się po raz pierwszy sekretarz. - Pojmuję, jak ciężko ci dziś o tym mówić, kiedy zrozumiałeś tak wiele.

- Nie tylko zrozumiałem - pokręcił głową Fukuda. - Ważniejsze jest to, że zobaczyłem i przeżyłem...

Sekretarz nic nie odpowiedział. Kilka chwil palili w milczeniu. Potem Fukuda nagłym gestem zgniótł papierosa.

- Kilka dni przed opuszczeniem murów szkolnych, każdego z nas wzywał do siebie dowódca. Rozmowy trwały na ogół krótko i każdy z nas dowiadywał się o przydziale do szkoły oficerskiej. Inaczej nieco wyglądała rozmowa ze mną i jeszcze kilku uczniami, którzy ukończyli szkołę z wyróżnieniem. Dowódca pochwalił mnie za pilność, podziękował w imieniu cesarza i zapytał, czy może chcę uczyć się dalej, pójść na uniwersytet. W ciągu lat spędzonych w szkole, zapomniałem prawie o swoich dawnych marzeniach. Wróciły one właśnie w owej chwili, w gabinecie dowódcy szkoły. Powiedziałem mu, że chciałem zostać lekarzem, że marzyłem o karierze bakteriologa. Odpowiedź otrzymałem po kilku dniach. Wezwano mnie ponownie do dowódcy i ten oświadczył mi, że zostaję skierowany na studia medyczne do Kioto, z tym, że specjalizację przejdę w wojsku. Nie omieszkał mi przy tym przypomnieć, że nadal jestem wojskowym, że muszę mieszkać w koszarach szkoły oficerskiej, do której mnie przydzielą w Kioto.

- Tak się też stało. W chwilach wolnych od nauki, prowadzono nas, było takich studentów jak ja kilkunastu na różnych wydziałach, na ćwiczenia. Stawałem się lekarzem i oficerem równocześnie. Najlepiej jednak czułem się właśnie odrabiając ćwiczenia laboratoryjne. Uczyłem się poznawać choroby, uczyłem się je zwalczać. Spytacie może, czy nie rodził się we mnie bunt przeciw twardej, bezdusznej dyscyplinie

koszar, przeciw zabijaniu we mnie człowieka. Przecież stykałem się z różnymi studentami, wśród których nie brakło prawdziwych demokratów. Ocierałem się o ruch rewolucyjny, tłumiony przez profesorów, a mimo to rozpalający się w sercach studentów. Odpowiem wam szczerze - nie. Nie buntowałem się, bo od lat zabijano we mnie wszelką myśl o buncie. Uczono mnie widzieć w każdym, kto mówił inaczej niż ja, wroga. Straszny jest aparat, który niszczy w człowieku duszę. I straszny jest człowiek, co wychodzi spod tego aparatu. A ja byłem takim właśnie człowiekiem-maszyną. Nie zetknąłem się jeszcze bezpośrednio z grozą systemu, którego miałem bronić. Dlatego bunt nastąpił dopiero później.

- Ukończyłem uniwersytet w 1942 roku. Nazajutrz po otrzymaniu dyplomu wezwano mnie do komendanta szkoły oficerskiej. Z dumą pokazałem mu dyplom absolwenta wydziału medycznego. Dopiero potem zauważyłem, że oprócz komendanta w pokoju znajdował się jeszcze jeden człowiek. Był to mężczyzna w cywilnym ubraniu, ale wszystko w jego postawie i twarzy mówiło, że taki strój jest mu obcy. Komendant przedstawił mnie nieznanemu, tytułując go generałem. Potoczyła się rozmowa na temat moich studiów i planów. Po kilku minutach zrozumiałem, że ów generał bardzo dobrze orientuje się w bakteriologii. Mówiliśmy głównie o chorobach epidemicznych. Bardzo dużo uwagi poświęciliśmy dżumie, którą przecież interesowałem się nie od dziś. Komendant wtrącał się do rozmowy rzadko i tylko po to, by pochwalić mnie jako pilnego studenta i prawdziwego oficera, marzącego o służbie dla cesarza. Generał słuchał tych pochwał uważnie, zadając mi raz po raz pytania z zakresu polityki. Odpowiadałem tak, jak nas uczono w szkole oficerskiej. Rzucałem przekleństwa pod adresem Związku Radzieckiego i komunizmu. Generał był zachwycony, Wreszcie

rozmowa zaczęła się zbliżać ku końcowi. Pamiętam, jakby to się działo dziś. Generał położył mi rękę na ramieniu, - Fukuda mówiąc to zżymnął się, jakby poczuł dotknięcie żmii. - Generał powiedział: „Jestem przekonany, że służąc w mojej jednostce, specjalizując się jako bakteriolog, zdoła pan przynieść wiele korzyści naszemu imperium i zademonstrować swą nienawiść do naszych wrogów, przede wszystkim do bolszewików”. To były jego słowa. Nigdy ich nie zapomnę. Będą palić moje sumienie przez całe życie. Ale wtedy sprawiły mi radość. Generał wydał mi jakąś kartkę i kazał zgłosić się z nią niezwłocznie do sztabu generalnego.

Fukuda przerwał opowiadanie. Spojrzenia trzech par oczu zawisły na jego wargach.

- Kim był ten generał, dowiedziałem się dopiero w rok później, służąc już w jego jednostce. Jego nazwisko brzmiało Isii.

- Co? - trzej słuchacze zadali to pytanie równocześnie,

- Tak - głos Fukudy brzmiał twardo Pęczniała w nim nienawiść. - Tak, to był generał Isii, zbrodniarz, który chciał zadźmić świat, mordować ludzi bakteriami. Czytaliście przecież sprawozdanie z procesu w Chabarowsku, Czytaliście chyba o tych zbrodniach, jakich chciał dokonać Isii... A ja - roześmiał się gorzko - ja byłem tym kogo generał pasował na swego rycerza osobiście. Podobno zdarzało się to bardzo rzadko. Musiałem mieć w sobie zadatki na nie lada drania, skoro sam Isii raczył zainteresować się moją osobą...

Roztrzęsionymi palcami chwycił papierosa. Kilka razy potarł zapałkę. Ale nie udało mu się jej zapalić. Kosuke podał mu ogień.

- Uspokój się - powiedział cicho sekretarz. - To sprawy minione. - Ważne jest to, żeś wszystko zrozumiał...

- Kłamiesz - zachrypiał Fukuda. - Na pewno tak nie myślisz. Gardzisz mną w duchu. Wy wszyscy mną gardzicie.

- Uspokój się - sekretarz wstał, doszedł do Fukudy i oparł mu rękę na plecach. - Nikt tobą nie gardzi. Dobrze, żeś się z tego piekła wyrwał, że stałeś się znów człowiekiem... Mów dalej.

Fukuda uspokoił się. Głos jego brzmiał znów cicho i jakby apatycznie.

- Dalej, cóż dalej. Przyjechałem do Tokio. W sztabie generalnym skierowano mnie do jakiegoś pułkownika. Nie pamiętam już, jak się nazywał. Zresztą to nie ma znaczenia. Mówił ze mną długo o polityce. Szczególnie długo wypytywał o mój stosunek do Rosji i komunistów. Moje odpowiedzi trafiały mu do przekonania. Otrzymałem papiery, skierowania i przepustkę. Pułkownik oświadczył mi, że mam się udać do Sintsin, gdzie mieści się sztab Armii Kwantuńskiej, a stamtąd skierują mnie bezpośrednio na miejsce służby. Przepustki w zalakowanej kopercie - uprzedził mnie - winienem strzec jak oka w głowie i okazać ją dopiero szefowi I oddziału sztabu Armii. Poza tym pułkownik oświadczył mi, że od tej chwili jestem oficerem jednostki służby specjalnej i podlegam wobec tego specjalnym przepisom. Tajemnica wojskowa obowiązująca każdego wojskowego mnie obowiązuje w znacznie większym stopniu. Nikt nie powinien dowiedzieć się, że jadę do określonej jednostki, nikt nie powinien wiedzieć, że będę się specjalizował jako bakteriolog. Właściwie nikt nie powinien nawet wiedzieć, że jestem lekarzem. Wszystko to przeplatał przypomnieniami o odpowiedzialności i karze za zdradę tajemnicy wojskowej. Wyszedłem od niego nie tylko wystraszony odpowiedzialnością, jaka na mnie spoczęła, lecz także dumny z zaufania, jakim mnie obdarzono. Nie zastanawiałem się - nawet nad tym, co może oznaczać służba

w specjalnej jednostce, o której nie wiedziałem dosłownie nic prócz tego, że będę tam pracował jako bakteriolog. Myślenie nie należało do mnie. Robili to za mnie moi dowódcy i to mi odpowiadało...

- Byłeś w jednostce 731?

Sekretarz zadał to pytanie tak nieoczekiwanie, że Fukuda w pierwszej chwili nie zrozumiał. Spojrzał zdziwiony na sekretarza. Oczy tamtego były zimne i przenikliwie jak stal.

- Byłem - odrzekł cicho Fukuda.

- Teraz rozumiem już wszystko - powiedział sekretarz na wpół do siebie, na wpół do towarzyszy. - A przynajmniej rozumiem dostatecznie dużo, by pojąć, skąd się bierze zdenerwowanie generała Kanadzawy.

- Kanadzawa, ten morderca, ten żandarmski pies, którego przeklina każdy mieszkaniec Charbinu? - zawołał Fukuda. - Co wy mówicie? Nic nie rozumiem?

- Ja też wielu rzeczy jeszcze nie rozumiem, towarzyszu Fukuda - uśmiechnął się sekretarz. - Wyjaśni je wasze opowiadanie. Chcę was tylko o jedno zapytać: poglądy zmieniliście jeszcze podczas wojny, domyślam się tego, ale czy Kanadzawa wiedział o tym?

- Tak - odrzekł Fukuda - aż nazbyt dobrze o tym wiedział. Kiedy...

- Czekaście - przerwał sekretarz - nie wybiegajcie naprzód. Mówcie kolejno o wszystkim, co przeżyliście i widzieliście. Wiem, że to są straszne rzeczy i trudno jest o nich mówić. Ale skoro zaczęliście, to przełamiecie i te trudności. Wybaczcie, że wam przerwałem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Kanadzawa zainteresował się waszą osobą. Teraz już wiem. Przypuszczam, że dalszy ciąg naszej historii powie nam dlaczego zainteresowanie jego dzielają również Amerykanie

V Opowiadanie Fukudy. W maszynie budzą się myśli

Dłuższą chwilę Fukuda nie mógł się uspokoić. Towarzysze siedzieli w milczeniu, nie zachęcając go nawet do mówienia. Rozumieli dobrze stan jego nerwów, Wreszcie Fukuda opanował się.

- Pierwszy rok pobytu w jednostce 731 zaliczam do tego okresu mego życia, który nazwałem „czasami, gdy człowiek stawał się maszyną”. Ale obiecałem mowie po kolei, więc i o tym roku opowiem, W Sintsinie zgłosiłem się do sztabu Armii Kwantuńskiej. Po długich poszukiwaniach znalazłem szefa 1 oddziału pokazałem mu dokumenty. Odebrał mi starą przepustkę i wydał zamiast niej nową, którą miałem okazać w jednostce. Wysłano mnie do Charbinu. Nie muszę chyba dodawać, że wciąż przypominano mi o obowiązku zachowania tajemnicy. W japońskiej Misji Wojennej w Charbinie oświadczono mi, że muszę jechać do stacji Pinfań. Przybyłem na miejsce późnym wieczorem. Stacyjka mata, tchnąca nędzą tak charakterystyczną dla ówczesnej Mandżurii. Komendant dworca w Pinfaniu kazał mi zaczekać. Po upływie kilkunastu minut usłyszałem warkot samochodu Do pokoju, w którym czekałem, wszedł major, sprawdził skrupulatnie moje papiery i dopiero wówczas przedstawił się. Nazywał się Romuszi. Oświadczył mi, że samochód, którym dojedziemy na miejsce, już czeka. Jechaliśmy zaledwie kilkanaście minut, ale w ciągu tego czasu sprawdzono trzykrotnie nasze papiery. Miejsce miejsca w którym miałem służyć cesarzowi, było pilnie strzeżone. Romuszi był małomówny. Oświadczył mi, że o dalszych szczegółach swej służby dowiem się w dowództwie

jednostki. Usiłowałem dowiedzieć się co to za jednostka, dlaczego tak pilnie jej się strzeże. Sami rozumiecie, że pytania tego rodzaju zadawałem bardzo oględnie, nie chcąc być uznanym za wścibskiego gadułę. Major Romuszi oświadczył mi, że jednostka 731 stanowi część składową Armii Kwantuńskiej i zadania spełnia dwojakie - dba o zaopatrzenie armii w wodę oraz zajmuje się profilaktycznym zwalczaniem epidemii.

- To mi wystarczyło. Widziałem już siebie w laboratoriach naukowych, nad mikroskopami i probówkami. Wierzyłem, że będę walczył z chorobą - dodał ze zjadliwą ironią. - Nie ma sensu zatrzymywać się długo nad tymi sprawami. Zostałem przydzielony do oddziału majora Kioszi, prowadziłem tam prace laboratoryjne, polegające głównie na rozpoznawaniu różnych szczepów zarazków dżumy, tyfusu i cholery. Nie interesowałem się, skąd bierze się krew chorych ludzi ani w jakim celu robię to wszystko. Wystarczyło mi, że zacząłem pracować jako bakteriolog. Jedyną rzeczą, jaka mnie zastanawiała, było to, iż nie wolno mi było wejść do większości budynków naszej jednostki. Mogłem poruszać się swobodnie jedynie w obrębie trzech bloków. Moi koledzy, oficerowie, którzy pracowali w innych, niedostępnych dla mnie blokach, nie mówili nic o swojej pracy. Może to się wydać dziwne, ale nigdy nie słyszałem, by któryś z nich głośno opowiadał o tym, co robi, nad czym pracuje, czym się zajmuje.

- Od czasu do czasu któryś z wyższych oficerów zwiedzał blok, w którym pracowałem. Interesował się moją pracą szczególnie jeden pułkownik. - Fukuda zacisnął pięści, wargi ułożyły mu się w dwie wąskie bladoróżowe tasiemki. - Nazywał się ten łajdak Otomura. Był niesłychanie grzeczny. Miał długie wypielegnowane palce, nosił wypukłe szkła w bardzo grubej czarnej oprawie. Nie lubiłem tego człowieka,

choć nie miałem mu nic do zarzucenia. Budził jednak we mnie wstręt. Patrząc na jego twarz ukrytą w cieniu czarnej oprawy okularów wyobrażałem sobie kobrę, która łagodnym spojrzeniem usypia swą ofiarę, zanim ją zabije. Otomura chwalił mnie za moją pracę, obiecując szybki awans.

- Awans rzeczywiście nastąpił. Rok 1942 kończył się. Na świecie trwała wojna. Opowiadano nam cuda o zwycięstwach Hitlera w Europie i naszej armii na Oceanie Spokojnym. Major Kioszi zacierał ręce z radości, mówiąc o sukcesach hitlerowskiej Armii w Rosji. Z jego słów wynikało, że za kilka dni lub najdalej tygodni Związek Radziecki zniknie z powierzchni ziemi, a wówczas wszystkie bogactwa Syberii staną się własnością imperium. Komunikaty z frontu europejskiego nie interesowały mnie specjalnie. Zresztą, mówiąc szczerze, nie przejmowałem się również sytuacją na naszym froncie. Ślepo wierzyłem w potęgę cesarza i słuszość jego poczynań. Prawdy dowiedziałem się dopiero później.

- Otóż w ostatnich dniach grudnia 1942 r. zostałem wezwany do majora Karasawa, który oświadczył mi, że zostaje przeniesiony do podległego mu wydziału w czwartym oddziale jednostki 731.

Fukuda zerwał się. Lekko kulejąc przemierzał pokój we wszystkich kierunkach. Wyrzucał z siebie słowa gwałtownie, krztusząc się nimi, jakby każde z nich miało ciężar kamienia.

- Kiedy pierwszy raz wszedłem do pomieszczeń tego wydziału, byłem oszołomiony. Wspaniałe, cudownie zaopatrzone laboratoria otworzyły przede mną swe podwoje. Przechodziłem przez sale wyposażone w taki sprzęt, o jakim nie może nawet śnić bakteriolog. Major Karasawa oprowadzał mnie po tych salach, roztaczając przed mą wyobraźnią fantastyczną wizję pracy bakteriologa-naukowca i żołnierza. Po pewnym czasie wpuszczono mnie do innego bloku, gdzie

po raz pierwszy zetknąłem się z właściwym zadaniem jednostki 731. Ujrzałem ogromne cieplarki, autoklawy, sterylizatory, lodówki. Byłem oszołomiony i jednocześnie... przerażony. Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie - po co to wszystko, w jakim celu to powstało.

- Na odpowiedź nie czekałem długo. Karasawa wezwał mnie wieczorem i zaczął ze mną rozmowę na tematy ogólne. Początkowo mówił o polityce i roli Japonii na świecie. Powtarzał wytarte frazesy, znane mi ze szkoły. Ilekroć przedtem słyszałem te słowa, czułem się dumny, że jestem Japończykiem i mogę służyć cesarzowi. Tym razem jednak słowa te wzbudziły we mnie niechęć i sprzeciw. Czekałem przecież na co innego. Szukałem odpowiedzi na pytanie: „po co?”. Potem Karasawa zaczął mówić o sile gospodarczej Japonii, o braku surowców, wreszcie doszedł do trapiącej mnie kwestii. „Japonia musi zwyciężyć - oświadczył wtedy. - Ale mamy do czynienia z potężnymi wrogami. Nie jesteśmy w stanie konkurować z nimi w produkcji broni i amunicji. Może przyjdzie chwila, kiedy nie starczy nam pocisków do dział. Nie wolno do tego dopuścić. I nie dopuścimy. Generał Isii wpadł na genialną myśl. Wynalazł nową broń, stokroć potężniejszą od największej bomby. Broń, która oznacza śmierć nie stu lub tysiąca nieprzyjaciół, ale dziesiątków, setek tysięcy. Bakteria, oto broń, którą Japonia podbije świat, oto broń, która zniszczy naszych wrogów...”

- Słuchając tych słów - ciągnął Fukuda biegnąc po pokoju - czułem, że drętwieję. Nie pamiętam, jak się skończyła nasza rozmowa. Nigdy tego nie pamiętałem. Wróciłem do siebie na wpół przytomny. Całą noc nie mogłem spać. Oczami wyobraźni widziałem miliony bakterii atakujących ludzi. Po raz pierwszy od wielu lat wróciło do mnie wspomnienie rodzinnej wioski. Widziałem setki moich ziomeków trawionych

przez bakterie dżumy, umierających za zasiekami z drutów kolczastych. I zaraz po tym jak na ekranie wyrastała przede mną wizja świata, na który ja rzucam miliardy bakterii. Widziałem setki tysięcy konających ludzi. Chciałem uciekać, krzyczeć i... nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Z przerażeniem wpatrywałem się w mrok pokoju, w którym na kilku łóżkach spali spokojnie moi koledzy. Skąd brali ten spokój, jak mogli spać, czując krew na swoich rękach, gotując tymi rękami zagładę milionom ludzi.

Fukuda zatrzymał się zmęczony. Oddychał ciężko, z czoła spływały mu perliste krople potu. Usiadł, opierając się plecami o ścianę.

- To był początek. To był świt mego buntu. Tyle lat pracowano, by zmienić mnie w maszynę, by zabić we mnie zdolność myślenia. A jednak zdolność ta się obudziła, maszyna zaczęła myśleć. I to był pierwszy przejaw mego przebudzenia. Upływały tygodnie, miesiące, a ja nie wiedziałem, co mam czynić. Powtarzałem sobie dniami i nocami, że to co robię - robię z musu, że jestem sam, bezsilny i słaby wobec tej ogromnej maszyny produkującej bakterie. Dwa razy udało mi się niepostrzeżenie zwiększyć temperaturę w cieplarkach. Cóż z tego! Cóż z tego, że zniszczyłem kilkaset gramów bakterii, skoro produkowano ich całe kilogramy. Oglądałem myszy unieruchomione po to, by pchły mogły się na nich tuczyć, pchły, które następnie miano zarazić dżumą. Byłem zdolny jedynie do milczącego buntu, nie umiałem jednak przeszkodzić moim przełożonym w produkowaniu śmierci. Usiłowałem wmówić w siebie, że jestem inny, że nie jestem zbrodniarzem, ale próżne to były wysiłki...

Zapatrzył się przed siebie.

- Któregoś dnia pułkownik Otomura poprowadził mnie do o laboratorium. Pochyliłem się razem z nim nad szkiełkami

mikroskopów, i widziałem śmierć. Oglądałam setki posegregowanych probówek z pożywkami i widziałem śmierć. Otomura spostrzegł, że jestem rozgorączkowany, ale przypisał to widocznie podziwowi, w jaki wprawiło mnie jego laboratorium. Zaczął więc tłumaczyć wszystko jeszcze dokładniej. Pokazał mi rzędy probówek z pożywką, na której hodował różne szczepy bakterii dżumy od najmniej do najbardziej opornych na działanie sił obronnych ustrojów i wpływów zewnętrznych. Probówek było kilkaset, nosiły one numery od 001 do 071. Bakterie w probówkach oznaczonych numerem 071 były najbardziej odporne i złośliwe. Ale Otomura nie miał zamiaru na tym poprzestać. Zapewniał mnie, że wyhoduje taką bakterię, której nie zabije żaden lekarz, żadna surowica.

- Wychodząc z jego laboratorium zabrałem niepostrzeżenie kilka probówek. Odniosłem je do swego laboratorium i ukryłem skrzętnie. Sam nie wiedziałem jeszcze, po co to robię. Dopiero po kilku dniach zrozumiałem, co powinienem przedsięwziąć. Zacząłem odwiedzać Otomurę coraz częściej. Za każdym razem kradłem kilka probówek. W ten sposób po upływie kilku tygodni miałem w mojej szafce prawie cały komplet bakterii dżumy wyhodowanych przez tego diabła. Teraz zacząłem nad nimi pracować. Dzień i noc spędzałem w laboratorium. Szukałem gorączkowo. Zapomniałem o tym, co znaczy sen. Drzemałem po kilka godzin siedząc w swoim laboratorium. Tak zastał mnie raz generał Isii, przeprowadzający właśnie inspekcję jednostki. Opowiedziałem mu przygotowaną z góry bajeczkę o tym, iż postanowiłem chwile od pracy wyzyskać dla wykrycia najbardziej odpornej i złośliwej bakterii, podobnie jak to robi pułkownik Otomura. Isii bardzo się ucieszył, zapowiedział mi poparcie, obiecał awans i odznaczenie. Nie mógł przecież przewidzieć, że

zawiodę nadzieje, jakie we mnie pokłada. I znów rzuciłem się w wir roboty. Rozumiecie? Między mną i Otomurą rozpoczął się wyścig. On szukał śmierci, a ja szukałem życia. On szukał bakterii, która wszystko zabić, a ja szukałem surowicy, której nie oprze się żadna, żadna bakteria dżumy. To był wyścig życia i śmierci. To już był mój świadomy bunt.

Brzmiała w jego głosie nuta triumfu człowieka, który zrozumiał, jakie jest jego zadanie w życiu. Potem twarz mu się znowu skurczyła, oczy straciły blask i uszły w głąb, głos zabrzmiał cicho i przejmująco.

- W dniu, kiedy Otomura oświadczył, że jego bakteria Nr 075 dżumy jest niezwykłą, ja miałem już w laboratorium surowicę znacznie silniejszą. Ale co z tego. Osiągnąłem cel wytknięty przed kilku miesiącami i co dalej? Co miałem począć surowicą? Pozostawałem nadal buntownikiem niemym i niegroźnym dla wrogów życia.

- W tym czasie zaszedł w moim życiu wypadek, który wskazał mi drogę ku przyszłości - głos jego zniżył się o szeptu. Stało się to tak. Wieczorem zawiadomiono mnie, że z rozkazu dowódcy jednostki zostaję na okres 10 dni odkomenderowany do ambulatorium jednostki. Wiedziałem, że w jednostce naszej jest ambulatorium i szpital. Mieliśmy, przecież dużo oficerów i żołnierzy, którzy musieli czasem korzystać z opieki lekarskiej. Te przyjąłem do wiadomości rozkaz z westchnieniem ulgi. Przez mniej niż dziesięć dni mogłem wyrwać się z tego piekła. Za jednak do znanego mi ambulatorium oficerskiego i żołnierskiej poprowadzono mnie na wewnętrzny dziedziniec, do którego dotychczas nie miałem dostępu.

Przywitały mnie posępne niskie mury o malutkich, szczelnie zakratowanych oknach. „A to co?” - spytałem prowadzącego mnie oficera. Spojrzał na mnie zdziwiony,

obojętnie wzruszył ramionami i mruknął „Więzienie”. „A dokąd idziemy? - zapytałem, zaczynając domyślać się, o co chodzi. „Do więziennego laboratorium - odparł - ma pan tam pracować zamiast kapitana Hotta”.

- Dalej szedłem już za nim w milczeniu. Wprowadził mnie do jednego z ponurych baraków. Weszliśmy do kancelarii komendanta więzienia. Przywitał mnie wylewnie major w mundurze żandarma. Zaprosił do siebie na herbatę. Postanowiłem nie odmawiać, bo zależało mi na zdobyciu jak najliczniejszych informacji.

- Zamiast herbaty, na stoliku zjawiła się „sake”. Wy tłumaczyłem gościnnemu żandarmowi, że nie wolno mi pić ze względów zdrowotnych. Dla uspokojenia go wychyliłem jeden kieliszek, wstrzymywałem go jednak od picia. Wprost przeciwnie, opróżnił kieliszek pośpiesznie go napełniłem. Stawał się coraz bardziej gadatliwy. Rechocąc pijackim śmiechem opowiadał mi o więźniach, którymi się „opiekował”. Słuchając jego słów myślałem, że oszaleję. Kilkaset ludzi zamkniętych w tych murach skazano na najstraszliwszą ze wszystkich śmierci. Kilkaset ludzi w więzieniu jednostki 731 to były doświadczalne króliki dla bestii wyglądzie człowieka, noszącej ludzkie nazwisko Isii czy Otomura. Wszyscy więźniowie to byli „czerwoni” albo partyzanci chińscy. Byli tam Rosjanie, Chińczycy, Koreańczycy. Żandarmeria nasza prowadziła specjalną selekcję wśród więźniów, zanim odsyłała ich do jednostki 731 w charakterze królików doświadczalnych. Na straszliwe męki skazywano „niepoprawnych komunistów” i „zatwardziały wrogów imperium”.

- Przyszło mi wówczas na myśl, że gdyby ktoś w jednostce dowiedział się, co myślę i co robię w swoim laboratorium, znalazłbym się chyba też wśród grona skazanych na to straszliwe więzienie. W milczeniu słuchałem zwierzeń

pijanego żandarma. Od niego dowiedziałem się, kogo i po co będę leczył.

Nie wiedziałem wówczas, co to jest poligon Ańda. Wytłumaczył mi to komendant więzienia. Poligon ten, dziś, po procesie chabarowskim, wie o tym już każdy, był miejscem doświadczeń bojowych przeprowadzanych na żywych ludziach. Poprzedniego dnia na poligonie odbyły się tego rodzaju „ćwiczenia”. Piętnastu więźniów, poddanych próbie działania bomby „systemu Isii” przetransportowano na samolocie i umieszczono w więziennym szpitalu. Ponieważ lekarz „opiekujący” się oddziałem zadżumionych musiał wyjechać, wyznaczono mnie, abym w czasie jego nieobecności leczył więźniów. Nie myślcie, że z was kpię. Więźniów leczono. Nawet usilnie. Po to, by za kilka tygodni wstrzyknąć im nową porcję jakiegoś zarazka albo znów przewieźć na poligon. Tak postępowano z każdym więźniem, dopóki któraś choroba nie zmoęła go ostatecznie...

Fukuda potarł dłonią czoło. Bandaż poruszył się, sprawiając mu ból, ale nie poczuł tego. Myśl jego błądziła w tamtych latach. Widział mroczną salę szpitala więziennego. Pięć łóżek pod każdą ścianą. Na każdym z nich leżał żywy trup, trawiony przez gorączkę, żywy trup, w którym miliony bakterii atakowały resztki życia...

- Od komendanta więzienia poszedłem do naczelnego lekarza. Ten nie był rozmowny. Oświadczył mi krótko, że muszę zastąpić nieobecnego kolegę i zająć się piętnastu chorymi na dzumę. Przypuszczał, że chorzy nie wytrzymają ostatniej próby bo bakterie użyte poprzedniego dnia zostały wyhodowane przez pułkownika Otomurę i są niesłychanie odporne i złośliwe. Mówiąc to uśmiechał się. Ten potwór z tytułem lekarza uśmiechnął się jedyny raz, wówczas, kiedy wspomniał o nieuleczalnej chorobie.

- Sam wszedłem do sali, w której leżeli moi chorzy. Schylałem się nad łózkami i widziałem wyschnięte twarze, na których nieludzkie męczarnie wycisnęły niezatarte piętno. Wszyscy byli nieprzytomni. Ku zdziwieniu sanitariuszy pobrałem od nich krew na badanie i sam, nie czekając, aż nazajutrz wykonają je w laboratorium, przeprowadziłem analizę. Potem wróciłem na salę i zacząłem rozdawać zastrzyki. Jeden z pacjentów leżał z otwartym; oczami. Twarz jego wyrażała straszliwe cierpienie. Dałem mu zastrzyk na uśmierzenie bólu. Nigdy - głos mu się załamał - nigdy nie zapomnę jego wzroku. Nie miał już sił, by wyrazić nienawiść nawet spojrzeniem. Po prostu błagał o śmierć. Dałem mu ją. Zabiłem pierwszego człowieka w życiu, z litości.

- Sanitariuszy już nie było. Chodziłem między łózkami i uczyłem się cierpieć, uczyłem się życia, które chciano przede mną ukryć, życia pod słońcem cesarza. W pewnej chwili zatrzymało mnie wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ale drzwi były zamknięte. Na sali nie było nikogo prócz mnie i chorych nieszczęśników. Wówczas spostrzegłem, że jeszcze jeden pacjent obudził się. Szybko dopadłem doń. Schyliłem się, widząc, że porusza wargami. Usłyszałem szept: „Mordercy, zabijecie nas, ale nie unikniecie zemsty. My jesteśmy silniejsi”. Pacjent mówił po japońsku, ba, z wyraźnym akcentem Nagasaki. Szybko pobiegłem po wynalezioną przeze mnie surowicę. Dałem mu silną dawkę, po której znów w omdlenie.

- Całą noc przesiedziałem na sali rozmyślając nad słowami nieszczęsnego więźnia. Oto po raz pierwszy widziałem człowieka, nie zdołały złamać nawet najpotworniejsze męczarnie, który nawet w obliczu śmierci, nieuchronnej śmierci, mówił o zemście i zwycięstwie. Zacząłem rozpamiętywać wszystko, co kiedykolwiek w życiu słyszałem o komunistach. Całe życie uczono mnie, że powinienem

nienawidzić „czerwonych”, a oto teraz znalazłem się twarzą w twarz z jednym z nich, z konającym człowiekiem i nie czułem doń ani nienawiści, ani litości. Właśnie, że nie czułem litości. Nurtowało we mnie inne uczucie - podziw i zazdrość. Podziwiałem siłę tego człowieka i zazdrościłem mu jej...

- Nie - zerwał się na równe nogi. - Nie mogę o tym mówić. Nawet wam. Nie umiem dobrać słów, by wyrazić to wszystko, co przeżywałem.

Nikt nie odezwał się ani słowem. W pokoju wisiała cisza, pełna napięcia i oczekiwania.

- Następnej nocy znów czuwałem na sali. Chciałem znów usłyszeć szept tego więźnia. Przyniosłem swoją surowicę. W tajemniicy przed wszystkimi wstrzyknąłem ją temu człowiekowi. Po trzech dniach odzyskał przytomność. Zapytacie, czy nie zaniedbywałem innych chorych, czy ratowałem ich? Nie pamiętam, żyłem jedynie pragnieniem rozmowy z tamtym. Wciąż o nim myślałem, wciąż byłem w pobliżu niego...

- Kiedy odzyskał przytomność, siedziałem przy nim. Nie wiedziałem, jak zacząć i zapytałem, jak głupi: „Jak się czujesz?” Spojrzał na mnie z pogardą i wyszeptał: „Tak, że możecie mi znów wstrzyknąć chorobę”. „Nie - wyszeptałem - nie wstrzyknę ci choroby. Chcę cię ratować. Ciebie, siebie, wszystkich. Powiedz mi tylko jak”. Nie wiem, dlaczego mi uwierzył, dlaczego zaczął ze mną mówić jak z człowiekiem. Ten człowiek stał się moim nauczycielem życia. Wskazał mi ideę, dla której warto żyć i zginąć. Słuchałem go łapczywie, a z rana spełniłem jego prośbę. Dałem mu zastrzyk, by usnął...

- W południe wezwano mnie do naczelnego lekarza. Przywitał mnie stekiem wymysłów, że jestem zdrajcą i tchórzem, że nie jestem godzien nosić munduru oficera japońskiego. Pokazał mi ampułkę od zastrzyku jako dowód

mej zbrodni. Wiedziałem, że nie mam się po co bronić. Zacząłem krzyczeć. Wykrzyczałem z siebie wszystko, co miałem na sercu. Zamiast odpowiedzi kopnął mnie w brzuch i związanego kazał odesłać do więzienia wojskowego w Charbinie. Tam zajął się mną Kanadzawa. To on mnie osobiście, chcąc się dowiedzieć, kto namówił mnie do zabicia więźnia... Nie będę wam opowiadał o tym, co przeżyłem w więzieniu. Chwilami obojętniałem na wszystko, ale to były rzadkie chwile. Przez cały czas myślałem tylko o jednym - jak wymknąć się ze szponów tych bestii. Czułem, jak rosta i dojrzewała we mnie potrzeba pomszczenia śmierci tysięcy ludzi, pomszczenia krzywd, jakie się stały udziałem moich współbraci. Rosta we mnie nienawiść. Nie instynktowna, ślepa, zrodzona z bólu i przeżywanym podczas tortur i badań. To była nienawiść świadoma, nienawiść paląca, nienawiść do systemu, który swe istnienie opiera na torturach, więzieniach i mordach.

- Któregoś dnia po upływie wielu miesięcy od chwili aresztowania oświadczone mi, że zostanę postawiony przed trybunałem wojskowym, jako oskarżony o zdradę. Nie bałem się śmierci. Było mi ciężko tylko dlatego, że jutro miałem się stać trupem, który nie potrafi ani myśleć, ani działać.

Fukuda zamilkł. Powoli przygłodził końcami palców rozwichrzony włosy. Na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu.

- Nie potrafię opowiedzieć o tamtej nocy. Powiem wam krótko, jak się stało, że stoję tu żywy przed wami. Nie wiem postanowił, że zamiast w Charbinie rozprawa odbędzie się w Pinfaniu. Z raną, pod eskortą wsadzono mnie do samochodu i powieziono na miejsce rozprawy. Nie dowieziono mnie jednak do celi - roześmiał się, nagle poweselawszy. - Po drodze samochód nasz natknął się na zasadzkę chińskiego oddziału

partyzantów. Walka trwała kilka chwil. Z eskorty nie uszedł nikt, a mnie chińscy towarzysze zabrali ze sobą. Zostałem z nimi. Tak skończył w moim życiu drugi okres. Okres budzenia się myśli, okres stawania się prawdziwym człowiekiem, okres budzenia się świadomości.

VI

Opowiadanie Fukudy. Człowiek zaczyna działać

Fukuda zamilkł. W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Na twarzach mężczyzn malowała się groza. Wiedzieli i słyszeli o zbrodniach jednostki 731 bardzo wiele, ale opowiadanie naocznego świadka, historia jego przeżyć - to było wstrząsające. Trudno było się opanować słuchając słów Fukudy, trudno było przemówić od razu, gdy opowiadający zamilkł.

Kilka długich chwil siedzieli z opuszczonymi głowami. Pierwszy otrząsnął się Kosuke. Spojrzał na towarzyszy, potem na Fukudę, na twarzy jego ukazał się najpierw ledwie uchwytny, potem coraz szerszy uśmiech Zerwał się z miejsca, doszedł do Fukudy i wziął go w swoje potężne ramiona.

- Zuch, Fukuda, prawdziwy bohater - wolał, potrząsając doktorem jak dzieckiem. - Jestem szczęśliwy, że ciebie poznałem.

Fukuda uśmiechnął się.

- Puść siłaczku, bo mnie udusisz, a ja przecież jeszcze nie skończyłem opowiadać.

Kosuke posłusznie wrócił na miejsce. Sekretarz, zapalając papierosa powiedział do Fukudy:

- Kosuke ma rację. Stałeś się bohaterem, a byłeś przecież o krok od przepaści. Jeden krok tylko dzielił cię od tego, byś stał się zbrodniarzem.

Fukuda westchnął ciężko.

- Dlatego właśnie tak ciężko mi o tym mówić. Jesteście pierwszymi ludźmi, którym opowiedziałem wszystko. Nie będę już chyba nikomu więcej opowiadał o swoim życiu. To jest zbyt trudne. Mówiłem dotychczas tyle o sobie, bo to według mnie było ważne. Musiałem pokazać wam drogę, po

której doszedłem do tego, że jestem waszym towarzyszem, że jestem członkiem naszej partii.

- Trudna to była droga. Łatwo mogłeś zejść z niej na manowce - wtrącił sekretarz.

Gospodarz wstał i wyszedł z pokoju. Zapadła cisza. Kosuke i sekretarz myśleli o tym, co opowiedział im Fukuda, a on myślał o czym innym. Myślał o człowieku w okularach o czarnej oprawie, którego poznał na ulicy w Kobe przed kilku tygodniami.

Gospodarz wrócił niosąc herbatę. Pili w pośpiechu każdy pogrążony w swoich myślach.

Fukuda pierwszy odstawił filiżankę.

- Teraz dowiedcie się, jak i dlaczego znalazłem się w Tokio. Do Japonii wróciłem dopiero w zeszłym roku.

Słuchacze też przestali pić herbatę.

- Mówiłem wam, że uratowali mnie chińscy partyzanci. Zaopiekował się mną ich dowódca, nazywał się Fuo Lian. W oddziale partyzanckim byłem żołnierzem i lekarzem. Operowaliśmy głównie w zachodniej Mandżurii. Kiedy Związek Radziecki wypowiedział Japonii wojnę, ruszyliśmy na spotkanie Armii Czerwonej. Opowiadałem towarzyszom o straszliwej fabryce śmierci jaką stworzył Isii. Niewielu wierzyło moim słowom. Nie dziwiłem się im. Zbyt straszne to były rzeczy, by można w nie uwierzyć. Balem się tylko jednego, żeby bandyci ze sztabu generalnego nie wydali jednostce 731 rozkazu użycia bomb bakteriologicznych. Ale Armia Radziecka parła naprzód jak huragan, zmiatając faszystów ze swej drogi. Japońskim generałom nie starczyło czasu na użycie potwornej broni. Musieli wysadzić fabrykę śmierci w powietrze.

Potem skończyła się wojna, ale nie wszędzie. W Chinach wojna trwała, wojna o wolność narodu chińskiego. Nasz

oddział partyzancki został wcielony do jednej z dywizji Armii Ludowej. Mogłem wrócić, pytano mnie nawet, czy chcę wrócić do domu. Ale ja nie chciałem. Rozumiałem już wtedy, że bijąc się o wolność ludu chińskiego, walczę o szczęście i wolność dla mojego ludu. Dlatego zostałem w armii Mao Tse-tunga. Przemierzałem Chiny wzdłuż i wszerz. Chińscy towarzysze witali mnie wszędzie radośnie. Widzieli we mnie brata-Japończyka, choć to przecież moi rodacy przynieśli im tyle nieszczęść. Byłem dla wielu a nich żywą ilustracją braterstwa ludzi pracy...

- Ale - przerwał i skinął ręką na znak niezadowolenia - znów zacznam mówić o sobie.

- Mów - powiedział sekretarz - to bardzo ciekawe.

.- Szkoda czasu. Są sprawy znacznie ważniejsze od moich przeżyć. Powiem wam krótko: w zeszłym roku wróciłem do Japonii. Nie wiem, dlaczego przyjechałem do Kobe. Może dlatego, że w tamtej okolicy spędziłem lata dzieciństwa w domu starego doktora. Dość, że tam pojechałem. Towarzysze z komitetu partii pomogli mi zdobyć dokumenty. Sami rozumiecie, że Amerykanie i nasze władze chętnie zajęłyby się mną, gdyby dowiedziano się, że wróciłem z Chin. Partia pomogła mi również znaleźć pracę. Zacząłem leczyć w szpitalu miejskim. Nie zapomniałem jednak o najwyższym celu mego życia. Zwolna urządziłem sobie laboratorium, skupowałem przyrządy, szkła, pożywki. Zacząłem pracować nad wynalezieniem szczepionki przeciwdżumowej, której nie oparłaby się choroba. Przed oczyma miałem wciąż starannie posegregowane i ponumerowane próbki z laboratorium Otomury. Ilekroć spoglądałem przez okulary mikroskopu, widziałem między śmiertelnościami bakteriami jego twarz, ocienioną okularami w czarnej oprawie.

Fukuda mówiąc te słowa zagryzł wargi, palce zacisnął w pięści, na policzkach wystąpiły ceglaste plamy.

- Ten człowiek, nie, ten potwór w ludzkiej skórze, był dla mnie uosobieniem zbrodni.

Ochłonął z gniewu i znów zgarbił się nad stolikiem.

- Dwa miesiące temu zamówiłem w jednym sklepie w Kobe większą partię naczyń szklanych. Zgłosiłem się po odbiór przed trzema tygodniami. Zamiast towaru jednak otrzymałem odpowiedź, że zamówienia niestety nie wykonano, gdyż zgłosił się jakiś inny doktor, z listem specjalnym od władz amerykańskich, na mocy którego firma winna mu była wydać cały posiadany zapas szkła. Właściciel sklepu odpowiedział mi, że taka transakcja zdarza się już nie pierwszy raz. Tamten doktor przyjeżdżał co kilka miesięcy po zapas szkła. Zacząłem ostrożnie wypytywać się o go konkurenta, Wystarczyło kilka słów, abym zrozumiał, o kogo chodzi. Stałym klientem, cieszącym się poparciem amerykańskich władz, był doktor w okularach w czarnej oprawie. Nie potrafię wam opisać, ile energii i nerwów musiałem zużyć, by zapanować nad sobą. Udałem radość i wytłumaczyłem sklepikarzowi, ten doktor to mój stary i dobry znajomy, którego chętnie bym odwiedził. Powiedział mi wówczas, że doktor Maoto nie podał dokładnego adresu, ale mieszka w dzielnicy willowej. W pierwszej chwili byłem skonsternowany. Maoto, a nie Otomura? Dopiero później zrozumiałem, że Otomura wolał przemilczeć swe nazwisko.

- Od tego dnia stałem się zamiast lekarza detektywem. W biurze adresowym podano mi ulicę, na której - jak się później dowiedziałem - żaden doktor Maoto nie mieszkał. Zebrałem garstkę ulicznych chłopaków, którzy za kilka yen dzień i noc patrolowali wraz ze mną dzielnicę willową. Po pięciu dnach

jeden z chłopców zawiadomił mnie, że widział mężczyznę, którego szukam. Cały dzień łąziłem pod wskazanym domem.

- Sam? - przerwał mu sekretarz.

Fukuda zwiesił głowę. Chwilę milczał potem spojrzał na sekretarza z miną winowajcy i odparł cicho:

- Sam. Wiem, że to mój największy błąd. Zamiast opowiedzieć o wszystkim towarzyszom i poprosić o pomoc, szukałem sam...

Sekretarz nic nie odpowiedział, więc Fukuda podjął swoje opowiadanie:

- Pod wieczór zobaczyłem Otomurę. Coś pchnęło mnie ku niemu. Wyciągnąłem papierosa i poprosiłem o ogień. Otomura spojrzał na mnie obojętnie i podał mi zapałki. Zrozumiałem, że mnie nie poznał. Prawda, trudno domyśleć się we mnie dzisiaj podporucznika Takeo Fukudy, którego znał Otomura w roku 1943. Czas i przeżycia zrobiły swoje.

- Zaniedbałem swe obowiązki w szpitalu. Pacjenci czeka na mnie po kilka godzin. Dowiedziałem się, że Otomura ma w mu telefon z zastrzeżonym numerem. Przekupiłem dozorcę domu - podał mi ten numer. Zatelefonowałem nazajutrz, powiedziano mi, że doktor Maoto będzie dopiero wieczorem. Poszedłem do niego. Wmówiłem służbie, że jestem zamówiony i że doktor Maoto kazał mi czekać, na wypadek, gdyby wrócił wcześniej. Widocznie zdarzały się takie wypadki, bo pozwolono mi czekać. Ostrożnie, jak złodziej, zacząłem szperać w mieszkaniu. W gabinecie Otomury znalazłem notatki, które powiedziały mi, że nie porzucił on swej bandyckiej roboty. Szukał nowego, jeszcze bardziej odpornego szczepu bakterii dżumy. Mnie jednak nie chodziło o notatki. Musiałem odnaleźć laboratorium. Tymczasem nigdzie nie było ani śladu badań. Widocznie Otomura miał laboratorium gdzie

indziej. Zrezygnowany wróciłem do siebie, aby nazajutrz skoro świt czatować już na niego na ulicy.

- Otomura wyszedł z domu po ósmej. Szedłem za nim jak cień. Kilka razy zatrzymywał się i rozmawiał z amerykańskimi oficerami. Musieli go dobrze znać. Doszliśmy wreszcie do bloku strzeżonego przez wartownika amerykańskiego. Otomura okazał przepustkę i znikł w bramie. Znow był bezsilny. Stojąc opodal tego domu upatrzyłem sobie kilku oficerów amerykańskich którzy stamtąd wychodzili i wchodzili. Zainteresował mnie szczególnie jeden z nich, w mundurze porucznika, któremu wszyscy ustępowali z drogi. Był niski, gruby, sprawiał wrażenie niechlujnego człowieka i w dodatku pijaka. Wieczorem poszedłem za nim. Wstąpił do japońskiego baru. Całe szczęście, że nie poszedł od razu do jakiejś knajpy „dla Amerykanów”. Nie opuściłem go. Byłem na tyle bezczelny, że przysiadłem się do jego stolika. Dobrze się złożyło, że siedział sam. Zaczęliśmy gadać. Opowiedziałem mu, że jestem lekarzem, byłem oficerem armii japońskiej, że szukam pracy. Po kilku większych kieliszkach zaczął się nade mną użalać i obiecał mi, że mnie urządzi na posadzie w jednej instytucji amerykańskiej gdzie pracuje już kilkunastu japońskich lekarzy. Mimochodem wymieniłem nazwisko Maoto. Mój porucznik ucieszył się. Powiedział, że zna tego lekarza jako bardzo zdolnego człowieka, który ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Wspomniałem, że Maoto jest jednym z najwybitniejszych bakteriologów japońskich. Mój porucznik spojrzał na mnie uważnie, jakby nagle wytrzeźwiał. Więcej nie mówił już ani słowa, mnie nie chodziło o nic prócz tej właśnie informacji jakiej udzielił mi nagłym milczeniem... Wiedziałem już, że Otomura przeszedł na służbę Amerykanów, że za ich pieniądze szuka śmierci dla ludzi.

- Jak się na rywal ten porucznik? - zapytał sekretarz.

- Zdaje mi się, że Rooge. A może to jego imię. Tak przynajmniej wołali nań jego znajomi.

Sekretarz pokiwał głową.

- Tak, to ten do specjalnych spraw. Słyszałem o nim dość dużo.

- Ale jak się znalazłeś w Tokio? - wtrącił Kosuke.

- Przedwczoraj zobaczyłem, że Otomura wyjeżdża z domu autem, z walizką w ręku. Wsiadłem do taksówki i pojechałem za nim na dworzec. Nie miałem nawet czasu, by wskoczyć do domu i wziąć choćby płaszcz. Jechałem w sąsiednim przedziale. W Tokio poszedłem za nim. Otomura wszedł do gmachu amerykańskiego dowództwa. Czekaając na jego wyjście, spacerowałem po ulicy. Wtedy właśnie zaczęła się demonstracja. Coś kazało mi powiedzieć tysiącom ludzi, że spisek na ich życie gotują wspólnie wczorajsi i dzisiejsi ciemniacy. Co się stało dalej - wiecie sami.

Fukuda wstał i rozprostował ramiona. Poczuł nagle gwałtowny przypływ zmęczenia. Wyczerpał go kilkogodzinny monolog, w którym pierwszy raz pokazał ludziom, kim jest. Spojrzał na twarze swoich słuchaczy. Malowało się na nich zastanowienie. Milczenie przerwał sekretarz.

- Skąd policja dowiedziała się twego prawdziwego nazwiska?

- Sam im powiedziałem. Sądziłem, że lepiej ukryć nazwisko Sasaki, pod którym jestem zameldowany w Kobe i które zna ją w partii, na wypadek gdyby policja chciała mnie znaleźć.

- A więc od pierwszej chwili myślałeś o ucieczce? - uśmiechnął się sekretarz.

- Tak. Byłem zdecydowany uciec.

Kosuke aż mlasnął językiem z zachwyty.

- Teraz zaczyna mi się wszystko układać w głowie w logiczny łańcuch - powiedział z zastanowieniem sekretarz. -

Ten Kanadzawa musiał gdzieś usłyszeć twoje nazwisko. Riusi - prefekt policji - to jest wierny sługa. I Kanadzawa musiał zaalarmować Amerykanów. Ci zaś z kolei przestraszeni twoim przemówieniem, ze strachu, żebyś ich nie zdemaskował, zaczęli cię gwałtownie poszukiwać.

- Co zrobimy teraz? - zapyta! Kosuke. - Coś trzeba przecież zrobić, towarzyszu sekretarzu.

- Masz rację. Musimy obmyślić plan. Ale na to jest już nieco za późno - Spojrzał na zegarek - Już pierwsza.

Wstał, przeszedł się po pokoju zastanawiając się nad czymś.

- Kosuke - zatrzymał się przed szoferem. - Wyjdź na ulicę i rozejrzyj się, czy nikt nas nie śledził. Zapomniałem na śmierć o takiej możliwości. Ktoś mógł przecież widzieć, jak biegłeś z Fukudą i teraz może mają ciebie na oku.

Kosuke wyszedł.

Sekretarz doszedł do Fukudy i położył mu rękę na ramienia.

- Dobrze, towarzyszu Fukuda, żeście nam wszystko powiedzieli. Teraz wspólnymi siłami postaramy się uniemożliwić Amerykanom i różnym Otomurom zbudowanie fabryki śmierci. Zmobilizujemy do tego wszystkie siły. Jutro rano odwiedzę was i wspólnie naradzimy się nad dalszymi krokami. Kosuke zaraz wróci i pójdziecie spać. Chyba że - gwizdnął lekko przez zęby - chyba, że nas śledzono, wtedy zmienimy mieszkanie i będziecie nocować gdzie indziej.

VII

Ostatni nocny akord

Kosuke wyszedł na ulicę. O tej porze panowała już zupełna cisza. Rozejrzał się. Wszędzie było ciemno. W żadnym oknie nie widać było światła. Jedynie przez szpary w zasłonach na oknach domu doktora przesączały się jasne smugi. Noc była bezksiężycowa i na ulicy panował mrok, którego nie były w stanie rozproszyć nikłe i rzadko rozwieszane latarnie uliczne.

Upłynęło kilka chwil zanim Kosuke zaczął w ciemności dostrzegać kontury domów. Ruszył przed siebie, uważnie obserwując wnętrza bram. Miał wprawę w wypatrywaniu agentów. Cóż z tego, że partia była legalna, kiedy policja śledziła jej członków na każdym kroku, usiłując sparaliżować każde przedsięwzięcie. Ileż to razy trzeba było przygotować jakąś poważniejszą akcję w sposób konspiracyjny. Kosuke nieraz już lustrował ulice, pilnując, aby świdrujące oczy agentów policji nie mogły dostrzec kogoś lub czegoś przedwcześnie. To samo czynił teraz, chociaż nie podzielał obaw sekretarza, że ktoś ich mógł śledzić. Wyprowadzając z rana Fukudę, po jego ucieczce z samochodu zachował wszelkie środki ostrożności. Kluczył długo po ogrodach zanim pobiegli do ciężarówki. Potem samochodem jeździł różnymi ulicami, zanim odwiózł Fukudę do doktora. Był przekonany, że nikt się nie zorientował... Nagle przypomniał sobie rozmowę z Toszimą. Coś mu się w tej rozmowie nie spodobało. Nigdy nie lubił Toszimy ale po tej wieczornej rozmowie stracił do niego nawet cień zaufania. Słowa Toszimy wskazywały na to, iż albo coś widział, albo podejrzewał. Kosuke nie mógł sobie przypomnieć, czy widział tamtego na demonstracji czy też później, kiedy był świadkiem wypadku samochodowego.

Zresztą nie obserwował wtedy otaczających go ludzi i mógł Toszime przeoczyć...

Wydało mu się, że przed domem po przeciwnej stronie ulicy majaczy jakiś cień. Stanął i wpił się oczami w ciemność. Przed tamtym domem, dzieliło go od niego najwyżej sto kroków, rosnęło drzewo. I Kosuce wydawało się, że w cieniu tego drzewa ktoś stoi. Wolnym krokiem, nie spuszczać oczu z drzewa, przeszedł przez jezdnię. Było bardzo ciemno. Do najbliższej latarni co najmniej z pięćdziesiąt metrów. Nie był pewien, czy to nie złudzenie, że cień drzewa nagle się skurczył, jakby ktoś się oderwał od pnia i zaczął posuwać się dalej. Przyśpieszył kroku. Czuł, że serce mu bije z podniecenia szybko i nerwowo. Nie, teraz już mu się nie wydawało. Wyraźnie widział, jak pod ścianami domów przesuwają się cienie człowieka, uchodzącego przed nim. Kosuke zaczął biec. Jego kroki dudniły w pustej ulicy. Zobaczył, jak przez krąg światła rzucanego przez zawieszoną nad chodnikiem latarnię prześlizgnął się cień. Pobiegł szybciej, ale tamten nie starał się już ukryć i pędził co sił w nogach w stronę najbliższej przecznicy. Jeszcze chwila i znikł za rogiem.

Kosuke w pierwszej chwili chciał go gonić. Ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, drogę zastąpiła mu postać, której w pogoni za tamtym cieniem nie dojrzał. Zatrzymał się jak wryty. Tajemnicza postać chwyciła go za rękę i zaczęła mu coś gorączkowo tłumaczyć. Kosuke uważnie słuchał, potem skinął głową i od razu zawrócił do domu doktora. Człowiek, który go wstrzymał przed pogonią, pobiegł w przeciwnym kierunku i skręcił w przecznicę starając się widocznie nadrobić stracony czas i dopędzić tego, kogo gonił Kosuke.

Szofer wpadł do domu doktora zziębnięty i spocony. Odwołał sekretarza i nie zwracając uwagi na badawcze spojrzenia gospodarza i Fukudy, w pośpiechu mówił coś szeptem.

Sekretarz słuchał go nie przerywając, tylko raz po raz kiwał głową. Potem odwrócił się do Fukudy i powiedział krótko:

- Musimy uciekać. Ktoś - pięści mu się zacisnęły w gniewie - nas śledził. Zaprowadzę cię gdzieś na nocleg.

Kosuke rozwarł pięści i podał sekretarzowi jakiś klucz. Powiedział przy tym szeptem kilka słów, których Fukuda, choć stał blisko, nie dosłyszał. Zresztą nie interesowały go one. Nie bał się teraz niczego. Powiedział towarzyszom wszystko i od tej chwili nie czuł się samotnym myśliwym, błakającym się w lesie, gdzie krążą głodne wilki. Jego troski dzielą z nim odtąd ludzie, którym cała sprawa leży na sercu podobnie jak jemu. Ta pewność napawała go otuchą.

W milczeniu uścisnął dłoń lekarza dziękując mu w ten sposób za opiekę i pomoc. Sekretarz dał znak ręką.

- Chodźcie, towarzyszu Fukuda. Będziemy musieli trochę nałożyć drogi. Obawiam się, że ten, co nas śledził, mógł zostawić jeszcze kogoś na czatach. Zresztą i tak za kilka minut pobliskie ulice zaroją się od policjantów. Nasz rząd, kiedy chodzi o zwalczanie komunistów, postępuje bardzo energicznie - zażartował i od razu spoważniał. - Pójdziemy naokoło przez ogrody. A wy towarzyszu - zwrócił się do gospodarza - bądźcie przygotowani na niezbyt miłą wizytę.

Doktor uśmiechnął się i machnął ręką.

- Nie pierwszą i nie ostatnią. Zdążyłem się już przyzwyczaić.

Sekretarz odpowiedział mu silnym, serdecznym uściskiem dłoni.

- No, idziemy,

Wybiegli na ulicę we trójkę. Od razu za domem skręcili w lewo - między dwa płoty. Fukuda biegł za sekretarzem. W pewnej chwili obejrzał się. Wydało mu się, że nie słyszy kroków Kosuke. Sekretarz też się obejrzał.

- Nie traćmy czasu - szepnął.
Fukuda ruszył naprzód. Kosuke gdzieś znikł.

*

W dyżurce policyjnej panowała cisza, przerywana jedynie chrapaniem śpiącego na ławce wartownika. Sierżant siedzący przy biurku drzemał nad papierami, opierając głowę o owinięte pięści. W chwilach gdy głowa mu opadała, otwierał na wpoi przytomne oczy i rzucał w stronę chrapiącego policjanta rozkaz:

- Wstań durniu. Zapominasz, że jesteś na służbie.

Policjant zrywał się, poprawiał pas i chwiejnym krokiem rozspanego człowieka wychodził przed przegródkę, by po chwili wrócić i po stwierdzeniu, że sierżant już drzemie, znowu położyć się na ławce. W sąsiednim pokoju też panowała cisza. Spało tam na podłodze kilkunastu policjantów. Wszyscy byli w mundurach, jakby czekali na rozkaz wymarszu na miasto.

Przed domem, w którym mieścił się komisariat policji, maszerował wartownik. Dziesięć kroków w jedną stronę, dziesięć w drugą. Chwilami zatrzymywał się i oparłszy ręce o biodra szeroko ziewał. Pierwsza w nocy, to godzina, kiedy się najbardziej chce spać. Potem wartownik przeciągnął się i znów wyruszał na wędrówkę - dziesięć kroków w jedną stronę, dziesięć w drugą.

Nagle ciszę nocną rozdarł odgłos szybkich kroków. Ktoś biegł. Wartownik poprawił karabin i wpatrzył się w głąb ulicy, z której nadbiegał nieoczekiwany intruz. Zdyszany człowiek zatrzymał się przy wartowniku.

- Do dyżurnego oficera - rzucił, gwałtownie łapiąc powietrze.

- A o co chodzi? - mruknął gniewnie wartownik - Dyżurny oficer, myślisz, tylko siedzi i czeka na ciebie, zatracony...

- Właśnie czeka - przerwał gorączkowo człowiek. - Puść, znam hasło - powiedział szeptem jakieś słowo.

Wartownik odsunął się o krok i przyjrzał intruzowi.

- A, skoro znasz hasło, to idź.

Człowiek, na którego miał czekać dyżurny oficer, wbiegł do środka i zatrzymał się przy barierze.

- Spicie, durnie - krzyknął, ujrzawszy drzemiącego sierżanta i wartownika.

Sierżant uniósł głowę i automatycznie sięgnął ręką po pióro. Dopiero wtedy oprzytomniał, odrzucił z wściekłością obsadkę, i ryknął:

- Czego chcesz?

Wrzask jego obudził policjanta leżącego na ławce. Policjant widząc, że na twarzy przełożonego maluje się gniew, zerwał się, chwycił karabin, oparty o ścianę i z groźną miną doszedł do intruza.

- Czego chcesz? - powtórzył, wpadając w ton sierżanta. Człowiek przy barierze cofnął się wystraszony. I głosem dość niepewnym i drżącym oświadczył:

- Potrzebny mi dyżurny oficer.

- A po co? - zapytał sierżant, ironicznie przyglądając się człowiekowi, który ośmielił się wbiec do komisariatu, obudzić sierżanta policji i jeszcze najbezczelniej w świecie żądać widzenia z dyżurnym oficerem.

Policjant jakby odgadując nastrój swego zwierzchnika przysunął się jeszcze bliżej do intruza.

- Muszę go widzieć, już, natychmiast - jęknął przybyły. - Chyba uprzedzono was, że w nocy może być alarm...

Sierżant usłyszawszy to, zerwał się.

- Od razu trzeba było tak mówić. Czekał - i wybiegł z pokoju.

Policjant, zorientowawszy się, że zaszła nieoczekiwana zmiana w stosunku do gościa, odsunął się od niego, strzyknął śliną przez zęby i oparł się o ścianę.

Człowiek, który sprawił tyle zamętu, stał wciąż przy barierce, nerwowo przebierając palcami.

- Dlaczego to tak długo trwa - wybuchnął.

Tamten plunął z pogardą.

- A coś sobie myślał, że wszyscy tylko czekamy, aż przyjdiesz i zaczniemy od razu skakać... Coś ty za jeden, generał czy co?

- Nie gadaj tyle - odciął się przybysz. - Kazali ci trzymać karabin, to go trzymaj.

Policjant nachmurzył czoło. Nie zdążył jednak zgromić śmiałka, bo w tej samej chwili wbiegł sierżant.

- Porucznik już idzie - krzyknął od progu i trzasnął drzwiami, wbiegając do sąsiedniego pokoju, gdzie spali policjanci.

Słychać było zza drzwi jego głos, budzący śpiochów i wydający krótkie rozkazy. Za ścianą wszczął się hałas. Zastukały buty, rozległy się gniewne okrzyki.

Wszedł porucznik, zaspany, w niedopiętym mundurze.

- No i co - rzucił w stronę przybysza.

- Trzeba jechać już - przybysz wymienił adres. - Byle prędko, bo uciekną.

- A dlaczegoś tak późno się zjawił? - huknął porucznik.

- Nie mogłem odejść - wyjąkał płaczkliwie człowiek za barierką, - Byłem sam.

- Idiota - mruknął oficer. - Jeżeli ich nie złapiemy, to wytrzęsiemy z ciebie duszę. - Huknął pięścią w stół. - Tak, duszę z ciebie wytrzęsę.

- A kiedy pojedziecie?

- Już ty się o nas nie bój - warknął porucznik. - Pilnuj swojej roboty, a my bez twoich rad się obejdziemy. - Teraz spisujemy protokół.

- Po co protokół? - wybąkał człowieczek.

- Jak to po co, żeby wiadomo było co i jak, o której godzinie i w ogóle wszystko. Myślisz, że jeśli ty przeskapisz sprawę, to ja będę za to odpowiadał.

Wbiegł sierżant.

- Wszyscy już są w samochodach panie poruczniku.

- Dobrze. Podporucznik Sojo jest?

- Tak.

- Podajcie mu ten adres - nucił sierżantowi kawałek zapisanego papieru.

- A ten? - sierżant wskazał człowieczka skinieniem głowy

- Nie ma po co jechać. Zawadzałyby tylko - odparł porucznik i skrzywił pogardliwie wargi - Zresztą jest mi teraz potrzebny. Sami dacie sobie radę.

Sierżant wybiegł. Po chwili i ulicy doleciał warkot motorów. Upłynęła minuta i hałas rozpinał się w nocnej ciszy. Porucznik usiadł przy biurku.

- Teraz spokojnie spisujemy protokół.

Człowieczek za barierką wystękał.

- Po co, panie porucz...

- Milcz.

Porucznik pisał kilka minut, lotem podał papier człowieczkowi.

- Podpisz.

Człowieczek przebiegł oczami treść protokołu, zaczynającego się od słów:

„O godzinie 1,25 w nocy z dnia 7 na 8 lipca przyszedł do obwodu policji Nr 9 w Tokio agent „Hokko” i zawiadomił, że...”

- No podpisz! - porucznik wstał.

Człowieczek schwycił pióru i w pośpiechu nagryzmolił swój podpis.

- A teraz możesz iść do diabła - uświadczył porucznik, wkładając papier do teczki.

Człowieczek uklonił się głęboko i jednym susem wyskoczył za drzwi.

Porucznik odprowadź go oczami i powiedział ni to do siebie ni to do wartownika:

- Pluskwa!

*

Fukudzie zdawało się chwilami, że ten bieg przez ogrody, zakamarki, podwórza i uliczki nigdy się nie skończy. Sekretarz biegł przeważnie przed nim, wskazując mu drogę. Fukuda czuł, jak mu serce wali młotem z nadmiernego wysiłku. Ból w nodze dokuczał Skaleczenia na czole piekły, W pewnej chwili zatrzymał się, by odpocząć. Sekretarz też stanął.

- Zmęczyliśmy się, towarzyszu Fukuda - uśmiechnął się, błyskając w ciemności białymi jak śnieg zębami - Ja też ledwie dyszę, ale to nic. Za parę minut będziemy na miejscu. Tu możemy chwilę odsapnąć.

Fukuda oparł się plecami o mur.

- A gdzie mnie prowadzicie, do mieszkania towarzysza Kosuke?

Sekretarz roześmiał się.

- Też pomysł. Czy po to, by was za kilka godzin złapali szpicle. Przecież jeżeli nie znajdą was u doktora, będą szukali u mnie i u Kosuke, Nasza policja nie ma zwyczaju zaniedbywać żadnej możliwości.

Fukuda nic nie odpowiedział. Czuł, jak mu spływają po plecach strużki potu. Przymknął na chwilę oczy...

- Jesteś zmęczony - sekretarz zrozumiał przyczynę milczenia Fukudy. - Nic dziwnego. Taki dzień to nie zabawka Nic - uśmiechnął się znów. - Zaraz sobie wypocznesz. U Tamimy nikt nie będzie szukał.

- U kogo? - zdziwił się Fukuda. - Kto to jest?

- To jedna z naszych najdzielniejszych towarzyszek. Ma bardzo trudny odcinek pracy w naszym Komitecie. Kobiocy i daje sobie doskonale radę. Poznasz ją zresztą bliżej, to się sam przekonasz. Chyba nie peszy cię. - Fukuda czuł, że sekretarz znów się teraz uśmiecha - że będziesz przez kilka dni mieszkał u kobiety. Zwłaszcza że jest młoda, ładna, no i pokrewnych zainteresowań z tobą. W tym roku kończy medycynę.

Fukuda nie wiedział, co odpowiedzieć. Wiadomość o tym, że przez kilka dni ma mieszkać pod jednym duchem z kobietą, w dodatku młodą i ładną wprawiała go w zakłopotanie.

- A czy jej mąż nie będzie miał nic przeciwko temu? - zapytał nieśmiało.

- O nie - roześmiał się sekretarz. - Na pewno nie. Jej mąż to jeszcze nie skryształizowane marzenie. - Poklepał Fukudę przyjacielsko po ramieniu. - Uszy do góry, towarzyszu Fukuda, być może dostajesz w ręce nie byle jakie szanse.

- Eh - zniecierpliwiał się Fukuda. - Też sobie znaleźliście temat i czas do żartów.

- No, no, nie denerwuj się Fukuda, jesteśmy przecież przyjaciółmi. Widzę, że nie czujesz specjalnej sympatii do

kobiet. To twoja sprawa. Towarzyszka Tanima jest tak zajęta, że jej chyba nawet nie będziesz widywał. A teraz - zreflektował się - czas na nas. Musimy już iść.

Wyszli na ulicę. Z rzadka mijali ich spóźnieni przechodnie, przeważnie w dobrych humorach, wracający z nocnych restauracji. Z cichym szelestem przelatywały czasem długie limuzyny. Wreszcie sekretarz zatrzymał się przed jednym z kilkupiętrowych domów i pokazując w górę, na któreś z okien, oświadczył:

- To tu.

- A gdzie jest Kosuke? - zapytał nagle Fukuda.

Sekretarz zmarszczył czoło. Chwilę zastanawiał się, jakby szukając w myślach odpowiedzi.

- Kosuke? Hm. Ma teraz ważne zadanie do spełnienia. Bardzo ważne - podkreślił z naciskiem. - Podobnie jak lekarz, usuwający ze zdrowego organizmu ropiejący wrzód.

*

Ulica jest szeroka. Po obu stronach, wzdłuż płyt chodników ciągną się rzędy wysokich domów. Domy uchodzą w górę, roztapiają się w mroku, połyskując ślepymi oczodołami okien, za którymi dawno już śpią mieszkańcy. Echo powtarza odgłosy kroków, rozsypując je między domami, ale ci, co śpią w swoich mieszkaniach, nie słyszą tego. Zresztą o tej porze kroki ludnie nie rozlegają się zbyt często. Nocny ruch już się skończył, a ranny jeszcze nie zaczął.

Pod ścianami domów idzie człowiek. Mały człowiek spieszący do swego mieszkania. Idzie szybko, zerkając raz po raz za siebie. Może boi się prześladowców, a może po prostu dłuży mu się droga. Mały człowiek nie wygląda na bywalca

nocnych lokali. Przypomina raczej kogoś, kto się zagubił w labiryncie wielkiego miasta i szuka gwałtownie wyjścia, które doprowadzi go do cichej przystani - własnego domu.

Mały człowiek zatrzymuje się nagle. Mętne światło latarni wydłuża jego cień, załamuje go na krawędzi ściany i prowadzi wyżej, ku oknom pierwszego piętra, Cień sprawia wrażenie, że mały człowiek nagle urósł, stał się wielki i silny. Ale to tylko wrażenie. Mały właściciel dużego cienia nie zwraca na to uwagi Wyciąga z kieszeni niedopałek papierosa i osłaniając zapałkę przed wiatrem zapala go...

Z cichym warkotem podjechał samochód. Mały człowiek upuścił papierosa i odskoczył pod ścianę domu, jakby chcąc ukryć się w jej cieniu.

Samochód zatrzymał się. Zza szyby wysunęła się twarz młodego kierowcy.

- Masz, bracie, ognia? - zapytał szofer. - Zdawało mi się, że palisz.

Mały człowiek wysunął się spod muru.

- Już wypaliłem - mruknął niechętnie i ruszył naprzód.

- Poczekaj - rzucił za nim kierowca. - Strasznie mi się chce palić. Pożycz zapałkę. Mogę ci za to dać papierosa, dostałem teraz od gości pół paczki. Amerykańskie,

Mały człowiek zatrzymał się i obrzucił samochód podejrzliwym spojrzeniem. Kierowca mówił tymczasem dalej:

- Na tych Amerykanach to można czasem zarobić. Urznie się taki i potem da ci całego dolara za Jazdę. Ale - posmutniał - tacy goście to rzadkość. No, dajesz zapałki?

Mały człowiek sięgnął do kieszeni, chwilę szukał w niej, wreszcie wyciągnął pudełko.

Kierowca wyszedł z samochodu, wziął zapałki.

- Dziękuję ci za przysługę - powiedział zaciągając się. Potem wydobył z kieszeni papierosa i podał go małemu człowieczkowi. - Masz, bracie, zapal. Dobry papieros.

Mały człowiek mruknął „dziękuję” i też zapalił.

- Trzeba już jechać do domu - oświadczył szofer. - Może nawet byłaby jeszcze jakaś jazda, ale mi się spać chce. Wolę wracać do siebie.

Mały człowiek bez słowa ruszył w dalszą drogę, ale zatrzymał go głos szofera.

- Poczekaj, bracie, nie wyglądasz wprawdzie na milionera, ale jeżeli mieszkasz gdzieś w mojej dzielnicy, to cię podwożę.

- Nie mam pieniędzy na taksówki - mruknął mały człowiek.

- Widać to po tobie. Widać, że masz jakiś paskudny fach i milionów na nim nie zrobisz. Ale to nic. Podwożę cię. Wsiadaj.

- Mały człowiek spojrzał na kierowcę podejrzliwie, ale szofer już siedział w samochodzie i wołał:

- No, wskakuj i jedziemy. Gdzie mieszkasz?

- Niedaleko od fabryki „Omaja”.

- Ja też mieszkam w tamtej okolicy. Siadaj.

- A co ci tak na tym zależy - mruknął gniewnie mały człowiek.

- Phi - gwizdnął szofer. - Nie chcesz, to nie. Fruwaj sobie piechoty, panie bracie. Jeszcze mam cię prosić, czy co?

Mały człowiek usłyszał, że szofer naciska starter. Zdecydował się. Otworzył tylne drzwi i schyliwszy się, wślizgnął do środka. W tej samej chwili auto ruszyło, nabierając z miejsca szybkości. Wydało mu się, że obok na siedzeniu jest jeszcze ktoś. Zaciągnął się znów papierosem, czując jak mu zaczynają drżeć ręce. Złudzenie, że obok siedzi jakiś człowiek nie ustępowało. Rozdygotanymi palcami chwycił zapałki. Zepsuł dwie zanim udało mu się zaświecić. Migotliwy płomyk wyrwał z mroku zarysy ludzkiej postaci.

Mały człowiek poczuł, że ma włosy stają dęba na głowie, po plecach przeszły mu ciarki. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w krtani. Auto pędziło szybko po wyludnianych ulicach pogrążonego we śnie miasta.

- Ty? - wykrztusił mały człowiek. - Ty? Czego chcesz... ode mnie?

Sąsiad milczał. Szofer nawet się nie obejrzał.

- Czego chcesz ode mnie? - wychrypiał jeszcze raz mały człowiek.

Znów odpowiedziało mu milczenie. Mały człowiek wyciągnął rękę i szarpnął szofera za marynarkę.

- Zatrzymaj samochód... Ja wysiądę.

Ale szofer nawet się nie odwrócił. Wtedy mały człowiek chwycił klamkę. I nagle poczuł, że twarde palce odrywają jego rękę od chłodnego kawałka żelaza.

- Siedź i milcz - wycedził przez zęby sąsiad. - Masz najwyżej dwadzieścia minut na to, aby pomyśleć, jakim byłeś łajdakiem.

- Nie - zapiał mały człowiek. - Nie masz prawa. Nie wolno...

- Milcz, Wiesz dobrze, że mam prawo, że my mamy prawo. Mówiłem ci już, że z prowokatorami postępujemy krótko.

Samochód pędził ostro biorąc zakręty. Za oknami znikły już wysokie domy i szerokie ulice. Teraz jechali wąskimi, krętymi zaułkami między rzędami niskich, obdrapanych domów. Latarnie uliczne były coraz rzadsze.

Mały człowiek wcisnął się w kąt auta i drżał ze strachu. Rękami lepкими od potu, szarpał ubranie sąsiada, już nie słowami, ale gestami błagając o litość. W pewnej chwili spojrział przez okno i krzyknął głośno. Miasto już się skończyło. Pędzili teraz jakąś drogą między polami. Wokół nie było ani żywej duszy.

Szofer zahamował. Samochód przejechał jeszcze kilkanaście metrów i stanął. Szofer wyskoczył i otworzył drzwi. Mały człowiek rzucił się całym ciałem naprzód, nie zdążył jednak zrobić dwóch kroków, gdy schwytały go silne ręce sąsiada.

Stali na wzgórk. W oddali białe punkciki świateł mówiły, że tam jest miasto. Duże miasto. - Tokio. A w nim miliony ludzi.

Mały człowieczek rzucił się nagle na ziemię.

- Nie - szeptał gorączkowo - błagam cię, ulituj się. Zbłądziłem. Ale nie karzcie mnie... Pozwólcie mi żyć. Wszystko wam powiem... Nigdy więcej was nie wydam...

- Milcz, jesteś prowokatorem. Wydawałeś ludzi w ręce policji, wydawałeś ludzi, którzy sądzili, że jesteś ich towarzyszem. Chciałeś zaszkodzić naszej sprawie. Z polecenia Partii, z polecenia towarzyszy, tych, których chciałeś zniszczyć, wykonuję wyrok na tobie, prowokatorze Toszima.

Mały człowieczek ujrzał, jak na wprost jego oczu wyrósł nagle otwór lufy rewolweru.

*

Sekretarz wprowadził Fukudę na czwarte piętro. Zatrzymał się przed drzwiami na wprost schodów i sięgnął po klucz. Ale drzwi otwarły się o sekundę wcześniej. Stała w nich młoda dziewczyna i z uśmiechem zapraszała spóźnionych gości. Weszli w milczeniu. Dziewczyna zamknęła drzwi i powiedziała dźwięcznym głosem:

- Witajcie, towarzysze. Czekam na was przeszło kwadrans.

- Witaj Tanimi - odpowiedział sekretarz. Fukuda uklonił się bez słowa. - Nie mogliśmy wcześniej, bo musieliśmy iść okreśną drogą i zajęło nam to sporo czasu.

- Proszę do środka.

Dziewczyna wprowadziła obu mężczyzn do pokoju. Stało w nim masywne biurko zarzucone książkami i papierami. Pod przeciwległą Ścianą obok łóżka też piętrzył się stos książek.

- Dawno już u ciebie nie byłem, Tanimi - uśmiechnął się sekretarz - ale tu nic a nic się nie zmieniło. Chociaż nie - dodał - książek masz dwa razy więcej.

- Trzeba się uczyć, sekretarzu - roześmiała się dziewczyna.

Fukuda oparł się o biurko. Rzucił okiem na książki. Jedna z nich musiała, go widocznie zainteresować. Wziął ją i nie zwracając uwagi na gospodynię ani na sekretarza zaczął wertować kartki. Po dłuższej chwili oderwał się od książki i spojrzał na dziewczynę.

- To rosyjska książka? - zapytał.

- Tak - uśmiechnęła się dziewczyna.

- Znać rosyjski? - zdziwił się.

- Znam.

- Ta książka to jakiś podręcznik bakteriologii?

- Tak.

- Widzisz - wtrącił sekretarz - mówiłem ci, że znajomość z Tanimą przyda ci się.

Fukuda zaczerwienił się. Odłożył książkę i nie patrząc na dziewczynę doszedł do okna. Chwilę trwało milczenie. Przerwała je Tanimi.

- Czas spać towarzysze. W tamtym pokoju przygotowałam dla was pościel. Może niezbyt wygodne - usprawiedliwiała się - ale na to nic nie poradzę.

- Pomyślałaś o mnie także? - Sekretarz obnażył w uśmiechu zęby. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Oj, sekretarzu - dziewczyna pokręciła głową na znak niezadowolenia. - Kiedy przestaniesz uważać kobiety za istoty mniej bystre od mężczyzn.

- Wcale tak nie uważam - oburzył się sekretarz. - Tak sobie zażartowałem.

- I ja też - roześmiała się dziewczyna. I nagle zwróciła się do Fukudy. - A wy, towarzyszu, jeżeli będziecie interesować się tym podręcznikiem bakteriologii, powiedzcie mi. Może coś niecoś wam przetłumaczę.

- Bardzo dziękuję - bąknął Fukuda czując, że znów się dłaczegoś czerwieni. - Chyba nie starczy wam na to czasu.

- Jeżeli mnie poprosicie - powiedziała Tanima patrząc uważnie na Fukudę - to troszeczkę czasu znajdę. No - zmieniła ton - a teraz spać. Za godzinę zacnie świtać.

*

- Miasto budziło się ze snu. Szary świt uwypuklał kontury domów. Na ulicach zaturkotały pierwsze wózki rozwożące do domów bogatych śpiochów pieczywo i mleko. Ukazał się pierwszy samochód, obfitymi strugami wody spłukujący kurz poprzedniego dnia. Gasły latarnie.

Na przedmieściach, w dzielnicach małych domów, do których nikt nie nosi mleka ani ciepłych, smacznie chrupiących bułeczek, w których ryż jest potrawą świąteczną, a suszona, stęchła ryba chlebem powszednim, ruch wzrastał z minuty na minutę. Z domków wychodzili mężczyźni w kimonach i robotniczych kombinezonach. Szli bezładnymi grupami w stronę swoich fabryk i przedsiębiorstw. Szli, ciężko powłócząc nogami, milczący ludzie o twarzach, na których zastygł wyraz zmęczenia i niezaspokojonego głodu. Tak samo

zrywali się o świcie codziennie i spieszyli do warsztatów, które w zamian za nędznych kilka yen wypijały z nich resztki sił. W oczach tych ludzi czaiło się cierpienie, ale obok tego świeciła także iskra nadziei i walki. Iskra, która rozpała się wprawdzie wolno, ale już nigdy nie daje się ugasić.

Dwaj starsi robotnicy szli rozmawiając półgłosem.

- Kiedy to się skończy. Mój brat od czterech miesięcy nie ma już roboty. Puchną z głodu. I wiecie, co zrobił. Przedwczoraj sprzedał córkę temu łajdakowi Takaharze. Nie...

Drugi spojrział nań z oburzeniem.

- I pozwoliłeś na to? Jak ci nie wstyd.

- A co miałem robić? - pierwszy robotnik przeciął pięścią powietrze. - Powiedzieć „nie sprzedawaj córki, lepiej zdechnijcie z głodu”, a może miałem oderwać moim dzieciom kawałek śmierdzącej ryby od ust i oddać dzieciom brata. Sam wiesz, jak żyję...

Rozmowę przerwał im niespodziewany szum. Gdzieś niedaleko, za rogiem musiała hałasować większa grupa ludzi. Słysząc było jakieś okrzyki, wrzaski. Nagle rozległ się brzęk, jakby ktoś kawałkiem żelaza uderzył w szybę.

Ten, którego brat sprzedał córkę, spojrział na swego towarzysza:

- Co to może być?

- Nie wiem, chodź, zobaczymy.

Pobiegli za róg. Za nimi ruszyli inni robotnicy. Czasu było jeszcze dość, a tak niecodzienny hałas zainteresował wszystkich. Ludzie biegnący ku przecznicy ujrzeli sprawców hałasu.

Przy niedużym domku zgromadziło się około trzydziestu młodych ludzi. Ubrani byli jak robotnicy, ale twarze ich mówiły, że byli w życiu wszystkim, czym można, tylko nie robotnikami. Opodal stały dwa duże samochody ciężarowe.

Młodzi ludzie usiłowali właśnie wyłamać drzwi prowadzące do domu. Na chodniku chrzęściły odłamki szkła pochodzące z wybitej szyby. Robotnicy stojąc na rogu zobaczyli, że jakiś mężczyzna usiłował przeszkodzić młodzieniaszkom, ale cios żelaznej pałki rzucił go w tej chwili pod nogi rozbestwionych niszczycieli.

W grupie robotników ktoś krzyknął i rzucił się na pomoc tratanemu mężczyźnie. Za nim pobiegł jeszcze jeden robotnik.

Ten, który gniewał się na towarzysza za to, że jego brat sprzedał córkę, nagle zorientował się, o co chodzi i głośno zawołał:

- Towarzysze, te dranie włamują się do komitetu partyjnego. Przecież w tym domu mieści się biuro partii.

Ktoś w tłumie zawołał:

- No, to nas nic nie obchodzi. Niech sobie komuniści sami radzą.

Odpowiedział mu gniewny pomruk.

- Komuniści czy nie komuniści, to nieważne - huknął ten, co się uskarżał na brata. - Faszystowskie łobuzy wdarły się tu, do naszej dzielnicy, i hasają sobie jak gdyby nigdy nic. No, towarzysze, nauczymy tych policyjnych piesków moresu.

Tłum zerwał się i rzucił w stronę młodzieniaszek. Jeszcze kilka chwil i na ulicy zaroilo się od ludzi. Słysząc było odgłosy uderzeń, głośno rzucane przekleństwa, wrzaski bitych i sapanie bijących. Po minucie z kłębowa ciał przed domkiem z wyłamanymi drzwiami wyskoczyło kilka postaci w potarganych ubraniach. Robotnicy odepchnęli już zbirów na środek ulicy. W tej samej chwili usłyszano syrenę samochodu policyjnego. Zza zakrętu wyskoczyło duże auto wyładowane umundurowanymi policjantami. Poszły w ruch pałki gumowe.

Tłum zacił się rozpraszać. Młodzieńcy, którzy wyłamali drzwi wskakiwali teraz na obie ciężarówki, pomagając wyrwać się z tłumu swoim poranionym i pobitym kompanom. Policjanci odpychali robotników, osłaniając ucieczkę obu samochodów ciężarowych.

W gronie robotników zawrzało.

- Patrzcie, policja trzyma stronę tych bandytów.
- Rozejść się, rozejść się - wołał, wywijając młody oficerek.
- Schowaj tę pukawkę, ptaszku, bo ci ją jeszcze zabierzemy
- zawołał ktoś.

- Warto by i im porachować kości - wtórował drugi głos. - Jak tamci tu harcowali, to policja czatowała za rogiem i ani pary z ust nie puściła. A ledwośmy zajęli się tymi bandytami, już proszę, policja się zjawiała i na naszych karkach próbuje twardości pałek.

Robotnicy znów zaczęli się gromadzić. Policjanci spoglądali z wystraszonymi ramami na swego dowódcę. Postawa robotników nie wróżyła im nic dobrego. Młody oficer zorientował się widocznie, że sytuacja nie jest dla niego zbyt dogodna i dał sygnał. Policjanci wskoczyli do samochodu i odprowadzani gwizdami i okrzykami znikli za rogiem.

Teraz zaczęli się rozchodzić robotnicy, każdy przypominaj sobie, że przecież do fabryki nie wolno się spóźnić.

- Znów ten drań, dozorca, będzie się pieklił - mówił jeden z robotników, którzy szli teraz prawie biegiem, starając się nadrobić stracony czas.

Tuż przed bramą fabryki dołączył się jeszcze jeden robotnik,

- Słyszeliście? - zapytał,
- O czym?

- O nalotach. Faszystowskie gagatki urządziły dziś o świcie naloty na lokale partii komunistycznej. Podobno policja maczała w tym ręce...

- To znaczy, że wszędzie zrobili to samo. Znów jakaś drańska akcja - mruknął któryś i zwrócił się do tego, co przyniósł nowinę. - A ten guz - pomacał siniak na czole - to właśnie z tej awantury. Myśmy naszego lokalu nie dali.

- Fiu - gwizdnął inny. - To ładnie. Myśmy też przeszkodzili tym łajdakom.

Ryknęła syrena, obwieszczając początek pracy. Dozorca w bramie potrząsając pięściami popędzał opieszających grożąc im najstraszliwszymi karami. Ale na twarzach ludzi malował się gniew i dozorca czym prędzej znikł w swej budce za bramą.

VIII

Polowanie na człowieka trwa

Punktualnie o godzinie dziesiątej w gabinecie generała Smuthersa zadzwonił telefon. Smuthers spojrzał z nienawiścią na czarnego intruza, który przerwał mu przeglądanie ulubionej gazety donoszącej, że w jego rodzinnej Alabamie bezczelni Murzyni znów podnoszą głowę, wobec czego Ku-Klux-Klan musiał interweniować i zastosować w dwu wypadkach prawo Lyncha. Smuthers czytał właśnie opis polowania na jednego z Murzynów, gdy rozległ się natarczywy dzwonek. Niechętnie sięgnął po słuchawkę i gniewnie rzucił „Smuthers słucha”. Po pierwszych kilku usłyszanych słowach twarz jego przybrała wyraz powagi i skupienia. Strząsnął gazetę z kolan, jakby przeszkadzała mu w słuchaniu i wyprostował się w fotelu.

- Tak jest - mówił słuźbiście do mikrofonu. - Za piętnaście minut będę na miejscu. Na pewno. Proszę to zameldować.

Odwiesił słuchawkę, zerwał się, zerknął do lustra, przygładził włosy i podciągnął krawat. Sięgnął po ogromnych rozmiarów portfel, mimochodem nacisnął guziczek dzwonka, po czym wyciągnął z szuflady plik papierów.

Wbiegł oficer i trzasnął obcasami. Smuthers nie unosząc głowy znad papierów krzyknął:

- Jack niech czeka przy drzwiach. Jadę do gubernatora. Gdyby ktoś o mnie pytał, powiesz, że nie wiadomo kiedy wrócę.

Oficer znów trzasnął obcasami, dając generałowi do zrozumienia, że rozkaz będzie wykonany i wybiegł z gabinetu.

Smuthers przejrzał odłożone papiery, wrzucił je do tek' i wyszedł. Przed drzwiami wejściowymi stał już oczekujący nań

samochód Smuthers z trudem wtłoczył swoje cielsko przez wąskie drzwi.

- Do pałacu gubernatora, Jack. Masz siedem minut czasu na jazdę.

Jack uśmiechnął się.

- Pan się zawsze spieszy, generale. W każdym liście piszę do mojej Betty, że nie wiem, czy następny list będę pisał sam, czy też ktoś zawiadomi ją o moim zgonie.

- Nie gadaj tyle - furknął Smuthers. - Czas to pieniądz. Nie wolno marnować ani jednego, ani drugiego.

- Toteż nigdy nie marnuję tego drugiego. Ledwie starczy mi na to, by wysłać dla Betty - mruknął szofer.

Samochód pędził hucząc bezustannie. Jękliwy głos syreny uprzedzał pojazdy, że należy ustąpić drogi komuś ważniejszemu od nich wszystkich. Policjanci na skrzyżowaniach ulic salutowali przejeżdżające auto, na którym dumnie łopotała gwiazdzista chorągiewka - symbol siły i władzy zza oceanu.

Smuthers okazał przepustkę wartownikowi i od razu ruszył na drugie piętro. Szybko przeszedł korytarz. Przed jednymi drzwiami zatrzymał się, obciągnął marynarkę, musnął dłonią włosy. W pokoju siedział młody major.

- O generale, jak zdrowie.

Smuthers odsapnął i z cicha zaklął.

- Zabije mnie kiedyś ten pośpiech. Ale nie spóźniłem się?

Major spojrział na zegar.

- Nie, jeszcze cztery minuty. Gubernator ceni punktualność.

- Słusznie - mruknął Smuthers i nagle wstał, zbliżył się do majora i cicho zapytał. - A nie wiesz przypadkiem, Lobbing, czego stary chce?

Major wzruszył ramionami.

- Nic mi nie mówił. Sądzę, że nic groźnego. Jest w dobrym humorze.

Nad ukrytymi w ścianie drzwiami trzykrotnie błysnęło światło. Major zerwał się i włączył mikrofon. Z tuby doleciał z lekka zachrypnięty głos:

- Czy generał Smuthers już jest?
- Tak, panie gubernatorze - zameldował major.
- Wprowadzić.

Major skinął głową na Smuthersa, doprowadził go do drzwi i otworzył je.

Gabinet, w którym znalazł się Smuthers, był rozległym pokojem wyściełanym miękkimi, ręcznie malowanymi matami. Na ścianach wisiały piękne japońskie obrazy, porcelanowe miniaturki i oryginalne hafty. Uderzał w tym pokoju przepych, prawdziwie wschodni, świadczący o lubowaniu się w wygodzie. Na okrągłych stolikach, rozsianych po gabinecie, stały stare wazy. Niskie foteliki zapraszały do wypoczynku. Kontrastowało z tymi tymi ażurowymi meblami ogromne biurko ustawione pod przeciwległą ścianą. W wysokim, pokrytym starojapońskimi rzeźbami fotelu za biurkiem siedział starszy, ale czerstwy mężczyzna, łysy, o twarzy surowej, na której zastygł wyraz gniewu.

- Proszę bliżej, Smuthers - odezwał się gospodarz tego gabinetu.

Smuthers doszedł do biurka i zatrzymał się w odległości trzech kroków. Gospodarz wskazał mu ręką fotel.

- Proszę, siadaj, przyjacielu, wiesz przecież, że w stosunku do starych przyjaciół nie uznaję żadnych ceremonii.

Kiedy Smuthers usiadł, gubernator wyciągnął z inkrustowanego pudełka cygara.

- Zapalisz? Zaraz przyniosą nam kawę. Rzeczywiście, jakby na skinienie czarodziejskiej różdżki, otworzyły się niewielkie drzwi w bocznej ścianie i młody oficer wtoczył do gabinetu stolik z nakryciem do kawy.

Gubernator wstał. Wysoki, ponury, szedł wolno w stronę jednego z niskich okrągłych stolików. Gestem zaprosił Smuthersa.

- Tu będzie nam wygodniej.

Oficer przytoczył kawę do stolika, zasalutował i wyszedł.

- Siadaj Smuthers, napij się. Muszę z tobą trochę porozmawiać.

Gość skinieniem głowy podziękował za zaproszenie. Ilekroć przestępował próg tego gabinetu, czuł się zawsze onieśmielony. Działał nań ten przepych i uroczysty ton gubernatora. Jakby nagle znalazł się na dworze udzielnego księcia, ba, samego cesarza. Zresztą nie dziwił się temu. Gubernator miał władczy sposób bycia, a prócz tego skupiał w tym kraju całą władzę w swoich rękach. Już to nakazywało najwyższy szacunek. A prasa wynosząca pod niebiosa „boskiego gubernatora” dokonywała reszty. Nimb wielkości otaczał gubernatora na każdym kroku.

Kawę pili w milczeniu. Gubernator skończył pierwszy i wziął cygaro. Smuthers nie zważając na swoją tuszę podskoczył i podał mu ogień. Gubernator uśmiechnął się kącikami oczu. Zaciągnął się i wygodnie oparł.

- Wciąż jesteś zręczny, Smuthers. Wcale ci tusza nie zaszkodziła. Podobnie jak w college'u.

- Tak jest, gubernatorze.

- Pamiętam - zamyślił się gubernator - jak mówiłeś do mnie krótko Mac i uzupełniałeś to kuksańcem.

Smuthers zmieszał się. „Ale ma pamięć, stary drań” - pomyślał z zachwytem.

- Nie przypuszczałem wówczas, że mam do czynienia z człowiekiem, który będzie kierował cesarstwem - odpowiedział z przymilnym uśmiechem.

Gubernator też uśmiechnął się.

- Pochlebiasz mi, przyjacielu. To nie ja, to Ameryka kieruje cesarstwem. Decyzje Kongresu i prezydenta są dla mnie rozkazem.

Smuthers zżymnął się w duchu. „Mógłby przynajmniej przy mnie zrzucić z siebie tę maskę - pomyślał. - Przecież ja wiem dobrze, jak wygląda ta cała polityka od podszewki”. Ale nie powiedział ani słowa, tylko schylił głowę, aby gubernator nie dostrzegł ironicznego uśmiechu, który wykrzywił mu usta.

Gubernator jeszcze raz zaciągnął się i odłożył cygaro.

- Wezwałem cię, Smuthers - zaczął po chwili milczenia - aby pomówić o sprawie bardzo ważnej. Chodzi mi o „ośrodek BB”.

Smuthers drgnął. Nie spodziewał się, że gubernator będzie z nim o tym właśnie rozmawiał.

- Sprawa jest bardzo poważna - powtórzył gubernator. - Jak stoją sprawy, wiesz sam dobrze. Nie muszę ci tego wyjaśniać z dwóch przyczyn. Zajmujesz się „ośrodkiem BB” jako szef kontrwywiadu w moim sztabie - to raz, i jako wiceprzewodniczący zarządu firmy, poważnie w tym ośrodku zaangażowanej - to dwa.

Gubernator zamilkł i zaczął uporczywie wpatrywać się w twarz gościa Smuthers uczynił wewnątrz ogromny wysiłek by nie zdradzić, co się teraz działo w jego duszy. „Wszystko wie stary wyga - pomyślał - nic się przed nim nie da ukryć”. Nit wiedząc co powiedzieć, wołał zachować milczenie.

- Otóż, drogi Smuthers - podjął wreszcie gubernator. - Chciałbym, abyś więcej uwagi zwrócił na ten ośrodek. Otrzymałem wczoraj szyfr z posiedzenia w Białym Domu. Opinia Pentagonu została zaaprobowana przez Biały Dom. Zgodnie z wytycznymi jakie otrzymałem, powinniśmy wykorzystać wszystkie możliwości dla jak najefektowniejszej rozbudowy ośrodka. Przypuszczam, iż wasz prezes, Crosby,

zawiadomił już ciebie, że wasza firma uzyskuje monopol i odpowiednie kredyty z funduszków specjalnych na rozbudowę ośrodka. Rzecz jasna - dodał, gestem uspakajając wzburzonego Smuthersa - że tu na miejscu o roli, jaką grasz ty oraz twoi wspólnicy, przede wszystkim Bob Crosby, nie wie nikt prócz mnie i senatora Mathewsa, który zresztą dziś wieczorem wraca do Waszyngtonu. Twoim oficjalnym zadaniem jest troska o zachowanie jak najdalej idącej tajemnicy wokół ośrodka.

Smuthers odetchnął.

- Myślałem, że ktoś już coś zwąchał - wypalił.

Gubernator uśmiechnął się.

- To już tylko od ciebie zależy. No i od twoich ludzi. Wróćmy jednak do sprawy zachowania tajemnicy. Sam rozumiesz, że gdyby dowiedziano się o naszych pracach, zawrzałoby na świecie że aż strach. Rozumiesz mnie? Nasza gra skończyłaby się większą klęską niż ta, której doznaliśmy w związku ze sprawi bomby atomowej. Bakteria - usta gubernatora wykrzywił zjadliwy uśmiech - to stworzonko delikatne, delikatniejsze nawet od atomu. Dlatego musimy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. I to właśnie spoczywa na twoich barkach.

- Robimy wszystko, gubernatorze.

- Wiem, wiem - odparł gubernator - dlatego nie stawiam ci żadnych zarzutów. Jedynie przypominam o twoich obowiązkach, byś z kolei przypomniał o nich twoim podwładnym. A propos, jak się przedstawia sprawa fachowców w ośrodku.

- Pracuje tam w tej chwili około czterdziestu bakterio-
logów i drugie tyle chemików - pospiesznie wyjaśnił
Smuthers.

- Nie o to mi chodzi - rzucił zniecierpliwiony gubernator.

- Sam rozumiesz, że to jest śmiesznie mało. Pracujemy wciąż w warunkach laboratoryjnych. Czas najwyższy pomyśleć o rozbudowie ośrodka i przystąpieniu do badań i doświadczeń praktycznych. Japończycy, jak wiesz, mają w tej dziedzinie doskonałą praktykę i należy ich wykorzystać. Chciałbym wiedzieć, czy macie już spis wszystkich japońskich specjalistów, którzy mieli jut z takimi sprawami do czynienia.

- Spis jest jeszcze niepełny - odrzekł Smuthers. - Natrafiamy na ogromne trudności. Część zginęła na wojnie, część zaszyła się gdzieś i trudno ich odnaleźć. W każdym bądź razie mamy w tej chwili jednego z najlepszych specjalistów. Był prawą ręką generała Isii.

Gubernator z zadowoleniem pokiwał głową.

- Takich ludzi nam potrzeba. Jak najwięcej.

- Rozumiem to doskonale, gubernatorze - Smuthers zapalił cygaro. - Sam jestem w tym przecież zainteresowany. Moi ludzie mają już polecenie wyszukania i zwerbowania odpowiedniej ilości japońskich fachowców. Zajmują się tym ludzie, na których mogę polegać. Jeżeli zaś chodzi o sprawę zatajenia ośrodka, to tę pracę powierzyłem pułkownikowi Crosby.

- To dobrze, Smuthers - gubernator wstał. - Jestem zadowolony z naszej rozmowy. Widzę, że sprawa BB leży ci na sercu. W naszych planach - dodał, uważnie patrząc na Smuthersa - BB może odegrać doniosłą, kto wie czy nie decydującą rolę. Ale nie wolno nam zapominać, że może ona stać się grobem naszych nadziei, jeśli zostaną ujawnione jakiegokolwiek szczegóły. To Wszystko, Smuthers, co ci miałem do powiedzenia w tej sprawie - zakończył wracając na fotel za biurkiem.

*

W gabinecie pułkownika Crosby'ego było czarno od dymu. Pięciu mężczyzn siedziało przy biurku pułkownika, zawzięcie spierając się ze sobą. Najspokojniejszy z całej szóstki był generał Kanadzawa, który zamiast mówić, wolał słuchać i uśmiechać się.

- Wszystkie nasze dotychczasowe usiłowania - pieklił się Crosby - nie dały żadnego efektu. Od pięciu dni szukamy tego przeklętego Fukudy i nic. To wstyd, panowie, żeby jeden komunista kpił sobie z wysiłków amerykańskiej i japońskiej policji. Hańba...

- Ośmielam się zauważyć - wtrącił Kanadzawa - że tu nie chodzi o jednego Fukudę. Gdyby Fukuda działał sam, dawno już mielibyśmy go w ręku. Nieszczęście polega na tym, że Fukuda nie jest jeden. Komuniści nie mają zwyczaju działać w pojedynkę. Za nim stoi potężna organizacja.

- Ja ich złamię, zduszę - wybuchnął Crosby.

- Ale jak, pułkowniku? Byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby komuniści nie byli partią legalną. Nawet wtedy jednak trudności byłyby ogromne.

- Bieda, że nigdzie nie możemy znaleźć jego śladu - dodał Riusi. - Przewertowaliśmy w ciągu tych pięciu dni wszystkie spisy. I nigdzie ani śladu Fukudy. To znaczy ludzie o tym nazwisku są. Ale po sprawdzeniu ich danych okazało się, że żaden z nich nie jest człowiekiem poszukiwanym przez nas. Musimy przestać szukać Fukudy. Trzeba go szukać pod innym nazwiskiem.

- Ale czyżby nikt go nie znał? - jęknął Crosby.

Riusi ciągnął dalej tym samym spokojnym tonem.

- Wszystkie dane wskazują na to, że Fukuda zjawił się w Tokio dopiero przed kilku dniami lub tygodniami. Nie możemy

rozesłać za nim listów gończych, bo rysopisy podawane przez naszych agentów różnią się. Jedna rzecz jest pewna. Moi ludzie, którzy widzieli go na demonstracji, twierdzą, iż nigdy przedtem nie spotykali go w Tokio. Jeden z nich oświadczył, że prawdopodobnie zetknął się z Fukudą w Kobe. Agent ten pracował tam ostatnio. Wysłałem najzdolniejszych agentów do tego miasta i teraz czekam na wiadomości.

Wysoki, szczupły blondyn o malutkich, głęboko osadzonych wstał.

- Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć...

- Milcz lepiej, Malchom, wielu rzeczy nie rozumiesz - krzyknął nań Crosby. - Ośmieszylesię organizując akcję nalotów. Będziemy jeszcze o tym mówili. Postąpiłeś jak ostatni głupiec. Kto to widział - rozłożył ręce - żeby nalot na lokal komunistyczny urządzać o tej porze, kiedy robotnicy idą do pracy. Jak czegoś nie umiesz, to poradź się przynajmniej. Przez tę twoją głupotę mamy teraz w mieście dość kłopotów. Jeszcze jedna taka awantura, a będziemy mieli strajk powszechny.

Malchom usiadł na swoim miejscu.

- A ja wam powiadam - odezwał się Rooge - że niepotrzebnie się denerwujemy. Skąd mamy pewność, że Fukuda w ogóle coś wie z tego, czego nie powinien wiedzieć.

Crosby zerwał się.

- Rooge - wrzasnął - trzymaj język za zębami!

Rooge zamilkł.

- Już, pułkowniku, milczę jak grób.

Crosby przeszedł się po pokoju. Zatrzymał się przy biurku, wychylił duszkiem szklankę piwa i zapalił papierosa.

- Z tego, cośmy dziś mówili, wynika jedno - po pięciu dniach poszukiwań wiemy tyle samo, cośmy wiedzieli pierwszego dnia. To znaczy nic. Musimy więc zmienić taktykę. Trzeba postawić całą policję na nogi - zwrócił się do

Kanadzawy. Ten skłonił głowę - Trzeba zmobilizować wszystkich agentów mających styczność z komunistami. Wszystkich aresztowanych w związku ze sprawą Fukudy poddać badaniom. Zajmie się tym wspólnie z pułkownikiem Riusi, kapitan Mac Leary.

Krępy brunet, o wystających kościach policzkowych uśmiechnął się i mrugnął na Riusi.

- Aresztowany przez nas lekarz, u którego miał się ukrywać Fukuda - wtrącił Riusi - zmarł tej nocy.

- Idiota! - Crosby huknął pięścią w stół. - Czy wy już nawet ludzi badać nie umiecie. Masz ci los. Opierałem swoje nadzieje na tym właśnie przeklętym doktorze, a teraz znów straciliśmy ślad. - Opanował swój gniew. - Pułkowniku - zwrócił się do Japończyka. - Czekam od jutra rana na wiadomości od pana w sprawie poszukiwań w Kobe. Czy wszyscy wiedzą, co m ją robić?

Mężczyźni zaczęli odsuwać krzesła. Po chwili w gabinecie został tylko Kanadzawa. Japończyk spojrzał na Crosby'ego i pochyłili się do niego.

- Pułkowniku, nie chciałem o tym mówić przy wszystkich. Agent, który z mego polecenia śledził komunistów podejrzanych o ukrywanie Fukudy, nie wrócił. Ciało jego nie znaleziono. Przypuszczam, że zabito go jako zdemaskowanego prowokatora. Potwierdza to moje przypuszczenia, iż Fukuda działa w ścisłym porozumieniu z tutejszymi organizacjami komunistycznymi. Mój agent wymienił mi jedno nazwisko człowieka, który miał dopomóc Fukudzie w ucieczce. Ponieważ jest to szofer, poleciłem przedwczoraj zatrzymać go pod pretekstem przekroczenia przepisów drogowych. Musieliśmy działać bardzo ostrożnie, by nie spłoszyć zwierzyny. Sprawdziliśmy, co robił tamtego dnia i nocy. Ma jednak murowane alibi. Podobno był wówczas na

demonstracji, ale od razu stamtąd wyjechał do Osaki. Puściliśmy go, ale roztoczyliśmy nad nim ścisły nadzór.

Crosby uniósł brwi na znak, że się zastanawia. Chwilę bazgrał coś na kawałku papieru. Potem spojrzał na Kanadzawę.

- Sądzi pan, że on coś wie?

- Jestem tego pewien.

- I co?

- Musimy poczekać. Jeden nieostrożny krok tego człowieka odda nam Fukudę w ręce.

- Czekać, wciąż tylko czekać - wybuchnął Crosby, ale potem skinął niechętnie ręką. - Ma pan rację, generale. Musimy czekać. Aha - przypomniał sobie - nazwisko tego człowieka.

- Kosuke, Akira Kosuke, szofer.

Crosby zapisał sobie nazwisko w notesie.

- Dziękuję, generale - powiedział wstając. - Oddaje pan nam nieocenione usługi. Dług naszej wdzięczności rośnie.

Kanadzawa wyszedł.

Crosby pogrążył się w rozmyślaniach. Od kilku dni czuł się jak człowiek zabłąkany w gęstym i ciemnym lesie. Wiedział, że gdzieś tu, obok, czyha na niego niebezpieczeństwo. Tym niebezpieczeństwem był Fukuda. Dobrze, jeżeli rację ma Rooge i Fukuda nic nie wie o „ośrodku BB”. Ale co, jeżeli wie. Muszą go schwytać, inaczej gotów wszystko wygadać. A wtedy... Crosby bał się nawet pomyśleć o następstwach takiej możliwości. Krach kariery, krach firmy, ba, krach polityki. Za taką sprawę nikt go po głowie nie pogłaszcze. Tylko co tu począć, jak tu ująć nieuchwytnego Fukudę? Zastawił nań tyle zasadzek, zmobilizował wszystkie siły, a Fukudy jak nie ma, tak nie ma. Chwilami opanowywało go zniechęcenie. Doszedł już do wniosku, że nic się nie da zrobić. Gotów był podzielić zdanie Rooge. Skoro Fukuda dotychczas nic nie powiedział, ani

nie napisał o „ośrodku BB”, to znaczy, że nic o tym nie wie. Zgoda. Ale w takim razie dlaczego tak starannie się ukrywa? Dlaczego uciekł tamtej nocy z mieszkania, w którym podobno się schował? Dlaczego ten lekarz wołał umrzeć przy badaniu, niż powiedzieć słówko o Fukudzie?

Pytania te dręczyły go bez przerwy. Wczoraj wieczorem rozmawiali o tym ze Smulhersem. Ostatnie wiadomości od brata zapowiadają, że „ośrodek BB” może się stać gigantycznym biznesem. Po prostu kopalnią złota. A tu jakiś przekłety Fukuda może zburzyć to wszystko.

Crosby zatrzęsł się z gniewu i nacisnął guzik.

- Poruczniku Rooge, do mnie.

Czekał na pomocnika w milczeniu bębniąc palcami po stole. Przywitał Rooge'a stekiem przekleństw i wymysłów.

- Gadasz, jakby ci płacono po dolarze za słowo, durniu jeden - wołał. - Niewiele brakowało, byś powiedział tej całej hołocie dlaczego szukamy Fukudy. Myślisz, że Kanadzawa to taki tępak jak Mac Leary czy Malchom. Przypuszczam, że już zaczyna się domyślać, czemu tak mnie denerwuje sprawa Fukudy. Mało ci tego? Musisz o tym powiedzieć wszystkim?

- Kiedy ja wcale nie chciałem - tłumaczył się Rooge. - Tak mi się jakoś wymknęło, ale słowo daję, że niczego bym nie powiedział.

- Dureń jesteś. Ale mam z tobą jeszcze coś do obgadania.

Rooge usiadł i nalał sobie piwa.

- Powiedz mi, kto to jest Hitchener?

Roogemu wypadła z wrażenia szklanka z ręki. Brzęknęła o róg stołu i rozprysła się w kawałki. Cienkie strugi żółtawego płynu pociekły na dywan i na spodnie porucznika.

- Aha, zatkało cię, ty łajdaku. - Crosby zatarł ręce. - Tuś mi bratku. To po co cię tu sprowadziłem, żebyś mi urządził pod bokiem jakieś własne businessy. Dopóki zarabiałeś na

herbaciarniach, biorąc po sto dolarów za zezwolenie na utrzymanie dziewczyn - milczałem. Ale Hitchener to coś całkiem innego. Gadaj, kto to jest?

- To mój stary wspólnik z czasów wojny.

- Aha. I znów zwąchaliście się. Myślałeś, że uda ci się Crosby'ego wystrychnąć na dudka. Nie tak łatwo braciszku. Poczekasz trochę.

- Wcale nie chciałem ciebie oszukać. Z Hitchenerem nie gadałem o businessie.

- Łżesz - warknął Crosby. - A kto z nim gadał o porcelanie?

Rooge otarł pot z czoła.

- Zaczynam cię podziwiać Crosby - mruknął. - Jeżeli zawsze tak energicznie postępujesz, to uwierzę, że w końcu złapiesz Fukudę.

- Nie zagaduj mi zębów. Mów lepiej, co to za business i porcelaną.

- Eh, ja sam nie wiem. Coś mi się przyśniło po pijanemu.

- Rooge! - Crosby uniósł się zza biurka. Spojrzenie miał teraz zimne i kłujące. - Rooge! Nie próbuj mnie oszukiwać. Bo...

Rooge zerwał się.

- Słowo daję, te nic nie chciałem zrobić. Nawet nie pamiętam, co mu obiecywałem. To było...

- Dobrze - Crosby zacisnął zęby. - Jesteś wolny. Zgłosisz się jeszcze dziś do mnie po papiery. Jutro będziesz wolnym człowiekiem.

- Crosby - Rooge zapał ze zdenerwowania. Nie mów tego. Wiem, co szykujesz. Wcale się ciebie nie boję. Pójdę zaraz do...

- Dokąd pójdziesz, skarbie - zachichotał pułkownik. - Myślisz, że ujdiesz więcej niż dziesięć kroków, po wyjściu z tego gmachu. Zapominasz...

Rooge opadł na fotel.

- Niech cię diabli. Powiem ci o Hitchenerze. Powiedziałem mu, żeby kupił jedną fabryczkę porcelany.

- Aha. Po to, żeby potem mnie ją sprzedać za dziesięciokrotną cenę. Nie udało się. Widzisz, Rooge Mówiłem ci, nie oszukuj mnie bo źle na tym wyjdiesz. Gdybyś mi sam powiedział o tym bussinessie, dostałbyś swój procent żywą gotówką. A tak nie dostaniesz ani centa. Rozumiesz, ani centa. Żebyś wiedział, te mnie kantować nie wolno. A teraz idź i zajmij się swoimi sprawami Jutro po obiedzie sprowadzisz mi tego Japończyka który ma fabrykę. Jeżeli dobrze się spiszesz, to może coś zarobisz.

*

Generał Kanadzawa usiadł wygodnie na macie. Przed nim, na niziutkim stoliczku stał już czajnik i miniaturowa filiżanka, Obok leżały przybory do palenia. Generał poprawił fałdy kimona i napełnił filiżankę. W pokoju rozszedł się aromat herbaty. Kanadzawa łyknął raz, drugi, po czym odstawił filiżankę, i wziął ze stolika fajeczkę. Wpół leżąc wydmuchiwał kółeczka dymu.

Takie chwile lubił najbardziej. Atmosfera gabinetu, do którego w każdej chwili ktoś mógł wejść lub zadzwonić, hałasy uliczne, echo kroków na korytarzach - wszystko to nie sprzyjało - zdaniem generała - myśleniu. Kochał się w atmosferze domowego spokoju. Jego willa za miastem tonęła w powodzi zieleni i kwiatów. Nie dochodziły tu żadne odgłosy. Każdy kąt tego wypielegnowanego, komfortowo urządzonego domu tchnął spokojem i ciszą.

Ale sam generał Kanadzawa nie był w tej chwili spokojny. Sprawa Fukudy, którą zupełnie niespodziewanie sam rozpętał,

okazała się znacznie bardziej skomplikowana niż tego należało oczekiwać. Zawdzięczał jej przede wszystkim zdobycie stanowiska i to nie byle jakiego. Generał Smuthers dotrzymał obietnicy i od dwóch dni Kanadzawa pełnił obowiązki zastępcy szefa policji cesarskiej. Myśląc o tym, Kanadzawa uśmiechał się radośnie. Jego przewidywania spełniły się. Nie na próżno czekał tyle lat, pozostając w niełasce. Dziś może już zbierać owoce swej cierpliwości.

Kanadzawa wierzył od pierwszej chwili wkroczenia Amerykanów, że jego gwiazda znowu zabłyśnie. „Nie jestem jeszcze zbyt stary, a moje doświadczenia na pewno przydadzą się naszym amerykańskim kolegom” - mawiał w gronie przyjaciół. Aby nie pozostawać poza nurtem życia, Kanadzawa utrzymywał przez wszystkie te lata kontakty ze swymi informatorami i agentami. Wiedział o wszystkim, co się działo w kraju nie tylko z gazet. Znał sprężyny polityki rządu i sprężyny polityki władz amerykańskich. W swoim mieszkaniu zachował część archiwum ocalonego z pożogi wojennej. Ludzie śmieli się dawniej ze starego Kanadzawy, skrzętnie przechowującego różne papierki z czasów wojny i nawet z lat przedwojennych. A Kanadzawa wzruszał tylko ramionami ubolewając nad krótkowzrocznością przyjaciół. Teraz na przykład niektóre z tych papierków mogą mu oddać nie ocenione usługi.

Wziąć chociażby sprawę lekarzy bakteriologów, poszukiwanych przez generała Smuthersa. Kanadzawa miał w mieszkaniu sporą ilość danych dotyczących tych ludzi. Przecież opiekował się w Charbinie archiwum jednostki 731. Albo gdyby ktoś szukał jakiegoś komunisty. Kanadzawa mógłby dostarczyć wielu informacji. Kiedy z Charbinu odwołano go do Tokio, stanął na czele wydziału antykomunistycznego, a gdy rząd skapitulował, ukrył część dokumentów w swojej willi.

Przydadzą się - pomyślał sobie wówczas. Nieprzypadkowo zresztą. Znał dość dobrze Amerykę i ludzi, którzy nią rządzą. I dlatego wierzył, że jako spec od zwalczania komunizmu będzie jeszcze potrzebny.

Sięgnął po papiery leżące obok, na poduszce. Przejrzał uważnie kilka zapisanych arkuszy. Potem wziął do rąk fotografię, przyklejoną do długiej taśmy papieru, na której widniały odciski palców. Wiele dałby za to, by mieć teraz w rękach nie tę fotografię, ale samego człowieka. Cóż, kiedy człowiek jest nieuchwytny.

Crosby? Crosby jest w gruncie rzeczy głupim i brutalnym awanturnikiem. On, Kanadzawa, nigdy nie powierzyłby mu odpowiedzialnej i delikatnej misji. Któż to słyszał, żeby dla znalezienia jednego człowieka zarządzić naloty na lokale komunistów. Tak postępuje tylko człowiek ograniczony. Wprawdzie Crosby usiłuje teraz całą winę za tę niefortunną akcję zwalić na Boga ducha winnego Malchoma, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Kanadzawa znał przecież całą historię od kuchni.

Sprawa Fukudy nie dawała mu spokoju nie tylko ze względu na osobę poszukiwanego. Kanadzawa telefonując owego dnia do pułkownika Crosby wcale nie myślał, że Amerykanie zainteresują się aresztowanym. Chciał po prostu prosić Amerykanina, by oddał tego człowieka Riusermu, a już wtedy zająłby się nim sam Kanadzawa. Tymczasem sprawa przybrała odmienny obrót. Crosby usłyszawszy całą historię zbyt żywo zainteresował się Fukudą. Właściwie nie całą historią. Jedynie fragment meldunku i demonstracji, dotyczący przemówienia Fukudy, wzbudził w pułkowniku zainteresowanie. Dla człowieka myślącego i lubiącego zaglądać w przyszłość, a do takich zaliczał siebie Kanadzawa, był to szczegół ważki.

Już wtedy, siedząc w gabinecie Crosby'ego, Kanadzawa skojarzył zdenerwowanie pułkownika z prośbami Smuthersa w sprawie odnalezienia lekarzy-bakteriologów z jednostki 731. Stary lis Kanadzawa, jak go nazywano niegdyś w sztabie generalnym, w lot zorientował się w sytuacji. Teraz właśnie myślał o tej sprawie. Amerykanie muszą prowadzić jakieś doświadczenia bakteriologiczne. To nie ulegało wątpliwości. Rzadkie wzmianki w prasie amerykańskiej, skrzętnie wyłapywane przez Kanadzawę, musiały opierać się na jakichś podstawach. Niewiadomą pozostawał zakres tych doświadczeń i ich forma.

Kanadzawa należał do ludzi trzeźwo myślących, świadectwem tego była luksusowa willa, spore konto w banku i umiejętnie wykorzystywane archiwum. Skoro Amerykanie prowadzą badania nad bakteriami, można będzie przy tym upiec pieczeń dla siebie. Kanadzawa w myślach widział już siebie na odpowiedzialnym stanowisku, dobrze płatnym nie w bezwartościowych w gruncie rzeczy yenach, ale w dolarach. Zresztą nie było to najważniejsze. Kanadzawa nienawidził. Nienawidził ludzi zwanych robotnikami. Nienawidził ich i bał się. Nigdy nie mógł zapomnieć przeżycia sprzed trzydziestu laty, kiedy jako świeżo upieczony oficer, szedł uśmierzać bunty ryżowe. Gdyby nie przypadek, przypłaciłby wówczas życiem pierwszą wyprawę wojenną. Ileż to razy budził się w nocy zlany zimnym potem, bo we śnie widział oczy setek robotników i chłopów, rzucających się z gołymi rękami na jego oddział. Oczy, w których płonęła nienawiść i gniew.

Łyknął herbaty. Aromat napoju mile łaskotał podniebienie. Generał uspokoił się i wrócił do fotografii. Odkąd wypłynęła sprawa Fukudy, przynosząc mu zaszczyt i stanowisko, postanowił nie wypuszczać jej z rąk. Związał z nią swoje nadzieje. Cóż z tego, że Crosby mobilizuje całą policję do

polowania na Fukudę, skoro Fukuda jest dlań właściwie tylko cieniem. A Kanadzawa go zna. Wprawdzie wszyscy agenci, którzy widzieli Fukudę na demonstracji, nie rozpoznali go na fotografii pochodzącej z czasu aresztowania Fukudy w Mandżurii, ale to nie ma znaczenia. Kanadzawa ma jeszcze odciski palców. A dla człowieka takiego jak Kanadzawa nie będzie przedstawiało zbytnej trudności odszukania lekarza o takich samych odciskach.

Kanadzawa uśmiechnął się ironicznie. Ten krzykacz Crosby uchwycił się dziś nazwiska Kosuke. Ale przecież Kosuke nie jest znów taki głupi, żeby ulec Crosby'emu. Co innego, jeśli spotka się z Kanadzawa.

Generał zacisnął zęby, usta wyciągnęły mu się w długą, wąską kreskę, zza której błyszcząły ostre, szerokie zęby. Przyjdzie chwila, w której można będzie przycisnąć tego Kosuke do ściany. Na razie jeszcze za wcześnie.

Kanadzawa był pewien, że w czołowej trójce poszukujących Fukudę ma największe szansę powodzenia Poczciwy Riusi dwoi się i troi, ale szuka na ślepo. To samo robi wściekając się Crosby, Tylko on, Kanadzawa, wie coś niecoś o Fukudzie, tylko on mógłby go w razie czego zidentyfikować.

Dla Kanadzawy zniknięcie agenta, który śledził Kosuke, i twierdził, że ten dopomógł Fukudzie w ucieczce, było ciężkim ciosem. Agent nie podał wówczas w komisariacie, kto oprócz Kosuko i doktora zna Fukudę. Doktora już nie ma. Jedyny uchwytyny ślad prowadzi przez szofera Kosuke. Ale ten nie będzie gadał chyba, że zaskoczy się go poważnymi dowodami. Zresztą nawet w to Kanadzawa specjalnie nie wierzył. Zbyt dobrze znał z doświadczenia komunistów, by przypuszczać, że któryś z nich tak łatwo się załamie. Zwłaszcza ktoś taki jak Kosuke, o którym zebrał już dość dużo informacji.

Generał złożył starannie papiery i ukrył je pod poduszką.

Napalił fajkę i głośno zaklaskał w dłonie. W drzwiach zjawił się stary, kornie schylony sługa,

- Czy przyszedł ktoś do mnie?
- Tak panie, jakiś człowiek.
- Wprowadź go.

Sługa znikł, by po chwili wrócić w towarzystwie wysokiego mężczyzny o twarzy pokrytej śladami ospy.

Generał wskazał gościowi miejsce przy stoliku.

- Siadaj, Nakawa.

Gość zbliżył się, kłaniając się raz po raz. Generał znów zaklaskał. Bez słowa wskazał słudze czajnik. Lokaj od razu wyniósł stół i wrócił za parę chwil z nowym, na którym stał dymiący imbryczek i para filiżanek. Generał poczekał, aż sługa napełni filiżanki i oddali się.

- Mam dla ciebie ważną i korzystną robotę, Nakawa - oświadczył generał, gdy wypili herbatę. - Zapal fajkę - przysunął gościowi przybory.

- Dziękuję, panie - gość zaciągnął się dymem. - Jaka to robota? - obnażył w przymilnym uśmiechu spróchniałe zęby.:

- Bardzo ważna i bardzo korzystna - i jakby dla podkreślenia wagi swoich słów wyciągnął zza mankietu kimona kilka banknotów.

Nakawa wziął pieniądze, obejrzał je uważnie, przeliczył i schował za pazuchę.

- Widzę, że robota rzeczywiście ważna - mruknął.

- Co mówisz? - spytał uprzejmie generał, udając, że nie dosłyszał.

- Mówię, panie, że dla ciebie uczynię wszystko, bylebyś był zadowolony.

- 1 hojny. Prawda? - wtrącił Kanadzawa.

- 1 hojny, panie. Wiesz przecież, jak źle mi się powodzi. Generał syknął niecierpliwie.

- Nie po to cię wzywałem, by wysłuchiwać twoich utyskiwań.

Nakawa odłożył fajkę.

- Jestem gotów, panie, spełnić każdy twój rozkaz.

- Ilu masz w tej chwili ludzi?

- Siedmiu, panie.

- To za mało - zmarszczył się Kanadzawa - ale trudne. Poślesz każdego do innego miasta. Do Osaki, do Kioto i do Kobe. Każesz im zbierać informacje o wszystkich lekarzach, którzy są w tych miastach i ukończyli uniwersytet w Kioto. Rozumiesz? Tylko w Kioto. Potem muszą oni zdobyć odciski palców tych lekarzy. Rozumiesz?

- Panie - Nakawa schwycił się za głowę - to przecież ogromna robota. Nie damy rady.

- Powiedziałem ci, że robota jest ważna, ale i korzystna. Masz tu jeszcze trochę pieniędzy dla swoich ludzi na wyjazd. Żeby im niczego nie brakowało. Daję wam na to wszystko trzy tygodnie czasu.

- Panie - jęknął Nakawa - jak sobie damy radę. Przecież zdobyć odciski tylu ludzi... I jak to zrobić?

- To mnie nie obchodzi. Płacę ci za to, żebyś nie tylko wykonywał rozkazy, ale i myślał. Pamiętaj - trzy tygodnie i ani dnia dłużej. Sam rozumiesz, że do każdego odcisku musi być dołączony dokładny adres i nazwisko.

Nakawa chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wyraz twarzy Kanadzawy mówił, że rozmowa jest skończona. Więc wstał i kłaniając się cofał do drzwi.

- Pamiętaj. Trzy tygodnie - rzucił za nim generał.

Oparł się znów wygodnie na stercie poduszek. Nie był pewien, czy przedsięwzięcie zlecone Nakawie przyniesie jakieś rezultaty. Gdyby nie, to też niczym nie ryzykował. W ciągu tych trzech tygodni nie zaniedba innych sposobów

poszukiwania Fukudy. Niektóre już podjął. A trzy tygodnie to wcale nie tak dużo. Crosby nic w ciągu tego czasu nie zdoła zrobić. A gdyby... generał uśmiechnął się do swojej myśli. Gdyby Crosby trafił na ślad, to mu potrafi sprzątnąć Fukudę sprzed nosa. Fukuda to przecie stawka generała Kanadzawy.

IX

Plan Fukudy

Na biurku tykał zegarek. Raz-dwa, wolno i miarowo. Fukuda spoglądał od czasu do czasu na jego wskazówki i marszczył gniewnie brwi. Potem znów zagłębiał się w lekturę rozłożonych na biurku książek. Powoli, z trudem odczytywał nieznanym literom, sylabizował słowa, nerwowo przygryzając wargi. Szło mu ciężko. Chwilami wydawało mu się, że nigdy nie zdoła przeczytać jakiegoś słowa, ale wówczas przychodziło na myśl, że przecież obiecał przeczytać całą zadaną lekcję aż do końca.

Uśmiechnął się nagle radośnie, po dziecinnemu i oparł podbródek o pięść. Doprawdy dziwne jest to życie. Dziwne i chwilami niezrozumiałe. Pomyśleć tylko, on, doktor Takeo Fukuda, człowiek poszukiwany przez policję i władze amerykańskie, człowiek, na którego głowę rzucają przekleństwa możni tego świata, siedzi sobie w mieszkaniu na czwartym piętrze, prawie w śródmieściu Tokio i jak mały chłopiec sylabizuje z elementarza.

Zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Gniewnym ruchem odtrącił książkę. Nie, to doprawdy nie ma sensu. Przebieg w myślach ostatnie dziesięć dni. Przez cały czas siedzi tu, w tym mieszkaniu jak więzień. Sekretarz zabronił mu wychodzić z domu. Wszystko, nawet nożyki do golenia przynosi mu Tanima.

Ostatnim razem, kiedy widzieli się z sekretarzem, ten obiecał, że skoro tylko stwierdzi, że Fukudzie nie grozi niebezpieczeństwo rozpoznania przez kogoś z policji, będzie mógł wychodzić na miasto w godzinach wieczornych. Ale

sekretarz zapomniał o swoim przyrzeczeniu. Od siedmiu dni nie daje znaku życia.

Fukuda pytał Tanimy, ale ta odpowiadała niezmiennie, że sekretarz nic dla niego nie przekazał oprócz pozdrowień. Potrzebne mu są pozdrowienia. Ma tak ważne zadanie do spełnienia. Tam w Kobe czeka nań laboratorium. Tęsknił do brzęku szklanych naczyń, do specyficznego laboratoryjnego zapachu. Nawet do nieodzownej przy pracy maski. Całymi dniami sporządzał wykresy, liczył, notował. Zdawało mu się, że teraz jest już na dobrej drodze, że wystarczy tylko kilka tygodni prób i doświadczeń praktycznych, i surowica, o której marzył od dzieciństwa, lepsza i skuteczniejsza od sporządzonej podczas wojny, stanie się jawą, a nie marzeniem.

Potem wracał myślami do Otomury. Widział ponurą ocienianą okularami w czarnej oprawie twarz człowieka, pochylonego nad rzędami probówek i mikroskopów. Widział, jak na szkiełkach pod okulem mikroskopu poruszają się śmiercionośne, zachłanne bakterie. I robiło mu się zimno, że może Otomura już znowu napełnia swoimi bakteriami, oznaczonymi kolejnym numerem, porcelanowe bomby, że wstrzykuje chorobę pchłom, że skrzynie ze śmiercią w hermetycznych naczyniach mnożą się w tajnych magazynach, strzeżonych przez amerykańskich żołnierzy.

Budził się po nocach i obmyślał tysiące planów wywieżenia się, gdzie mieści się ukryte laboratorium, w którym Amerykanie zatrudniają Otomurę.

Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Tak Kiedy przyjdzie Tanima, powie jej, że to wszystko nie ma sensu. Nikt mu nic nie robi. Nikt go nie pozna, skoro nie poznał go Otomura. Musi zacząć działać. Sekretarz widocznie zbagatelizował jego opowiadanie. Może mu nie uwierzył i dlatego nie daje teraz znaku życia. A on, Fukuda, jest

przekonany, że Amerykanie prowadzą doświadczenia z bakteriami i musi te zbrodnicze plany unicestwić. Już raz w życiu przeżył tragedię bezsilnego buntownika, który widzi zbrodnię, a nie może jej zaradzić. Teraz nie czuje się bezsilny. Jeżeli sekretarz mu nie chce pomóc, zwróci się do innych towarzyszy. Niech tylko przyjdzie Tanima, a powie jej wszystko.

To postanowienie uspokoiło trochę jego wzburzone nerwy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Tanima była zazwyczaj punktualna. Obiecała solennie, że wróci na szóstą i będzie mu czytała i tłumaczyła ten radziecki podręcznik bakteriologii. A tu już zaraz dziewiąta.

Może jej się coś stało? Myśl ta ukłuła go boleśnie w serce. Już chyba czwarty raz złapał się na tym, że niepokoi się o tę dziewczynę. Dziwna rzecz. Jakoś dotąd kobiety nie odgrywały roli w jego życiu. W latach studenckich traktował je jak koleżanki, w partyzantce jak towarzyszki broni. A teraz, o Tanimie, myślał jakoś inaczej, cieplej, jak o kobiecie.

Usiadł i wziął do ręki elementarz. Zaczął sylabizować, ale po chwili zamilkł. Przymknął oczy. Wydało mu się, że słyszy głos dziewczyny, czytającej mu obce, niezrozumiałe słowa. Nie rozróżniał jeszcze nawet dźwięków. Słyszał tylko melodyjny głos Tanimy. Otworzył oczy. Złudzenie prysło. Ale teraz nie mógł już odepchnąć marzeń o dziewczynie. Właściwie nie znał jej nawet. Ani ona jego. Widywali się tylko wieczorami. Tanima wychodziła wcześniej i Fukuda, budząc się, znajdował na stole karteczkę z zawiadomieniem, kiedy wróci na obiad. Podczas obiadu Tanima opowiadała mu, jak idą przygotowania do egzaminów, Fukuda zaś tłumaczył jej niektóre bardziej zawiłe zagadnienia medyczne albo podawał źródła, zapamiętane jeszcze z czasów studiów.

Trzeciego dnia pobytu Fukudy Tanimy zaproponowała mu, będzie go uczyła języka rosyjskiego. Z zapałem zgodził się na propozycję. Początkowo oznaczała ona przecież zajęcie na kilka godzin dziennie, kiedy siedział w domu sam. Zresztą od dawna pragnął nauczyć się języka ludzi, którzy wskazał światu drogę do szczęścia i wolności, języka ludzi, których drogą od kilku lat i on kroczył. Od trzech dni dołączył się do tego jeszcze jeden powód. Czekał niecierpliwie wieczornego powrotu Tanimy, aby nareszcie usłyszeć jej głos, ciepły i niski, ujrzeć jej twarz, o wysokim czole i jakby wilgotnych oczach, twarz zdawałby się rzeźbioną w kości słoniowej. Tęsknił do jej uśmiechu strofowań, których mu nie skąpiła, gdy tylko na nie zasłuży.

Znowu zerknął na zegarek. Co się mogło stać. Czyżby coś złego? Nieobecność Tanimy ciążyła mu. Wyobraził sobie, co by to było, gdyby tak wyszedł na Jej spotkanie. Na pewno gniewałaby się na niego. Ale ciekawe czy sprawiłoby to jej przyjemność?

Rozmyślenia przerwał mu hałas u drzwi. Zerwał się. Poczł nagle, że wszystkie troski ustępują w nim miejsca radości. Tanimy przywitała go od progu.

- Ojej, towarzyszu Takeo - mówiła mu po imieniu, nie znając jego nazwiska - bardzo was przepraszam za spóźnienie. Ale to przez was. Mam dla was wspaniałe wiadomości.

- A ja już byłem niespokojny - westchnął z ulgą Fukuda, nie zwracając uwagi na jej słowa.

Dziewczyna spojrzała nań zdziwiona i twarz jej rozjaśnił uśmiech.

- Wiesz, Takeo - przeszła nieoczekiwanie na ty i od razu zaczerwieniła się. - Przepraszam, towarzyszu...

Fukuda wziął ją za rękę.

- Mów mi ty - powiedział cicho. - Jesteśmy przecież kolegami po fachu. A poza tym jesteś skazana na moje towarzystwo. Więc po co to oficjalne...

- Dobrze - przerwała mu Tanima. - Ale teraz zapomniałam, co ci chcę powiedzieć. Głupstwo. Widocznie nic ważnego. Chodź, siadaj. Mam dla ciebie bardzo ciekawe wiadomości.

- Nareszcie! - Fukuda zerwał się z krzesła. - Jakie?

- Przede wszystkim to, że dziś wieczorem pójdziesz na spotkanie z sekretarzem. On sam nie chce tu przyjść, bo obawia się, że mogą go śledzić. Rozumiesz? Mówił mi, że Kosuke jest pod obserwacją. Dlatego tu do nas nie przychodził. A sekretarz mówi, że jego też mogą pilnować i woli spotkać się z tobą w pewnym miejscu. Ja mam ciebie przyprowadzić. Na godzinę wpół do jedenastej.

Fukuda spojrzął na zegarek. Tanima roześmiała się.

- Poczekaj. Mamy jeszcze przeszło godzinę czasu. Teraz zjemy kolację.

- Herbata już przygotowana - oświadczył Fukuda z dumą..

- Pomyśl tylko, jak się czasy zmieniają - śmiała się Tanima nakrywając do stołu. - Japoński mężczyzna pomaga kobiecie w gospodarowaniu... Wiesz - zmieniła nagle temat - byłam dziś u jednej z naszych towarzyszek. Skarżyła się na męża. To wprawdzie też członek partii, ale wiele mu jeszcze trzeba wytłumaczyć. Wciąż się nie chce zgodzić, że żona jest takim samym człowiekiem jak on. Kiedy mu to powiedziałam, zerwał się i chciał mnie bić. Przybrałam postawę obronną i powiedziałam „No, spróbujcie towarzyszu Jeosi, jak smakuja cięgi z rąk kobiety”. Widocznie opamiętał się, bo od razu wyszedł z domu. Tak to jest - westchnęła. - Rewolucja z nieba nie spada. Trzeba najpierw przeorać dusze ludzkie, a wtedy ona w nich sama zakwitnie.

Spojrzała na Fukudę. Siedział cicho, patrząc na nią uważnie.

- O czym myślisz, Takeo?

- O czym? Bo ja wiem. O wielu rzeczach. Na przykład teraz zrobiło mi się żal, że dziś nie będziemy mieli lekcji. Lubię słuchać, kiedy czytasz.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Fukuda chwilę milczał, potem nagle zapytał:

- Powiedz Tanima, chciałabyś mi pomagać w mojej pracy?

- Jakiej?

Fukuda nie wiadomo dlaczego zaczerwienił się.

- No, w moich... badaniach Wiesz - ożywił się - strasznie trudno przeprowadzać doświadczenia samemu. A ja już mam wszystko w głowie. Trzeba teraz tylko praktycznie sprawdzić: wyliczenia i tezy, a do tego przydałaby mi się pomoc.

- Mówisz to poważnie?

Tanima zadając to pytanie wstała. Oczy jej błyszczały radośnie. Policzki zaróżowiły się. W całej postaci czuło się oczekiwanie na upragnioną odpowiedź.

- Tak - Fukuda mówił cicho i wyraźnie. - Zupełnie poważnie. Zresztą... to by ci się przydało jako praktyczne uzupełnienie studiów. Skoro tylko skończymy nasze poszukiwania, wrócę od razu do badań nad surowicą przeciwdżumową. Prowadzilibyśmy je razem...

Tanima podeszła doń i wyciągnęła ku niemu rękę. Fukuda chwycił ją gwałtownie i mocno uścisnął. Od razu jednak zreflektował się, że może sprawił dziewczynie ból, i puścił jej rękę.

- Od tej chwili - powiedział poważnie - jesteśmy współpracownikami.

- I przyjaciółmi - dodała Tanima.

Milczenie, jakie zapadło po tych słowach, ciążyło obojgu. W powietrzu wisiało coś niedopowiedzianego, ale ani on, ani ona nie czuli się na siłach mówić więcej o tych sprawach.

Pierwsza otrząsnęła się z odrętwienia Tanima. Szybkimi ruchami rąk nakryła stół, postawiła herbatę i placek.

- Kolacja na stole, doktorze - roześmiała się dźwięcznie. - Musimy się spieszyć.

Fukuda usiadł bez słowa i zaczął jeść.

- Wiesz - mówiła z ożywieniem dziewczyna - sekretarz był naprawdę w dobrym humorze. Musiał się czegoś ciekawego dowiedzieć w waszej sprawie. Zapowiedział, że od jutra wszystko ruszy z miejsca.

Fukuda jadł bez apetytu. Słuchał słów dziewczyny i nie rozumiał ich. Myślał teraz tylko o tym, że trzeba jak najprędzej znaleźć amerykańskie laboratoria i potem wrócić do siebie, do swojej pracy.

Dziewczyna musiała zauważyć roztargnienie towarzysza, bo nagle przestała mówić. W milczeniu dopiła herbatę i sprzątnęła ze stołu.

- No - powiedziała - jestem gotowa. Możemy iść.

Sekretarz czekał na Fukudę w herbaciarni, położonej w śródmieściu. Wybrał ją jako miejsce spotkania z różnych przyczyn. Herbaciarnia była rozległa i miała kilka wyjść. Zapewniało to możliwość zmylenia ewentualnych prześladowców. Zresztą sekretarz zanim dotarł do herbaciarni kluczył przeszło godzinę po mieście. Nie był wprowadzany w wątpliwość, czy go śledzą, ale uważał, że w pewnych wypadkach nadmiar ostrożności nie zawadzi. Fakt, że Kosuke jest śledzony, upewnił go, że policja nie rezygnuje z zamiaru ujęcia Fukudy. Mówił mu także o tym, że policja nie ma dotąd żadnego śladu zbiegłego aresztanta. Wolał jednak zachować ostrożność i dopóki poufne wiadomości uzyskane od swoich

ludzi nie przekonali go, iż policja nie ma pojęcia, jak Fukuda wygląda, zabronił doktorowi wychodzić na miasto. Z drugiej jednak strony nie miało sensu zwlekać. Sprawa wykryta przypadkowo przez Fukudę wymagała szybkiego wyjaśnienia i rozwiązania. Każdy dzień zwłoki był atutem w rękach policji i władz amerykańskich. Robili przecież wszystko, by schwytać Fukudę, a skoro im się to nie udawało, mogli ukryć gdzieś swoje laboratoria, zataić je jeszcze bardziej, tak, by uniemożliwić ich odnalezienie.

Niepokoił go jedynie los doktora, u którego ukryto w pierwszym dniu Fukudę. Mimo usilnego starania, nie miał dotąd od niego żadnych wiadomości. Był wprawdzie przekonany, że stary towarzysz nie załamał się podczas badania, ale obawa o jego zdrowie nie dawała mu spokoju. Dobrze, że Kosuke się wywinął. Ten chłopak #o zuch i mądra głowa. Następnego dnia po tamtej nocy poprosił sekretarza o wysłanie do Osaka, tłumacząc, że na wszelki wypadek trzeba sobie zabezpieczyć alibi. Pojechali razem. Kosuke miał wtedy rację. Wprawdzie jego, sekretarza, nikt nie inwigilował, ale szofera, zatrzymanego pod pretekstem naruszenia przepisów drogowych, badano dość dokładnie. I przede wszystkim interesowano się tym, co robił i gdzie był owego dnia. Ten łajdak, prowokator, musiał sypnąć szofera, ale widocznie nie powiedział zbyt wiele i policja nie wiedziała teraz, jak postępować.

Najbardziej jednak obawiał się sekretarz Kanadzawy. Wiedział już, że stary żandarm uzyskał nominację, i przeczuwał, że poważną rolę odegrała tu sprawa Fukudy. Kanadzawa to był najgroźniejszy przeciwnik, doświadczony, zaciekły wróg, który działa po cichu, bez rozgłosu i nerwów, ale na pewniaka. Sekretarz orientował się w poczynaniach policji i Amerykanów, nie wiedział jednak, co przygotowuje

Kanadzawa. Niemniej jednak był przekonany, że Kanadzawa nie zadowala się akcją ogólną, ale podejmuje coś na własną rękę, stara się coś zrobić w swoim zakresie.

W ciągu ostatnich kilku dni sekretarz zdobył kilka cennych informacji. Najważniejsza z nich była ta, że policja dotąd nie ma rysopisu Fukudy. Oznaczało to, że doktor może się na ogół spokojnie poruszać po mieście, zwłaszcza w godzinach wieczornych. Skoro, zgodnie z jego opowiadaniem, nawet Otomura go nie poznał, szansę zidentyfikowania były minimalne.

Wszystko to jednak nie rozwiązywało sytuacji. Wykrycie amerykańskiego ośrodka doświadczeń bakteriologicznych (o ile taki istniał) nie było przedsięwzięciem łatwym. Jedyny uchwytny ślad prowadził przez Otomurę do strzeżonego przez żołnierzy amerykańskich domu w Kobe. Ale to mógł być równie dobrze fałszywy ślad. Otomura mógł tam po prostu pracować jako bakteriolog, zakontraktowany przez Amerykanów. Sekretarz głowił się nad planem podjęcia jakiejś akcji... nie mógł na razie niczego wymyślić.

A zaniedbać sprawy nie wolno. Z dreszczem myślał o tym, że może gdzieś tu, niedaleko, chimeryczne projekty marzycieli o zniszczeniu świata przeradzają się w jawę. Pod wpływem opowiadania Fukudy ponownie przestudiował materiały procesu chabarowskiego. Groza ujawnionych tam faktów i zbrodni spotęgowana teraz była opowiadaniem żywego świadka. Wtedy zbrodnicze plany sparaliżowało natarcie Armii Radzieckiej, to ona uratowała świat przed potwornymi epidemiami. Ale teraz wróg jest stokroć groźniejszy, bo wyraźniej widzi przed sobą przepaść, w jaką musi się stoczyć. Amerykańscy generałowie dowiedli, że nie cofają się przed żadną zbrodnią, wówczas gdy chodzi o zastraszenie świata. Czyż cofną się przed zbrodnią nową, jeśli wyda im się, że może ona uchronić ich przed zagładą? Niewątpliwie będą się bali

użycia bakterii jako napędzi? wojny, tak samo, jak będą się bali użycia bomby atomowej. Ale strach ich nie wystarczy. Trzeba ich zdemaskować, trzeba pokazać światu zbrodniarzy, zedrzyć z nich maskę, ukazać ich szaleńczą krwiożerczość, wzbudzić gniew w milionach ludzi, mobilizować ich do walki przeciw szaleńczym planom. A do tego trzeba mieć w ręku poważne dowody, odnaleźć wylęgarnię śmierci i wskazać ją. Tylko jak tego dopiąć, jak ją wyszukać?

Wszystkie te myśli dręczyły sekretarza od chwili, gdy usłyszał opowiadanie Fukudy. Nie dawały mu one spokoju i teraz, gdy siedząc w herbaciarni czekał niecierpliwie na Tanimę i Fukudę. Jeszcze dziś muszą coś postanowić.

Ktoś trącił go lekko w ramię. Sekretarz obejrzał się. Za nim stała Tanima, a obok niej uśmiechnięty Fukuda. Sekretarz rozejrzał się po sali. Był to boczny pokój herbaciarni, mało odwiedzany. Przy jednym stoliczku siedziało na macie kilku zawzięcie spierających się o jakieś ceny. Sekretarz dał znak Fukudzie i ten usiadł obok niego. Tanimie powiedział kilka słów. Dziewczyna wyszła.

- No jak się czujecie? - zapytał.

- Dobrze. Nawet już zapomniałem, że coś się stało - uśmiechnął się Fukuda. - To jedyny ślad - dotknął palcem czoła, na którym różowiła się świeża blizna po wypadku samochodowym.

Sekretarz przyjrzał mu się uważnie.

- Dużo myślałem o naszej sprawie - powiedział cicho. - Bardzo dużo. Nie daje mi ona spokoju. Myślę o niej bez ustanku. Rozważyłem kilka kombinacji i - rozłożył bezradnie ręce - nic nie wymyśliłem. Nie wiem, powiem wam szczerze, jak się do tego zabrać. Naradzałem się z bardziej doświadczonymi towarzyszami. Wszyscy zgadzamy się, że to przeklęte laboratorium trzeba znaleźć, że musimy zdema-

skować plany amerykańskie, że musimy pokazać światu tych, co weszli na drogę mordercy Isii. Tylko jak to zrobić.

- Ja też o tym myślałem - odparł Fukuda. - Bo wiecie, zanim nie zacząłem z wami mówić, nie zastanawiałem się, jak dotrzeć do jądra tajemnicy. Nie przyszło mi do głowy, że to jest diabelnie trudna sprawa. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Otomurę zrodziło się we mnie pragnienie - zabić go. Potem śmiałem się z tych głupich mrzonek. Zabiłbym Otomurę i co? Na jego miejsce przyszliby inni bandyci. Potem chciałem o wszystkim napisać. Ale to też byłoby strzelaniem kulą w płot. Żeby napisać, żeby ludzie uwierzyli, trzeba znać fakty. Ludzie oduczuli się już wierzyć słowom. Wierzą jedynie faktom. Zbyt długo oszukiwano ich słowami.

- I wymyśliliście coś?

- Tak, mam plan. Trudny do wykonania, ale bodaj że jedyny, który doprowadzi nas do celu.

- Co chciałbyś zrobić?

- Muszę się dostać do tego amerykańskiego laboratorium.

Sekretarz aż gwizdnął z przejęcia. Wszystkiego oczekiwał tylko nie tego. Prawdę mówiąc sam o tym myślał. W rozmowie z towarzyszami wysunął koncepcję, że ktoś musi w jakiś sposób dostać się do pracy w tym laboratorium. To była rzeczywiście jedyna droga do zdobycia faktów. Nigdy jednak nie myślał, że tym kimś może być Fukuda. Czyż wiadomo, kto w tym laboratorium pracuje? Z pewnością prócz Otomury są tam jeszcze inni oficerowie z jednostki 731, którzy spotykali Fukudę. Nikt bardziej od doktora nie byłby narażony na zdemaskowanie.

Ochłonął z wrażenia i położył rękę na kolanie towarzysza.

- To niemożliwe, Takeo - powiedział przyjaźnie. W głosie jego dźwięczały nuty nie tajonej sympatii. - Jesteś ostatnim człowiekiem, który mógłby coś podobnego zrobić.

- Nic podobnego - zaperzył się Fukuda. - Właśnie, że ja mogę i powinienem to zrobić.

- Nie gorączkuj się. Zrozum sam, że to absurd. Czy wiesz, kto pracuje w amerykańskim laboratorium?

- Tak, Otomura.

- A prócz niego?

- Nie wiem.

- O to wialnie chodzi. Ilu takich jak Otomura, byłych oficerów jednostki 731, może tam pracować. Pomyśl tylko - ilu ludzi mogłoby cię poznać w każdej chwili!

- Przesada - Fukuda zamachał rękami. - Mówiłem już wam, że Otomura mnie nie poznał, a przecież spotykałem się z nim bardzo często, Przez kilka miesięcy nawet codziennie. Zmieniłem się tak bardzo, że nikt nie pozna we mnie dawnego Fukudy.

- Tak ci się tylko wydaje. Opierasz swe przypuszczenia na tym, że jeden człowiek ciebie nie poznał. Nie wolno ci jednak sądzić że ze wszystkimi będzie to samo.

Fukuda niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Zaczniemy zatem od czego innego. Dowiadywaliście się, czy policja jest na moim tropie?

- Nie.

- A dlaczego nie? Co oni o mnie wiedzą?

- Właściwie nic. Dowiedziałem się, że nie mają nawet twego rysopisu.

- Aha, widzicie - zawołał podniecony Fukuda. - A więc miałem rację. Nikt nie wie, jak wygląda Fukuda...

- Wszystko to pięknie, Takeo - przerwał mu sekretarz - ale pomyśl teraz o czym innym. Czy wiesz, co oznacza poznanie ciebie przez kogoś w laboratorium? Czy rozumiesz, człowieku, na co się narażasz?

Fukuda popatrzył na sekretarza ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem was. Co to ma za znaczenie. Małoż to naszych towarzyszy narażało się wówczas, gdy wszystkie siły cesarstwa przysięgły się przeciw partii. Małoż to naraża się dziś na najgorsze szykany i prześladowania? A wy sami myśleliście o sobie, konspirując podczas wojny? Czy to może zamiast o sobie, myśleliście o sprawie? Sekretarz uśmiechnął się.

- Masz rację, Takeo. Ale ja też mam rację. Zastanów się. Jesteś jedynym człowiekiem, który zna nić prowadzącą do laboratorium - Otomurę...

- Dałem wam jego adres. Nie tak trudno go będzie odszukać - przerwał mu Fukuda.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Daj mi skończyć.

Fukuda ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ścianę, jakby dając towarzyszowi w ten sposób do zrozumienia, że wszystkie te wywody będą wprawdzie wysłuchane, ale trafią próżnię.

- Nie mówię już o „tym, że gdyby cię złapano, nie wyostałbyś się więcej z rąk tych siepaczy. Byłbyś dla nich zbyt niebezpieczny. Chodzi mi jednak o sprawę bardziej istotną i ważną. Gdyby cię ujęto, wystraszyliby się i moglibyśmy stracić wszelki ślad tego laboratorium. Przecież oni niczego tak bardzo się nie boją, jak właśnie zdemaskowania całej bandyckiej intrygi. To raz. A po drugie - mówiłeś, że pracujesz nad surowicą przeciw dżumie. Czy nie chcesz zakończyć pomyślnie tych poszukiwań?

- Chcę, ale to też nie ma nic do rzeczy - gorączkowo wtrącił Fukuda. - To są moje prywatne sprawy.

- Prywatne? - zdumiał się sekretarz. - A ja myślałem, że jesteś komunistą.

Fukuda zachnął się, jakby go ktoś zniecka uderzył.

- Tak, tak - ciągnął niewzruszenie sekretarz. - Komunista nie powiedziała by „to są moje prywatne sprawy” na poważne odkrycie naukowe, które może przynieść ogromną korzyść społeczeństwu.

- Masz rację - Fukuda opuścił głowę, zawstydzony. - To mi się tak jakoś wyrwało...

- Rozmawiałem o twojej pracy z towarzyszami. Zastanawialiśmy się nad możliwościami urządzenia laboratorium, w którym mógłbyś zakończyć pomyślnie badania... Skoro jednak uważasz to za prywatną sprawę...

- Towarzyszu sekretarzu - przerwał mu Fukuda gorączkowym szeptem. - Zrozumcie, że nie myślałem przecież tego, co powiedziałem. Doprawdy głowa mi już zaczyna pękać od tego wszystkiego. Przecież ja nie dla siebie szukam tej surowicy, która unieszkodliwiłaby wszystkie bakterie Otomury, wszystkie, nawet te najbardziej odporne i złośliwe.

Sekretarz uśmiechnął się. Jego twarz przybrała znów młodzieńczy wyraz. Poklepał Fukudę po rękę.

- Wiem. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę. A to laboratorium to wcale nie przesada.

- Dziękuję wam, ale teraz trzeba skończyć z tamtą historią. Muszę się dostać do laboratorium Amerykanów. Zwłaszcza że mam pewne możliwości.

- A co z surowicą?

- Zostawię u Tanimy wszystkie notatki. Gdyby coś się ze mną miało wydarzyć, znajdziecie na pewno bakteriologa, który korzystając z moich zapisków rozwiąże praktycznie doświadczenia.

- Mówisz to poważnie?

Oczy sekretarza zwęziły się teraz jak szparki.

- Najzupełniej. Przemyślałem oprawę w samotności. To jest jedyny sposób.

Sekretarz nic nie odpowiedział. Przymknął oczy i siedział cicho, jakby zasnął. Czoło przecięły mu trzy pionowe zmarszczki. Palce bezwiednie błędziły po stole. Wreszcie otworzył oczy i popatrzył na Fukudę. Spojrzenie miał kupione.

- Dobrze. Zgoda.

Fukuda chwycił go za rękę i potrząsając nią wołał:

- Dziękuję, dziękuję. Zobaczycie, że wszystko nam się uda,

Sekretarz odpowiedział mu uśmiechem, ale od razu spoważniał.

- Pozostaje do uzgodnienia dalszy plan działania. Mówiłeś, że masz możliwości dostania się do laboratorium.

- A tak. Strzeliło mi to nagle do głowy. Przecież ten Rooge, o którym mówiliście, że jest w amerykańskim kontrwywiadzie, sam mi proponował posadę.

- Racja - ucieszył się sekretarz. - Ale - nachmurzył się - to jest znów niebezpieczne. Musiałbyś iść do Amerykanów.

- No, nie przesadzajmy. W tym nie ma już żadnego niebezpieczeństwa. Przecież oni na pewno mnie nie znają.

- Dobrze. Działaj. A my będziemy ciebie ochraniać. Nasi towarzysze będą wciąż obok. Tylko pamiętaj, nie ryzykuj tam, gdzie to nie jest potrzebne. No - wstał - czas się pożegnać. Do zobaczenia, Takeo. Umawiamy się w tej herbaciarni. Będę tu na ciebie czekał codziennie. A w razie czego, gdybyś miał coś ważnego do powiedzenia, powiedz to Tanimie. Ona mi wszystko powtórzy. - Zaśmiał się. - To bardzo miła dziewczyna.

Fukuda poczuł, że się czerwieni. Zmieszany odwrócił twarz i wybąkał:

- Bardzo... miła.

X

Bakteria ma ludzką twarz

- Doktorze Maoto, pożywka już przygotowana.

Głos asystenta wyrwał z zamyślenia krępego mężczyznę w białym fartuchu, pochylonego nad jakąś książką, rozłożoną na stole. Mężczyzna wyprostował się i zwrócił w stronę drzwi pośepną twarz, przeciętą wąską linijką mocno uczernionych wąsów. Zza szkieł w grubej, czarnej rogowej oprawie błysnęły oczy wodniste, rybie. Spojrzenie miał zimne i świdrujące, czego nawet nie mogły ukryć okulary.

- Już idę - odparł, spoglądając na zegarek.

Wyszedł z gabinetu na długi korytarz, w którym co kilka metrów bieliły się drzwi. Przymocowane do nich tabliczki głośiły w języku angielskim i japońskim, że wstęp dozwolony jest jedynie zatrudnionym w tym pokoju. Doktor Maoto szedł pośpiesznie. Zatrzymał się przed szerokimi, szerszymi od wszystkich drzwiami w korytarzu. Asystent otworzył je i z szacunkiem przepuścił doktora. Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

W pokoju, w którym się znaleźli, stały szafy wyładowane książkami. Na stołach leżały różne tablice i wykresy.

- Listów żadnych nie było? - spytał doktor Maoto.

- Proszę. Tylko ten jeden - asystent sięgnął po grubą brązową kopertę, leżącą na jednym ze stołów i podał go doktorowi.

Maoto rozłamał pieczęcie i zaczął czytać. Asystent, aby nie przeszkadzać, wyszedł do drugiego pokoju.

W miarę czytania na twarzy doktora rozlewał się uśmiech. Właściwie trudno było to nazwać uśmiechem, był to raczej

grymas, mający przypominać uśmiech. Wreszcie doktor skończył, złożył list i wraz z kopertą schował do kieszeni.

- Spiesz się - mrucał pod nosem, kierując się w stronę drzwi, na których mosiężna tabliczka głosiła „Laboratorium doktora Maoto. Wstęp wzbroniony”.

Wyciągnął klucz i otworzył skomplikowany zamek. W maleńkim przedpokoiku włożył maskę i wszedł do laboratorium. Na długich białych stołach, stały rzędy probówek. Pod zasłoniętym oknem na niskim biurku - trzy mikroskopy. Obok w ścianie okienko.

Maoto nacisnął guzik. Okienko odskoczyło.

- Próbkę proszę - zawołał doktor.

Usłużne ręce asystenta podały szkiełka. Doktor pochylił się nad mikroskopem.

Po kilku minutach oderwał oczy od okulara i rzucił do okienka:

- W porządku. Dbać o temperaturę. Znow nacisnął guzik. Okienko zamknęło się.

Maoto wstał. Wolnym krokiem obchodził teraz swoje królestwo. Zatrzymał się przed podstawką, w której tkwiło kilka probówek z przylepioną malutką karteczką „078”. Twarz doktora znow wykrzywił grymas, mający naśladować uśmiech.

Ujął w rękę jedną probówkę i spojrzął na nią pod światło. Na dnie zakołysała się mętna ciecz. Światło lampy fluoryzującej odbijało się w rozkołysanym płynie wszystkimi kolorami tęczy. Maoto patrzył na to w milczeniu i zachwycie. Mówiły o tym jego oczy. Rozszerzone źrenice błyszcząły zza grubych szkieł jak dwie lśniące kuleczki. Maoto jeszcze raz potrząsnął lekko probówką i odstawił ją na miejsce.

Oparł się łokciami o wysoki stół i przymknął oczy. O czym teraz myślał? O wielu rzeczach, sprawach i ludziach. Ale

przede wszystkim myślał o mętnej cieczy w probówce z numerem „078”. Był z siebie dumny. Miał do tego pełne prawo. Oto tu, przed sobą widział osiągnięty cel życia. Ileż lat mu poświęcił, ileż trudów...

Probówka z numerem „078”... Zanim do niej doszedł musiał przebrnąć przez 77 poprzedniczek. I każdą z nich po tygodniach, a często i miesiącach i latach trudów odrzucał. Każda z nich była przecież tylko szczeblem na drodze do tej, upragnionej, kryjącej się dziś za nic nie mówiącym numerem „078”.

Otworzył lodówkę z preparatami. Nieomylnym ruchem, nie patrząc, wyciągnął metalowe pudełeczko. Na lśniącej pokrywie czerwony tusz krzyczał - „078”. Ostrożnie założył jedno ze szkiełek pod mikroskop. Jedna krótka chwila - ł oto ujrzał przez okular dziwaczny świat. Oto ona - bakteria 078, twór jego pracy, rąk i umysłu. Oto ona nieubłagana i groźna, najwspanialsza bakteria dżumy, o jakiej nie śniła nawet natura. A on ją stworzył, udoskonalił, uodpornił. Jego bakteria będzie mogła przebywać przestrzenie międzyplanetarne, nie bojąc się nawet absolutnego zera. Nie będzie się obawiała nawet bardzo wysokich temperatur. Jego bakteria to wiecznie żywa śmierć.

Zachichotał cicho nad mikroskopem. Jacy śmieszni są ludzie z ich troskami, pragnieniami i wzruszeniami.

Głupcy! Przed potęgą jego bakterii musi ustąpić wszystko. Runie ona na głowy tysiący ludzi i będzie zabijała. Nieubłagana i nieuchwytna. Dżuma, która nie lęka się żadnej szczepionki, żadnego serum.

Ze stalowej skrytki przy biurku wyciągnął niewielkie porcelanowe naczynie. Miało kształt ostro zakończonego jajka. Drugi koniec był spłaszczony. Wprawnym ruchem

odkręcił spłaszczoną pokrywę. Ukazało się wydrażone wnętrze.

Doktor skrzywił twarz w uśmiechu. Biedny Isii - pomyślał. - Nie przypuszcza nawet, siedząc w więzieniu, zamknięty na długie lata, że mimo wszystko dzieło jego życia zostanie uwieńczone pomyślnym rezultatem. Ten mizerny kawałek porcelany to przecież jego bomba, bomba systemu Isii. Ileż nadziei było z nią związanych. Ileż to razy rozmawiali o potędze Japonii oglądając dziesiątki takich porcelanowych bomb naładowanych już śmiercią.

Potęga Japonii legła w gruzy, nie zdążywszy rozkwitnąć na śmiercionośnej sile tej bomby. Doktor zmarszczył czoło. Czyżby? A on? Czyż nie pracuje dla wskrzeszenia tej potęgi? Czyż nie posiada klucza do niej, zdobywszy bakterię 078?

Potęga Japonii będzie wskrzeszona. Kiedyś myślano, że światem będą rządzą Hirochito i Hitler. Te plany zostały pogrzebane na zawsze. Dzięki niemu, dzięki jego bakterii o władnie światem Ameryka, a u jej boku odrodzi się potęga cesarstwa. Ludzie, poważni politycy i wojskowi, kpili z niego, kiedy mówił, że wskrzesi chwałę samurajów, śmieszni, mali głupcy. Cóż oni wiedzą o potędze, skoro potęga zaklęta jest tu, w tych czterech Ścianach, w kasetkach i próbkach z numerem „078”.

Upłynie jeszcze trochę czasu i w historii świata zgłoskami pierwszej wielkości wpisane będzie jego imię, imię doktora Otomury, który wyzwolił śmierć.

Po to ukrywał się długie lata, by wrócić tu, czy gdziekolwiek, gdzieby mógł szukać swojej bakterii. Kiedy wysadzili w powietrze ogromną fabrykę bakterii w Pinfaniu, niewiele brakowało, by zapłakał. Z odległości kilkunastu kilometrów oglądał słupy dymu, ognia i ziemi, które opadając grzebały owoce wieloletnich wysiłków. Ale nie załamał się.

Wrócił do domu unosząc w hermetycznej ampułce kilka gramów pożywki, na której rosła jego ostatnia bakteria dżumy, bakteria 076. Przechowywał ją, pielęgnował przez kilka lat. A równocześnie szukał, szukał ludzi, którym mógłby zwierzyć swą tajemnicę, by zażądać od nich zwykłego laboratorium.

W kieszeni fartucha zachręściła koperta. Sięgnął po nią. Oto oni, ci ludzie. Spotkali się nieprzypadkowo. Musieli się zetknąć. Nie rozdzielił ich ani ocean, ani wojna, jaką ze sobą toczyli. Pragnienie władzy, myśl o stworzeniu siły kruszącej świat złączyła ich. I on, doktor Otomura, pracuje teraz dla nich i dla Japonii. Wrogowie stali się sprzymierzeńcami. Siła i rozum zjednoczyły się, by podbić świat. Siła - to Amerykanie, ich pieniądze, rozum - to on, Otomura, władca bakterii. Podbiją świat najstraszliwszą, najskuteczniejszą bronią - śmiercią.

Przymknął na chwilę oczy. Wydało mu się, że widzi tysiące ludzi uciekających przed siebie w nieprzytomnym strachu, a na ich głowy on, Otomura, zmuszony dziś jeszcze ukrywać się za parawanem nazwiska Maoto, sypie deszcz bakterii. Pękają porcelanowe jajka i z nich wyzwala się śmierć. A on jest jej panem.

Cichutko zabrzączał dzwonek sygnałowy. Otomura poruszył się i nacisnął guziczek, włączając tubę.

- Doktorze Maoto, telefonuje generał Smuthers - usłyszał głos asystenta. - Czy mam przełączyć telefon?

- Tak.

Otworzył górną szufladę i wyciągnął telefon.

- Halo, tu Maoto... Tak, tak generale... Otrzymałem... Co, pan też otrzymał... To dobrze. A więc zgodnie z umową możecie przystąpić do instalowania ciepłarek. Schemat urządzeń pan już ma... Co?... To świetnie. Rzeczywiście amerykańskie tempo.

Te znaczy, że za kilka dni rozpocznie się montowanie. Gdzie? Aha, tajemnica, no cóż, poczekam... Tylko ludzi, ludzi mi potrzeba... Co, Rooge? Dobrze, niech przysyła jak najwięcej. Ja przecież jestem już gotów do rozpoczęcia praktycznych doświadczeń... Owszem, do masowej produkcji... „078”. Ten numer to jakby talizman... Nie wierzy pan w talizmany? Niech pan przyjdzie do mnie, to pas uwierzy. W wiele rzeczy... Za tydzień?... Dobrze. Czekam na pana, Do widzenia.

Schował telefon do biurka. A więc już niedługo. Ci Amerykanie to sprytni ludzie i rzutcy. Nic dziwnego, że okazali się zwycięzcami. Urządzenia i instalacje są już w drodze.

Biedny Isii, gdyby nie to więzienie, zobaczyłby, jak teraz ruszy produkcja. Za rok zapas bomb bakteriologicznych będzie tak wielki, że można będzie zacząć działać. Świat pozna, co to znaczy śmierć, którą rzędzi Otomura.

Czytał ostatnio, że uczeni w Związku Radzieckim pracują nad udoskonaleniem surowic przeciw różnym chorobom epidemicznym, między innymi przeciw dżumie. Pogroził pięścią. Zobaczymy. Już raz ten kraj rozwiął jego marzenia. Drugi raz nie będzie tak łatwo. Kto z uczonych zna tak złośliwy i odporny szczep, jak jego bakteria 078? Nikt. 1 nikt nie zdoła jej zwyciężyć. Nikt nie zdąży nawet pisnąć, gdy bomby Otomury zniemacka zrzucone z amerykańskich samolotów zasypią świat bakcylem śmierci.

Ostrożnie zakręcił porcelanową pokrywkę. Zamknął skrytkę i otworzył okienko.

- Próba gotowa?
- Tak - odpowiedział mu asystent z sąsiedniej sali.
- Proszę o preparat „078”.

*

Profesor Heinrich Meisfeld zjawił się w stołowym punktualnie o dziewiątej piętnaście. Jak zwykle ubrany w ciemny garnitur, sztywny i elegancki, połyskując łysiną przeświecającą między rzadkimi, gładko przylizanymi siwymi włosami, przeszedł przez próg z sakramentalnym:

- Dzień dobry, Hildo. Dobrze spałaś?

Przy stole siedziała już oczekująca nań, równie sztywna i wytworna małżonka.

- Dzień dobry, Heinrich. A ty?

Od wielu lat niemal z nabożeństwem celebrowali tę chwilę porannego powitania. Należało to do uświęconych tradycji domowych i tylko choroba kogoś z małżonków lub wyjazd stawał na przeszkodzie. Siadali na przeciwległych krańcach długiego stołu i w milczeniu jedli. Dopiero po wypiciu kawy, kiedy profesor zapalał papierosa, zaczynała się rozmowa. Zresztą dość skąpa, bo pani Hilda nadawała pytania, a profesor studiując gazety odpowiadał półsłówkami.

Profesor kończył dopijać kawę. Pokojowa, jakby czekając na tę chwilę, podała mu gazety. Profesor zmienił okulary i zagłębił się w czytaniu.

- Listów żadnych nie ma? - westchnęła pani Hilda. Profesor nie dosłyszał. Dopiero po chwili uniósł twarz znad gazety i zapytał:

- Mówiłaś coś, Hildo?

- Tak, od Ernesta wciąż nie ma listu. Już dwa tygodnie.

Profesor spojrział na żonę znad okularów.

- Nie rozumiem, jak można w kółko mówić o tym samym.

- Przecież to nasz syn, Heini - jęknęła płaczącym głodem. - Muszę się o niego martwić. Mój Boże!

- Musiałabyś, moja droga, gdyby Ernestowi działo się coś złego...

- Mój Boże - wybuchnęła pani Hilda, przerywając mężowi - jesteś człowiekiem bez serca. Jak możesz tak mówić, skoro Ernest jest w więzieniu. Pomyśleć tylko - zaczęła chlipać - mój kochany Ernest w okropnym więzieniu.

- Nie przesadzaj duszko - profesor uśmiechnął się pobłaźliwie. - Więzienie wcale nie jest takie okropne. Amerykanie, moja droga, to są ludzie bardzo mili, a że trzymali Ernesta w więzieniu, to trudno. Musieli tak postępować...

- Trzymali - zdumiała się pani Hilda. - Nie rozumiem ciebie, Heini, czyżby Ernesta już... - chwyciła się za serce. - Powiedz mi prędzej. Czy oni go...

- Właśnie tak, droga Hildo. Ernest wyjdzie jeszcze w tym tygodniu. Otrzymałem wczoraj poufną wiadomość od jednego z moich amerykańskich przyjaciół. Otóż postanowiono zwolnić Ernesta i jeszcze kilku jego kolegów.

Pani Hilda zaniósła się płaczem. Zerwała się z krzesła i drobniutkimi kroczkami dobiegła do męża. Profesor z dobrotliwym uśmiechem pogłaskał ją po głowie.

- Widzisz. Zawsze ci mówiłem, że Amerykanie w końcu zrozumieją swój błąd w stosunku do Rzeszy. Cóż, jeszcze nie jest za późno. No, nie płacz już - powiedział nieco ostrzej. - Za parę dni Ernest będzie już z nami. A teraz daj mi przeczytać gazetę.

Pani Hilda wróciła na swoje miejsce. Zadzwoiła. Pokojowa sprzątnęła wszystko ze stołu.

- Przynieś mi włóczkę, Minno - powiedziała pani Hilda. Czas upływał, w milczeniu. Pani Hilda, chwilami popłakując ze szczęścia, szybkimi poruszeniami drutów zwiększała ilość oczek, z których miały urosnąć wełniane skarpety dla syna. Profesor czytał. Zza gazety widać było jedynie jego czoło. Zerkając na męża pani Hilda zauważyła, że w miarę czytania ilość zmarszczek na tym czole wzrasta. Widocznie wiadomości

nie były zbyt przyjemne. Bała się jednak zapytać. Heinrich bardzo nie lubił, gdy mu ktoś przerywał poranną lekturę prasy. A Heinrich w gniewie umiał być przykry, bardzo przykry.

W pewnej chwili profesor odłożył gazetę i spojrzał na żonę. Na twarzy jego malowało się oburzenie.

- Słyszane rzeczy! Coś podobnego! - syknął. - To już doprawdy przekracza granice rozsądku.

- Co się stało, Heini? Znow jakaś przykrość?

- Jakaś przykrość! Pytasz jeszcze. Przecież to oburzające na co sobie teraz robotnicy pozwalają. Jakby zupełnie zapomnieli o tym, że są Niemcami. To hańba, rozumiesz? Dziwię się tylko, że władze tolerują podobne wybryki. Zresztą cała wina spada na Amerykanów. To oni tak długo tolerowali różnych bolszewickich agitatorów, pozwalali otumaniać ludzi. A teraz proszę bardzo, oto rezultaty.

- Nic nie rozumiesz. O co ci chodzi? - westchnęła pani Hilda.

- Ty nigdy nic nie rozumiesz. Od tylu lat usiłuję ci wyjaśnić, co to jest polityka i jaka jest rola narodu niemieckiego, a ty wciąż powtarzasz „nic nie rozumiem” - przedrzeźniał ją.

Pani Hilda wołała przemilczeć. Widocznie przeczytana wiadomość musiała Heinricha bardzo wzburzyć.

- Posłuchaj tylko - zwrócił się profesor do żony. - W Essen robotnicy odmówili pójścia do pracy w jednej z fabryk, bo podobno ta fabryka produkuje jakieś materiały wojenne. To niesłychane! Oburzające! I to mają być Niemcy! - Profesor dygotał z gniewu. - Zamiast być wdzięczni Amerykanom, że już teraz pozwalają nam stanąć na nogi, że podają nam pomocną dłoń i pomagają zająć znow kierownicze stanowisko w Europie, ten skomunizowany motłoch ogłasza strajk, wypisuje

jakieś po-ko-jo-we odezwy - wycedził z przekąsem. Nie! Nawet ja tego nie rozumiem.

- Ludzie nie chcą wojny, Heini - wtrąciła pani Hilda, a widząc, że słowa jej potęgują gniew męża, szybko dodała. - Profesor Geissler mówi...

- Nie mów mi o tym człowieku - profesor zerwał się z krzesła i zatupał nogami. - Nie chcę słyszeć jego nazwiska. To wyrodek, który hańbi nasz naród i nasze miasto. To tacy właśnie jak on, mąciciele, przeszkadzają odrodzeniu Rzeszy i jej potęgi. Czy wiesz - wysyczał - że Geissler sprzedał się komunistom?...

Pani Hilda spojrzała na męża zdumiona, potem roześmiała się:

- Heini, nie wiesz, co mówisz. Gniew cię zaślepia. Przecież i profesor Geissler...

- To ja, ja nie wiem, co mówię? A kto pierwszy w naszym mieście zaczął zbierać podpisy pod Apelem Sztokholmskim? Kto napisał bezczelny artykuł w komunistycznej gazecie, w którym oświadczył, że uczeni niemieccy widzą drogę rozwoju nauki jedynie w warunkach pokoju, kto pisał o tej komunistycznej republice Piecka jako o wzorze nowych Niemiec? Geissler! Geissler! Rozumiesz? Kto chodzi na wszystkie wiece do robotników i razem z nimi krzyczy, że Niemcy stały się kolonią wojenną Stanów Zjednoczonych? Geissler i jego przyjaciele komuniści!

Zamilkł wzburzony, na twarzy miał ceglaste wypieki, ręce mu drżały. Usiadł i łyknął wody z podanej przez żonę szklanki.

- Uspokój się, Heini. Wiesz dobrze, że nie wolno ci się denerwować. Będzie cię potem bolało serce.

Profesor uspokoił się powoli.

- Jakim prawem Geissler pisze w imieniu niemieckich uczonych, a więc i w moim imieniu, do komunistycznej gazety?

Co? A ty mi jeszcze jego komunistyczne teoryjki przemycasz do domu. Geissler powiedział... Ludzie nie chcą wojny... A my zrobimy to, co będzie potrzebne, żeby wskrzesić nową Rzeszę!

- Dobrze, Heini, dobrze. Zrobisz, co zechcesz. Tylko - pani Hilda zawahała się - tylko ludzie naprawdę mają już dość wojny.

Profesor znów poczerwieniał na twarzy, Wybuch jego uprzedziło jednak wejście pokojówki. Niosła na tacy bilet wizytowy. Profesor rzucił na żonę wściekle spojrzenie i chwycił bilet. Przeczytał. Uniósł jedną brew na znak zdziwienia.

- Jakiś Oliver B. Parker, współwłaściciel firmy „Crosby, Smuthers, Parker and Crosby” z New Jorku. Nic o takim czymś nie słyszałaś? - zapytał żony.

- Skąd, Heini.

- Ja też nie. Ale trzeba go przyjąć. Ciekawe, czego też on może ode mnie chcieć?

Wstał, obciągnął marynarkę. Pani Hilda poprawiła mu chusteczkę w kieszeni. Profesor wyszedł do gabinetu.

Przed obrazem, na którym zastęp młodzieży w brązowych uniformach maszerował defiladowym krokiem, stał starszy pan w elegancko skrojonym szarym garniturze. Spojrzał na wchodzącego profesora i zamiast powitania wskazał głową obraz.

- Niezłe płótno. Trochę to prymitywne, ale za to bardzo bojowe. Wasi malarze umieli oddawać siłę.

Profesor zmarszczył się. Nie wiedział, czy traktować takie powitanie jako impertynencję, czy jako ekscentryczny wybryk Amerykanina. Po chwili namysłu zdecydował się na to drugie. Podszedł do nieoczekiwanego gościa z wyciągniętą ręką.

- Jestem profesor Meisfeld. Pan chciał mnie widzieć?

- O tak, tak - zahuczał gość tubalnym głosem. - Jestem Parker, Oliver Parker z firmy...

- Czytałem pański bilet - przerwał profesor. - Niestety - skłonił głowę - firmy pańskiej nie znam i nie mogę się domyślić, co skłoniło pana do zainteresowania się moją osobą, Nie jestem przedsiębiorcą, ani...

- Ale jest pan uczonym. Uczonym światowej sławy. Profesor uśmiechnął się. Ten Amerykanin to jednak wcale miły człowiek mimo pierwszego wrażenia.

- Pan jest pochlebcą, mister Parker - powiedział profesor, zapraszając gościa, by zajął miejsce w fotelu.

- O nie, profesorze. Zbyt cenię swój czas, bym miał przyjeżdżać tu dla wygłaszania komplementów. Jestem człowiekiem businessu.

- Doprawdy nie rozumiem, jaki business mógł pana do mnie sprowadzić. - W głosie profesora dźwięczały nutki zainteresowania. - Jestem profesorem uniwersytetu. W dodatku emerytowanym... z pewnych względów - dodał ciszej.

- To są głupstwa, profesorze. Polityka wymaga czasem pewnych ofiar.

- Rozumiem to - profesor zmrużył oczy. Otworzył pudełko z papierosami.

- Pan pali?

- O tak, bardzo dziękuję.

Kiedy pierwsze kółeczka dymu rozwiały się nad głowami palących, profesor znów zwrócił się do gościa:

- A więc słucham pana, mister Parker. Jakież to interes sprowadził pana do mnie aż zza oceanu.

Parker rozejrzał się po pokoju. Profesor zrozumiał wymowę tego spojrzenia.

- Jesteśmy sami, mister Parker. Amerykanin uśmiechnął się.

- Widzę, że się doskonale rozumiemy, herr profesor, mam nadzieję, że się równie doskonale porozumiemy.

Na twarzy profesora malowało się z trudem maskowane zainteresowanie.

- Pan jest bakteriologiem, profesorze? - Parker mówił teraz półgłosem.

- Tak.

- Interesował się pan chorobami epidemicznymi?

- Tak. - Oczy profesora wyrażały zdziwienie.

- O ile mnie pamięć nie myli, to poświęcił pan dość dużo pracy dżumie, cholercze i febrze.

- Owszem. Napisałem kilka prac z tej dziedziny.

- A teraz nie pracuje pan?

- Nie - profesor zacisnął zęby. - Mówiłem panu, że jestem na emeryturze. Zresztą wolałbym o tym nie mówić. To chyba nie jest dla pana ciekawe.

- Nie, nie, wiem wszystko, co mi jest potrzebne. Profesor skrzywił się z niesmakiem. Ci Amerykanie mają czasem niezbyt miły sposób wyrażania swoich myśli. W milczeniu czekał na dalszy ciąg rozmowy.

- Czy pan, profesorze Meisfeld, chciałby pracować znów jako bakteriolog?

- Dziwi mnie to pytanie. - Profesor nieznacznie wzruszył ramionami. - Każdy uczoney chce pracować, jak długo może, a ja - powiedział to z sarkazmem - czuję jeszcze dość sił, by prowadzić rozpoczęte badania.

- O to mi właśnie chodziło - Parker zatarł ręce. - Skoro chce pan, profesorze, pracować, to znaczy, że porozumieliśmy się w pięćdziesięciu procentach.

- Pozostaje jeszcze pięćdziesiąt - uśmiechnął się profesor. - I pewna niejasność: Co pan albo pańska firma może z tym mieć wspólnego? Chyba nie są panowie właścicielami prywatnego

uniwersytetu, w którym proponujecie mi wykłady z bakterio-
logii.

- O nie - tubalny śmiech Parkera wypełnił niewielką
przestrzeń gabinetu. - To nie ma nic wspólnego z uniwe-
rsytetem. Chcemy panu zaproponować co innego. Jeżeli zgodzi
się pan pracować dla nas i podpisze odpowiednią umowę -
dotknął ręką kieszeni, jakby wskazując, że tam właśnie leży
wspomniana umowa - nasza firma odda do pańskiej wyłącznej
dyspozycji laboratorium bakteriologiczne, jakiego nawet pan,
profesorze nie widział w życiu.

Profesor siłą musiał się powstrzymać, by nie zerwać się z
krzesła. Wolał nie okazywać przedwcześnie radości, jaką mi
sprawił Parker tak nieoczekiwaną propozycją.

Amerykanin zdawał się nie widzieć wzburzenia Meisfelda.
Obserwował rozwiewające się kółeczka dymu. Wreszcie uznał,
że efekt został osiągnięty.

- Wiem - oświadczył - że jest pan szczerze oddany sprawie
Wielkich Niemiec.

Profesor wyprostował się dumnie i skinął głową.

- Dlatego zwracamy się do pana. Rozumie pan chyba, że
droga Niemiec do roli czołowego państwa w Europie prowadzi
u boku Stanów Zjednoczonych. Naszym wspólnym zadaniem
jest uśmierzyć apetyty komunistów.

Profesor kiwnął twierdząco głową.

- Nic więc nie stoi na przeszkodzie, byśmy zawarli umowę -
ciągnął Parker. - Proszę - wyciągnął z kieszeni złożony arkusz
papieru. - Może zapozna się pan z warunkami.

- Wolałbym przemyśleć tę propozycję - wtrącił profesor.

- A ja wolałbym usłyszeć odpowiedź od razu - przerwał u
Parker. - Omówilibyśmy wówczas całą sprawę dokładniej
mógłbym dziś jeszcze zadysponować urządzenie laboratorium
la pana.

Profesor rozłożył papier. Czytał uważnie, wracając czasem do już przeczytanego tekstu. Potem spojrzął na Parkera.

- Zrozumiał pan najważniejszy punkt umowy? - zapytał Parker.

- Zdaje mi się, że tak. Chodzi o absolutne zachowanie tajemnicy.

- Słusznie - przytwierdził Parker. - Podpisuje pan?

Wyciągnął z kieszeni pióro. Rozkręcił je i trzymał w pogotowiu.

- Aha - dodał nagle. - Jest tam nie wypełniona rubryka „pensja”. Może pan do niej wpisać... powiedzmy... pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Odpowiada to panu?

Profesor Meisfeld w milczeniu wziął pióro i złożył na papierze zamaszty podpis.

- Słucham - spojrzął na Parkera, zwracając mu pióro i podpisany arkusz papieru. - Jakie będą moje obowiązki?

Parker schował pióro do kieszeni. Przejrzał umowę i z zadowoleniem skinął głową. Potem spojrzął jeszcze raz na drzwi i przysunął swój fotel do fotela, na którym siedział profesor.

*

Wysoki, szczupły mężczyzna o siwych włosach i szeroko osadzonych w podłużnej twarzy oczach chodził z kąta w kąt. Rękami założonymi za plecy wybijał takt. Postawa jego zdradzała przyzwyczajenie do wojskowego munduru. Energicznie, jak na defiladzie, zawracał przy każdej przeszkodzie. Na krześle przy biurku siedział drugi mężczyzna, dość tęgi, też siwy, o okrągłej, nieco jowialnej twarzy Wysoki mężczyzna mówił z lekka ochrypłym głosem.

- Nie chciałbym, aby pan źle rozumiał moje myśli, profesorze Hustings. Zapewniam pana, że nie jestem ludobójcą ani też wielbicielem ludobójstwa. Ale jestem człowiekiem trzeźwo myślącym. Wojna jest jedynym wyjściem z sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Wojnę jednak można przegrać albo wygrać. Zależy to od splotu wielu okoliczności, a przede wszystkim od uzbrojenia armii. Przez pewien dość krótki zresztą okres czasu Ameryka była w tej dobrej sytuacji, że dysponowała bronią o niezwyklej sile działania. Rozumie pan, że mam na myśli bombę atomową. Tego krótkiego okresu nie wykorzystaliśmy i dziś bomba atomowa stała się dość niebezpieczna w użyciu. Przede wszystkim Rosja może odpowiedzieć nam użyciem tej samej broni, po drugie wokół bomby atomowej komuniści rozpętali tak wielki hałas, że dziś zbyt wiele ludzi, którzy nic właściwie wspólnego nie mają z komunizmem, występuje jawnie przeciw naszym planom.

Odsapnął i spojrzał na drugiego mężczyznę, którego nazwał profesorem Hustingsem.

- Wojnę jednak chcemy i musimy wygrać - podjął po pewnej chwili. - Musimy się zaopatrzyć w broń jeszcze bardziej skuteczną niż atom. Przyszła wojna musi się zacząć od zaskoczenia nie tylko w czasie i miejscu natarcia, lecz także rodzajem broni, która sparaliżowałaby możliwości obronne przeciwnika.

- Podziwiam pana, rektorze - odezwał się siedzący dotąd cicho profesor. - Nie mogę zrozumieć, kto przemawia przez pańskie usta, rektor jednej z najpoważniejszych uczelni amerykańskich czy też zdymisjonowany generał. Mówi pan o wojnie i broni masowego niszczenia jak o jakiejś zabawce...

Generał-rektor nie zrozumiał ironii. Uśmiechnął się.

- Właściwie rozumię w tej chwili jako wojskowy i polityk. Całe życie czułem się bardziej politykiem niż wojskowym. Ale

pozwoli pan, że skończę. Otóż wracając do tematu, chciałem powiedzieć, że zadaniem każdego Amerykanina jest pracować nad wynalezieniem takiej właśnie skutecznej broni. Weźmy dla przykładu dzieje ostatniej wojny. Zarówno Niemcy jak i Japończycy pracowali nad nowymi rodzajami broni. Część ich wynalazków już zrealizowaliśmy. Niektóre czekają jeszcze na wykonanie.

Profesor poruszy się niespokojnie na krześle. Rektor ręką poprosił, aby mu nie przerywać.

- Zaraz skończę i wówczas wypowie pan swoje zdanie. A więc pan Interesował się niewątpliwie sprawami tak bliskimi pańskiej specjalności, jak niemieckie i japońskie doświadczenia w dziedzinie broni bakteriologicznej.

Profesor zerwał się z miejsca.

- To są sprawy obce, wrogie mojej specjalności... - wykrztusił. - Moja specjalność to niszczenie chorób, zabijanie bakterii, a nie posługiwanie się nimi dla zabijania ludzi...

Rektor zmarszczył się. Przerwał chodzenie po pokoju i głosem zdradzającym zniecierpliwienie oświadczył:

- Słyszałem to już kilka razy. Może pozwoli mi pan skończyć?! Japończycy mieli już duże doświadczenie, przeprowadzali nawet operacje praktyczne. Niemcy nie zdążyli rozbudować należycie ośrodka poznańskiego. Ale myśl jest fascynująca. Po prostu genialna! I my, Amerykanie, powinniśmy ją wcielić w życie. B-bomba - oto broń, jaką musimy zdobyć, jeśli chcemy wygrać wojnę. Musimy przecież pamiętać o tym, że nasze rezerwy ludzkie w porównaniu z przeciwnikiem są dosyć skąpe. To tylko w gazetach trąbi się, że nasza armia atlantycka jest siłą. W gruncie rzeczy to nader słaba zbieranina. Podstawą naszego zwycięstwa może być tylko odpowiednia broń niewymagająca obsługi i pomocy dużych armii.

Profesor spojrział na rektora.

- Mogę panu zadać pytanie?

- Słucham.

- Zna pan Čapka?

Generał zamyślił się.

- Jakiego Čapka? Kto to jest? Nie znam człowieka o takim nazwisku.

- Karela Čapka - z uprzejmą ironią wyjaśnił profesor. - To pisarz, czeski pisarz.

- Aaaa - generał skrzywił się z niesmakiem. - Co on teaz robi? - rzucił obojętne pytanie.

- Nic - profesor nie mógł powstrzymać zjadliwego uśmiechu. Już umarł. Dość dawno zresztą.

- Dlaczego więc wspomina pan o nim - obruszył się retor pojmując, że profesor zakpił sobie z niego.

- Ponieważ napisał książkę „Krakatit”, w której występują ludzie, przypominający mi do złudzenia pana. Oni też marzyli o tym, aby podpalić świat, aby wyniszczyć ludzkość jakąś straszliwą, nit znaną dotąd bronią.

Generał słuchał słów profesora z niezadowoleniem, dając temu wyraz gestami i wyrazem twarzy. Ale profesor nie zwracał na to uwagi.

- W tej powieści, rektorze, występuje także inżynier, który wynalazł środek wybuchowy o niezwykłej mocy, coś w rodzaju prototypu bomby atomowej, tylko że używanego w postaci zwykłego proszku, poddanego działaniu odpowiednich promieni.

Na twarzy rektora-generała odmalował się wyraz zainteresowania.

- Ten inżynier doszedł do takiej perfekcji, że nawet z piasku-pudru robił swój krakatit...

- Wspaniale - przerwał zachwycony rektor. - To genialny pomysł. Piasek jako środek wybuchowy. Kto wie, czy tego nie można zrealizować. Rozpad atomu, rozumie pan? Niech pan tylko pomyśli - armia nieprzyjacielska maszeruje, a my tu gdzieś włączamy odpowiednie promienie i po sekundzie nie ma śladu tej armii.

Profesor patrzył na rektora rozszerzonymi ze zgrozy oczami.

- I pan... rektorze - wykrztusił - zastrzegam się, że nie jest ludobójcą!

Rektor opanował się. Uśmiechnął się wzgardliwie.

- Niech pan mówi dalej, profesorze. Gotów jestem nawet przeczytać tę książkę. Musi być interesująca.

- Jak dla kogo - profesor mówił z nieukrywaną złością.

- Niech pan sobie wyobrazi, że za ten wynalazek chciano owego inżyniera ozłocić.

- I słusznie - wtrącił rektor.

- Ale ten inżynier nie sprzedał wynalazku.

- Głupiec - syknął rektor.

- Zgadzam się - uśmiechnął się profesor i widząc zadowolenie rektora szybko dodał - ale z zupełnie innych powodów niż pan uważam go za głupca. Nawet nie za głupca, raczej za człowieka ślepego. Nie umiał walczyć przeciw zbrodniarzom, którzy mu chcieli wydrzeć tajemnicę krakaitu. Myślał, że zrobi coś sam. Nie widział siły, na jakiej mógłby się oprzeć. A my jesteśmy od jego mądrzejsi. O wiele mądrzejsi.

Rektor wzruszył ramionami. Filozoficzne - jak sądził - rozważania profesora nudziły go.

- Wróćmy jednak do tematu - zaproponował. - Otóż posiedziałem już panu, iż uważam za obowiązek każdego Amerykanina pracować dla zwycięstwa naszej idei.

- Idei? Co pan nazywa ideą, rektorze? Chęć podpalenia świata? Sny o miliardach dolarów wytoczonych z ludzkiej krwi?

- Idei zachodniej demokracji. Idei obrony zachodniej kultury - oświadczył patetycznie rektor.

- Przed kim?

- Przed zalewem komunizmu.

- To znaczy przed tymi, którzy kulturę cenią nade wszystko.

Rektor nachmurzył się.

- Profesorze, prosiłbym o nieprowadzenie komunistycznej propagandy w moim gabinecie.

- Ma pan rację - z przekąsem odrzekł profesor. - Ściany tego gabinetu przywykły jedynie do hitlerowskich sloganów.

- Profesorze! - w głosie rektora brzmiała wściekłość.

Profesor wstał.

- Chcę panu zadać jeszcze jedno pytanie. Zastrzegam - dodał, widząc, że rektor nie ma zamiaru go słuchać - że nie będzie w nim nic z tego, co pan nazywa agitacją komunistyczną.

- Słucham.

- Chcę pana zapytać jako wojskowego i przede wszystkim analityka - czy wierzy pan w to, że bomba bakteriologiczna zostanie w wojnie, jaką chciałby pan i pańscy przyjaciele polityczni rozpętać, użyta?

- Jeżeli tylko zakończymy prace doświadczalne w odpowiednim czasie - niewątpliwie tak.

Profesor przeszedł kilka kroków, potem zatrzymał się, wyjrzał przez okno i zwrócił się twarzą do rektora.

- Nie jestem ani wojskowym, ani tym bardziej politykiem - głos miał zduszony, słowa wymawiał głucho, jakby z trudem.

- Jestem naukowcem, który całe życie stronił od polityki i tym podobnych wielkich spraw. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że to stanowisko było fałszywe, z gruntu błędne. Nigdy nie pomyślałem, że bakterie, nad którymi przeprowadzam badania, mogą się stać narzędziem polityki, straszliwej, zbrodniczej polityki. Przyznaję, że to moja wina, wyłącznie moja. Chociaż jednak nie jestem politykiem, odpowiem zamiast pana na pytanie, które sam postawiłem. Czy użyjecie bomby bakteriologicznej? Nie! Po stokroć nie! Rozumie pan, rektorze, generale i polityku.

Rektor chciał mu przerwać, ale profesor nie zwrócił na to uwagi.

- Wyjaśnię panu dlaczego - ciągnął. - Nie użyjecie przede wszystkim ze strachu. Bo strach rządzi waszymi wszystkimi poczynaniami. Strach przed katastrofą, która was nie ominie. Strach pcha was na drogę zbrodni, ale i strach nie pozwoli wam użyć ani bomby atomowej, ani bakteriologicznej. Czy sądzi pan, że Rosjanie, którzy pracują teraz nad zwalczaniem chorób, w razie potrzeby nie zdołają wyprodukować takich samych bomb? Śmieszne. Przecież pan, jako generał, stykał się z radzieckimi ludźmi w czasie wojny i po wojnie I pan powinien wiedzieć najlepiej, że oni potrafią dokonać więcej, niż inni ludzie i w krótszym czasie. I to jest pierwsza przyczyna, dla której będziecie się bali użyć straszliwej broni. Strach przed przysłowiowym kijem o dwóch końcach. Zwłaszcza że ten drugi koniec będą trzymali w ręku ludzie myślący, a nie bezduszne istoty, zaślepione żądzą zabijania. Ale jest jeszcze jedno, może nawet istotniejsze źródło strachu. Widzi pan, nawet skrytobójca śpieszący nocą do ofiary, którą chce zamordować, drży z obawy, by nikt go nie ujrzał. A wy? Wy nie jesteście skrytobójcami, lecz jawnobójcami! I wy to wiecie. Codziennie, co godzinę miliony ludzi z przekleństwem

na ustach - wymieniają was jako zbrodniarzy. Cały świat nazywa was po imieniu. Chcecie rozpętać zbrodnię, a jednocześnie straszy was o Norymbergii, w której nie będziecie już bronić przestępcami wbrew żądaniom świata. To wy będziecie podsądnymi! I wiecie, że dla was nie będzie litości. Czyta pan gazety, generale? Nie te - wskazał pogardliwie na plik dużych drukowanych płacht - nie te śmiecie kłamliwe, bluzgające nienawiścią. Czyta pan może inne gazety. Tamte, nazywane przez pana „komunistycznymi”. Jeżeli nie, to niech pan do nich zajrzy. Znajdzie pan w nich również swoje nazwisko. Nie, nie rzucicie bomby. Będziecie nią tylko straszyć i sami będziecie jej się bać. Są siły potężniejsze od was - ludzkie pragnienia i serca nienawidzące wojny. O ten mur rozbiją się wasze plany.

Generał usiadł za biurkiem. Twarz jego była zimna, usta zacięte, oczy patrzyły wrogo.

- A więc odmawia pan, profesorze, współpracy?

- Czyż to, co powiedziałem, nie starczyło panu za odpowiedź. Ja ludobójcą naprawdę nie jestem.

To znaczy - ciągnął niewzruszenie generał - że staje pan w szeregach wrogów Ameryki.

- Jestem patriotą amerykańskim - oświadczył dumnie profesor.

- Nie - zerwał się generał - jest pan wrogiem Ameryki.

- Och, jeżeli siebie i sobie podobnych ludzi identyfikuje pan z Ameryką - odciął się ironicznie profesor - to ma pan rację, jestem waszym wrogiem. Jestem patriotą, tak samo jak miliony moich rodaków.

- Pan jest komunistą, profesorze - wysyczał rektor. - I my potrafimy wyciągnąć z tego konsekwencje. Od dziś - zabrzmiał - zwalniam pana z pracy. Ludzie tacy jak pan nie mają prawa

wykładać na uniwersytetach amerykańskich. Nie pozwolimy zatruwać naszej młodzieży jadem...

- Jadem pokoju, prawda? - przerwał mu profesor.

- Tak - generał huknął pięścią w stół. Zabrzęczały szyby w oknie. - Tak, jadem pokoju. Amerykanie powinni osiąść sztukę zabijania.

- Rektorze - profesor pochylił się nad biurkiem - pan nie zna Amerykanów Pan sądzi, że długo jeszcze będziecie wmawiać ludziom, że białe jest czarne, a czarne - białe. Strzeżcie się chwili, kiedy ludziom spadnie bielmo z oczu. Ono już spada. A kiedy opadnie zupełnie - zostaniecie zmieceni z powierzchni ziemi. Chacie z nas zrobić naród bandytów. Był już taki jeden szaleniec i chciał swych rodaków przekształcić w morderców. To on się wam kłania. Skończycie tak samo, jak on. Patrzę na pana i dziwię się, jak mogłam nie pomyśleć dotąd o tym, że bakteria ma czasem ludzką twarz.

Profesor zapiął marynarkę i bez słowa wyszedł.

- Zobaczmy, jak pan zaśpiewa na badaniu w komisji, czerwony agencie - zasyczał rektor słysząc trzask zamykanych drzwi i czym prędzej sięgnął po słuchawkę.

*

Winda zawiozła prezesa George'a Williama Crosby na siódme piętro. Szybkim elastycznym krokiem przemierzył korytarz. W sekretariacie na jego widok wszyscy wstali. Nie oglądając się na niego, rzucił drewniane „dzień dobry” i zamknął za sobą drzwi swego gabinetu. Ściągnął rękawiczki i wraz z kapeluszem rzucił je na stolik przy drzwiach. Usiadł przy biurku i spojrzął na notatnik. Za kwadrans konferencja.

Wszedł sekretarz.

- Poczta, panie prezesie - oświadczył zbliżając się do biurka.

- Proszę mi dać jedynie specjalną. Resztę niech pan przejrzy sam.

- A tak, rozumiem - sekretarz popatrzył na zegarek. - Za czternaście minut konferencja. Są dwa listy. Z Tokio i Berlina.

Prezes wziął listy bez słowa. Nie czekając aż sekretarz wyjdzie, rozerwał pierwszą kopertę. W miarę czytania twarz jego pogodniała. Na wypięłgnowanych policzkach ukazał się lekki rumieniec. George Crosby, mimo swoich pięćdziesięciu lat, był nie tylko eleganckim, ale wciąż jeszcze przystojnym panem. Nic dziwnego, że kobiety tak za nim szalały.

Jednakże list, który wywołał na jego twarzy radosny uśmiech, nie pochodził od kobiety. Z Berlina pisał Parker, donosząc, że pertraktacje z Niemcami należy uważać za zakończone. Pozyskał sześciu bakterioologów, przy czym za najpoważniejsze osiągnięcie należy uznać zgodę profesora Meisfelda na objęcie kierownictwa nad laboratorium. Wprawdzie sześciu specjalistów to bardzo mało - wyjaśniał dalej Parker - ale z przyczyn zrozumiałych „można było konferować jedynie z ludźmi, co do których istniała prawie pewność, że nie odmówią. Zresztą teraz już Meisfeld będzie się troszczył o zwiększenie personelu naukowego. Dalej Parker zawiadamiał wspólnika, że laboratorium jest już prawie skompletowane i najdalej za tydzień Meisfeld zamierza rozpocząć pracę. W zakończeniu Parker skarżył się na atmosferę, panującą ostatnio w Niemczech. „Niestety nie mogę powiedzieć, by liany nasze spotykały się wśród samych Niemców z entuzjastycznym przyjęciem. Wydaje mi się, że coraz więcej Niemców przestaje uważać wojnę za drogę do swego odrodzenia”.

Zakończenie listu zepsuło nieco pogodny nastrój, w jaki wprawił prezesa Crosby jego początek.

Sięgnął po następny list. Smuthers w entuzjastycznych słowach opisywał przebieg badań w Japonii. Prezes odetchnął z ulgą. A więc Smuthers już otrzymał wyposażenie dla ośrodka. Badania w Niemczech będą miały charakter raczej pomocniczy. Praktyczne rozwiązanie ma przynieść japoński „ośrodek BB”.

Mister Crosby odłożył list Smuthersa. Doskonale się złożyło, że oba listy otrzymał przed konferencją zarządu. Będzie miał interesujący materiał do zacytowania. Akcja rozwija się pomyślniej, niż należało oczekiwać. Teraz sprawa najważniejsza to: rozbudowywać poszczególne ośrodki i zająć się organizacją laboratorium tu, w Ameryce. Trzy takie ośrodki to sieć wystarczająca, by zapewnić odpowiednie dochody firmie, no i...

Crosby uśmiechnął się... I zapewnić zwycięstwo Stanom Zjednoczonym. „B-bomb” wychodzi z powijków.

Wstał. Czas już iść do sali konferencyjnej. W drzwiach zetknął się z sekretarzem.

- Telefonowano z Białego Domu, mister Crosby. Audiencja wyznaczona na dziś wieczór. O dziewiętnastej.

Crosby zatarł ręce.

- Doskonale. Proszę przygotować samolot. Aha - dodał wychodząc - i niech pan nie zapomni, Randolph, zabrać ze sobą teczkę „BB”.

XI

W legowisku wściekłych wilków

Fukuda szedł ulicą, usiłując zapanować nad nogami, które wbrew jego woli ciągle przyśpieszały kroku. Miał jeszcze sporo czasu, ale trudno było utrzymać na wodzy napięte do ostatnich granic nerwy.

Od pamiętnego spotkania z sekretarzem upłynęły dwa tygodnie. I przez cały ten czas musiał siedzieć beczynnie. Nazajutrz po powzięciu planu udał się z rana na poszukiwanie porucznika Rooge. Po godzinnym błądzeniu w labiryncie korytarzy ustalił wreszcie, że Rooge wyjechał i nie wiadomo kiedy wróci.

Dla Fukudy wiadomość ta była dotkliwym ciosem. Oznaczała ona przymusową beczynność do chwili powrotu Amerykanina, Sekretarz, Tanima i jeszcze kilku towarzyszy, których wtajemniczono w sedno sprawy, pocieszali go, jak mogli, tłumacząc, że w ciągu tych kilku dni nic się przecież nie może zmienić. To jednak nie pomagało. Przez dwa tygodnie Fukuda żył jedynie nerwami. Tanima usiłowała go jakoś oderwać od ponurych myśli. Fukuda musiał jej pomagać w przygotowaniach do ostatniego egzaminu dyplomowego. Poza tym dziewczyna nie folgowała mu w nauce języka rosyjskiego. Poznał dzięki niej alfabet i zaczął rozumieć coraz więcej słów. Poświęcał nauce cały wolny czas, a tego mu przecież nie zbywało.

Najprzyjemniejsze były jednak wieczory. Spędzał je z Tanimą przeważnie nad książkami. Czasami tłumaczył jej treść i istotę wykrytej przez siebie surowicy. Opowiadał jej o swoich przeżyciach, o latach uniwersyteckich, o potwornościach, jakie przeżył podczas pobytu w jednostce 731, o radościach i

walkach, o życiu partyzantce, Daiewczyua słuchała go uważnie. Widział na Jej twarzy burzę uczuć, jaka targała jej sercem. Widział, że Tanima przeżywa razem z nim wszystkie fragmenty i epizody jego przeszłości.

Czuł, że coraz bardziej przywiązuje się do swej gospodyni. Kiedy zostawał sam, brakowało mu jej. Niecierpliwie spoglądał na zegarek, wyczekując godziny jej powrotu. Z uśmiechem witał ją u drzwi. Coraz częściej łapał się na myśli - a co będzie, kiedy wyjedzie z Tokio, czy potrafi o niej zapomnieć? Coś mówiło mu i w duchu, że nie. Żył więc obietnicą, że Tanima zostanie jego laborantką.

Chwilami nawiedzały go ponure myśli. A co będzie, jeżeli go złapią? Przez długie lata żył jak samotnik. Nie miał nikogo bliskiego, oddanego. To znaczy, miał ludzi bliskich, przyjaciół w partyzantce, w armii chińskiej, w Kobe wśród towarzyszy, ale to wszystko było jakoś inaczej bliskie. Tanima, to co innego. Myśl o niej sprawiała mu wielką przyjemność. Od razu robiło się różnie na duszy. Największe nawet trudności stawały się drobiazgiem, kiedy widział ją obok siebie.

A Tanima? Czy odczuwa coś podobnego? Czy i ona myśli o nim tak jak on o niej, czy cieszy się, podobnie jak on jego obecnością...

Na skrzyżowaniu ulic zatrzymało go czerwone światło sygnału. Rozejrzał się. W oddali piętrzył się gmach, w którym urzędował Rooge. Wrócił myślami do sprawy laboratorium amerykańskiego.

Przez ubiegłe dwa tygodnie prawie co dzień telefonował do porucznika i wciąż otrzymywał tę samą odpowiedź: „Jeszcze nie wrócił”. Fukuda ostatnie dni był dosłownie złamany. Wydało mu się, że Rooge wyjechał do Ameryki i już nie wróci, a wobec tego nadzieje związane z osobą porucznika musiały prysnąć jak sen. Dopiero wczoraj oświadczono mu

przez telefon, te mister Rooge już wrócił i przyjmie go następnego dnia o godzinie dziesiątej.

Nie, nie czuł strachu idąc do niego. Nie bał się rozpoznania. Był przekonany, że uda mu się wyrwać Amerykanom tajemnicę Otomury. Czuł raczej wstręt. Myślał o ludziach, do których szedł, jak o wściekłych wilkach. To były w jego wyobrażeniu zgłodniałe bestie łaknące ludzkiej krwi. W starych legendach występują takie krwiożercze istoty, które zadając ludziom śmierć odczuwały rozkosz, życie jest nie mniej pomysłowe od ludzkiej fantazji, tworzącej legendy. Oto zetknął się już raz z takimi bestiami o ludzkich twarzach. 1 teraz miał się z nimi zetknąć po raz drugi. Musiał to uczynić, aby otworzyć ludziom oczy, aby pokazać im bestie, by nie myśleli, że istnieją one tylko w legendach i tylko w przeszłości.

Stojąc na skrzyżowaniu ulic obserwował ukradkiem twarze przechodniów. Oto idzie kobieta, prowadząc za rękę małego chłopca. Kto wie, kim będzie ten chłopiec. Może poetą, może wynalazcą, może wielkim malarzem albo budowniczym. Kto wie, jakie nadzieje związało z jego przyszłością kochające matczyne serce. Ile radości odczuwa trzymając swego synka za rękę. I ta matka nie wie nawet, że przeciw niej, jej szczęściu, jej synkowi, wściekłe wilki uknuły potworny spisek. Nie wie, że ktoś w Waszyngtonie i ktoś w Tokio zawarł przymierze, by wszczepić w krew tego dziecka śmiertelną chorobę. A gdyby ta matka wiedziała? Na pewno schwyciłaby swego synka i pobiegła z nim naprzeciw wilkom, porwałaby za sobą wszystkie matki, wszystkich ojców Ich ręce zadusiłyby wilcze plany, O, ręce matki, te pulsujące pieszczotą, spracowane dłonie, są twardsze od stali. One potrafią bronić szczęścia i życia dziecka...

Zielone światło. Fukuda przeszedł na przeciwległą stronę ulicy. Na wystawie czarne wskazówki zegara mówią: za pięć

dziesiąta. Przyśpieszył kroku. Poczuł, że jest dziwnie spokojny i opanowany. Nie wolno przecież w nikim wzbudzić podejrzenia.

Zażądał przepustki do porucznika Rooge. Dyżurujący podoficer zmierzył go obojętnym spojrzeniem i zatelefonował. Krzyknął coś do mikrofonu, zarechotał i odwiesił słuchawkę. Chwilę pisał coś na skrawku papieru, po czym podał go Fukudzie.

- Trzecie piętro, pokój 329 - mruknął.

Fukuda wolno wstępował na schody. Szedł z opuszczoną głową. Zrobiło mu się nagle ciężko na duszy. To nie był lęk. A może? Pomyślał o Tanimie. Uśmiechnął się do niej w myślach i zapukał do drzwi.

- Chciałem mówić z porucznikiem Rooge - zwrócił się do oficera siedzącego przy dużym stole.

Ten spojrział na interesanta i zapytał krótko:

- Doktor Sasaki?

- Tak. Porozumiałem...

- Proszę. Porucznik czeka - oficer wskazał Fukudzie drzwi. Porucznik Rooge siedział na trzcinowym krześle, kołysząc się na tylnych jego nóżkach. Miał niedopiętą koszulę, spod której wyglądała biała skóra i kilka fałd tłuszczu. Przekrzywiony krawat dopełniał elegancji.

Przyjrzał się przybyszowi i zmarszczył czoło.

- To pan jest doktorem Sasaki. Mówiono mi, że przez cały czas mojej nieobecności telefonował pan. Ale to nic, doczekał się pan. Tylko - podrapał się w głowę - zdaje mi się, że skądś pana znam.

Fukuda skłonił głowę na znak szacunku.

- Pan jest bardzo uprzejmy, poruczniku, że raczył zapamiętać tak skromną osobę jak moja.

Rooge wybuchnął śmiechem i trzepnął się dłonią w kolano.

- Wy, Japończycy, umiecie tak pięknie mówić, że wam tego można pozazdrościć. Ale wie pan - dodał, opanowując śmiech - jestem przekonany, żeśmy się gdzieś widzieli, tylko ani rusz nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

- Pan porucznik ma tak wiele pracy, że nie należy się temu dziwić.

- Racja, racja - Rooge kiwał głową. - Mam strasznie dużo pracy. Rządzić krajem takim jak Japonia, ee... - zająknął się - to jest chciałem powiedzieć, pomagać w rządzeniu takim krajem jak Japonia nie jest łatwo. Musimy nauczyć was cenić istotę demokracji, dlatego mamy bardzo dużo roboty - zaznaczył pompatycznie.

Na twarzy Fukudy nie drgnął nawet mięsień, choć czuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Rozmawialiśmy przed kilku tygodniami w Kobe - powiedział uprzejmie.

- Aha, już pamiętam - Rooge zamachał rękami. - To pan jest tym lekarzem-bakteriologiem, z którym siedziałem wieczorem w knajpie. Widzi pan. Od razu sobie wszystko przypomniałem. Zdaje mi się, że szukał pan wtedy pracy.

- Tak. A pan porucznik raczył się tym zainteresować i obiecał mi...

- Ja? - zdziwił się Rooge i zamyślił się. - Nie pamiętam. Zresztą możliwe... Zaraz... Pan coś mówił, że służył w wojsku...

- Tak - wtrącił Fukuda - mówiłem, że byłem oficerem armii japońskiej. Ubolewaliśmy nawet razem - uśmiechnął się - że nasze armie zamiast zawrzeć sojusz i rzucić się na bolszewików, musiały walczyć przeciw sobie.

Rooge rozpromienił się.

- Teraz sobie pana przypominam bardzo dokładnie. Pan był w wojsku...

- Porucznikiem.

- No - ucieszył się Rooge - to jesteśmy kolegami, mister Sasaki, Mamy ten sam stopień i - zmrużył figlarnie oko - te same poglądy na życie i świat. Nieprawdaż?

- Oczywiście.

- Tak - Rooge nadał swej twarzy wyraz zamyślenia. - Pańska uwaga o okresie wojennym jest bardzo słuszna i mądra. Cóż, politycy zagalopowali się. Teraz musimy płacić za błędy przeszłości. I to gorzko płacić. Zamiast osłabienia, o jakie nam w gruncie rzeczy chodziło, bolszewicy okrzepli. Zagrożają całemu światu, a my, Amerykanie, musimy go bronić. To' ciężka misja, mister Sasaki. I bardzo dobrze, te spotykamy tu w Japonii ludzi, z którymi znajdujemy wspólny język.

Fukuda siedział z opuszczoną głową. Oburzenie mogło odbić się na twarzy, a to nie sprzyjałoby jego planom.

Rooge przestał się kołysać na krześle. Wstał i wraz z krzesłem doszedł do Fukudy. Usiadł obok niego.

- Czy pan wie, doktorze Sasaki, jaki jest jedyny sposób obrony świata przed zalewem komunizmu? - I nie czekając na odpowiedź oświadczył: - Uzbrojenie wszystkich sojuszników Ameryki. Jasne?

- Naturalnie, panie poruczniku. Pan, jak widzę, jest nie tylko wojskowym, ale i politykiem.

Rooge uśmiechnął się zadowolony z pochlebnej uwagi. Zadzwoił telefon. Rooge podniósł słuchawkę.

- Co? tak.. Zaraz będę.

- Wybacz pan doktorze, musimy skrócić naszą rozmowę - zwrócił się do Fukudy. - Mam zaledwie dziesięć minut. Nieoczekiwana konferencja.

Fukuda nie wiedział, co począć. Wszystko szło jak najlepiej, a tu masz, trzeba przerwać. I znów czekać na przyjęcie. A kto wie, w jakim nastroju będzie wtedy Rooge...

- Pan chciałby dla nas pracować? - zapytał nieoczekiwanie Rooge.

Fukuda zerwał się.

- Tak, tak - rzucił gorączkowo. - Po to właśnie przyjechałem do pana, pamiętając o naszej rozmowie.

- A co chciałby pan robić?

- Jestem bakteriologiem - odrzekł Fukuda, z trudem maskując zadowolenie z obrotu rozmowy. - Pracowałem jako epidemiolog. Interesowałem się szczególnie dżumą - dodał z naciskiem.

Rooge gwizdnął cichutko.

- To ciekawe. Nawet bardzo ciekawe. Zdaje mi się, że znajdziemy dla pana pracę. Epidemiolodzy są nam bardzo potrzebni... Zaraz. Jedną chwilkę.

Sięgnął po słuchawkę.

- Crosby? Halo. Tak, Rooge... Mam tu gościa. Lekarz-bakteriolog... Uhm... Rozmawiałem... Odpowiedni... To samo, co my... Też tak sądzisz? Mhm... Zajmował się zwalczaniem różnych ciekawych chorób epidemicznych... Zgadzasz się? To dobrze... Tak, tak zaraz będę. Może spóźnię się o kilka minut.

Odłożył słuchawkę. Fukuda czuł, jak mu strasznie bije serce. Zrozumiał w lot sens rozmowy, Rooge widocznie porozumiewał się z kimś z przełożonych i pytał go o zdanie.

- Doktorze Sasaki - Rooge zapalił papierosa, nie proponując go gościowi. - Aha, pan może też pali?

Fukuda odmówił ruchem głowy.

- Sądzę, że mógłby pan pracować w jednym z naszych laboratoriów. Właśnie jako bakteriolog. Zawarlibyśmy z panem umowę. Co pan o tym sądzi?

- Z największą radością, poruczniku.

- Chciałbym pana tylko uprzedzić, że z chwilą przystąpienia do pracy w instytucji związanej z wojskiem,

obowiązywałyby pana te same przepisy co wojskowych. Rozumie pan? Przede wszystkim o zachowaniu tajemnicy...

- Ależ poruczniku - obruszył się Fukuda - byłem w wojsku dość długo.

- No to bardzo się cieszę. - Rooge otworzył szufladę i wyciągnął z niej kilka arkuszy papieru. - Tu są niezbędne formularze. Zechce pan je wypełnić w domu. W tej chwili nasze laboratorium zostało przeniesione z Kobe do Tokio. Za parę dni praca ruszy już normalnym trybem. Sądzę, że do tego czasu załatwimy wszystkie formalności. Czekam na pana powiedzmy, pojutrze. Podpiszemy kontrakt i wydam panu przepustkę. Być może, że nawet pojedziemy razem na pierwsze oględziny. A teraz muszę pana przeprosić.

Fukuda wstał.

- Bardzo panu dziękuję, poruczniku - wykrztusił. - Zamelduję się u pana pojutrze.

- Tylko nie „zamelduję się”, kolego. Przecież jesteśmy równi stopniem - zarechotał Rooge, odprowadzając Fukudę.

Wyszedłszy z gmachu dowództwa, Fukuda zatrzymał się na chwilę. Wydawało mu się, że lada chwila upadnie. W głowie mu hukało, serce waliło jak miotem, ręce i nogi drżały. Jak gdyby był pijany.

Zakończenie rozmowy z porucznikiem Rooge oszołomiło go. Nigdy, w najskrytszych nawet myślach, układając plany rozmowy, nie przypuszczał, że pójdzie mu to tak łatwo. Właściwie ze słów Rooge wynikało, iż jest już zaangażowany. Pojutrze otrzyma przepustkę, a z nią możliwość naocznego obejrzenia fabryki śmierci. Oznaczało to, że za trzy dni będzie można podać do wiadomości całego świata, jakie plany snują ludzie, którzy wkroczyli na zbrodniczą drogę Isii.

Szedł przed siebie nie zastanawiając się, dokąd idzie, w jakim kierunku. Było mu zresztą wszystko jedno. Do pojutrze

miął czas. Odtwarzał w pamięci wszystkie szczegóły rozmowy z Rooge. Ten łajdak musiał go zaprawdę uznać za godnego siebie kolegę, skoro tak łatwo zgodził się dać mu pracę w tym przeklętym laboratorium.

Nagle oślepiła go myśl. A co, jeżeli to wszystko jest pułapką. Jeżeli Rooge mu nie wierzy i chce go schwytać. Co, jeżeli oni już wiedzą, że doktor Sasaki i Takeo Fukuda to jedna i ta sama osoba. Może to wszystko było z góry ukartowane prze? nich, podobnie jak on ukartował swój plan przeciw nim. Jeżeli tak, to trzeba jak najprędzej zawiadomić o wszystkim towarzyszy. Gdyby go zaaresztowano, nie wolno zaprzestać poszukiwań. Być może, że Rooge oszukał go, mówiąc o przeniesieniu laboratorium z Kobe do Tokio. Wierzył jednak w to, że w Kobe rzeczywiście prowadzono badania. Mówiła mu o tym obecność Otomury, jego tajemnicze znikanie w owym gmachu strzeżonym przez wartowników. Tamten ślad nie mógł być fałszywy. Gdyby więc jego zatrzymano, towarzysze będą mogli iść po tym tropie tak długo, aż wyśledzą siedlisko bestii.

Oparł się o latarnię. Otrząsnął się i nagle roześmiał się głośno. Jakie idiotyczne myśli mogą strzelić czasem człowiekowi do głowy. Z jakiej racji Rooge miałby zastawiać nań pułapkę. Przecież gdyby „go podejrzewano, nie wyszedłby wolno z jego gabinetu. Zaaresztowano by go z miejsca. A on już gotów był narobić gwałtu i uciekać przed aresztowaniem.

„Ej, Takeo, Takeo - powiedział do siebie - stajesz się zbyt nerwowy. A to wstyd. Ludnie o słabych nerwach nie powinni brać się do rozwiązywania poważnych spraw”.

Rozejrzał się wokół siebie zdumiony. Był w parku. Alejami biegały dzieci napełniając powietrze gwarem roześmianych głosików. Wspaniałe kwietniki roztaczały odurzający zapach.

Oczy bolały od nadmiaru barw i odcieni. W górze, nad głowami szumiały gęstym listowiem drzewa.

Fukuda usiadł na ławce. Wyciągnął nogi przed siebie i zmrużył oczy. Trzeba się teraz zastanowić, co będzie dalej. Z chwilą gdy Uda mu się zdemaskować fabrykę śmierci, trudno będzie się ukrywać. Amerykanie dostaną ataku szału i rzucą się na poszukiwanie rzekomego doktora Sasaki jak psy gończe. A Fukudzie wcale nie Uśmiechało się wpaść w ich łapy. O nie. Trzeba przecież skończyć doświadczenia z surowicą. Tylko jak? Obietnice sekretarza w sprawie urządzenia laboratorium były dlań ponętne. Nie wątpił, że towarzysze myśleli o tym poważnie. Ale Takeo musiały się ukryć przed światem, zamknąć się w samotni, aż o nim zapomną. Kto wie, jak długo może to trwać. Rok... dwa... trzy...

Poczuł na sobie czyjeś uważne spojrzenie. Otworzył oczy. O kilka kroków przed nim stała Tanima. Jej szczupłą, roześmiana twarzyczka promieniała radością.

Zerwał się na równe nogi. Poczuł się nagle dziwnie lekki, wszystkie troski uleciały gdzieś bardzo daleko. Widział przed sobą jej wilgotne, migdałowe oczy i to wydało mu się w tej chwili najważniejsze.

- Tanima - wyszeptał, ujmując jej dłonie w swoje ręce. - Skąd się tu wzięłaś?

Dziewczyna uśmiechnęła się figlarnie.

- Wskoczyłam z kwiatu. Z tamtej róży - wskazała palcem kwietnik. - Nie - spoważniała - nie z kwiatu, Takeo. Szłam za tobą przez cały czas.

- Jak to? - zdziwił się.

- Po prostu, mój Takeo, szłam za tobą krok w krok, kiedy śpieszyłeś do tego obrzydliwego porucznika. Czekałam na ciebie, zanim od niego wyszedłeś. I nie odstępowałam cię, gdy skierowałeś się do parku.

- Jesteś strasznie miła, Tanimi.

- O, zaczynasz mi prawie komplementy - żartobliwie pogroziła mu palcem. - Zostawmy to na później. Teraz opowiedz mi, co robiłeś u tego porucznika i o czym mówiliście.

Fukuda powtórzył jej przebieg rozmowy nie pomijając żadnego szczegółu. Kiedy doszedł do pożegnania z Rooge'm, Tanimi klasnęła:

- Wiesz, to wspaniałe. Jesteś zachwycający. Okręciłeś go sobie dookoła palca.

- Czy aby na pewno - zamyślił się Fukuda. - Mam jakieś dziwne przeczucie, że to wszystko wcale nie pójdzie gładko.

- Nie denerwuj się. Policja wciąż nie może ciebie odnaleźć. Mówił mi sekretarz...

- Właśnie chciałbym go zobaczyć - przerwał jej.

- To niemożliwe. Sekretarz zapowiedział, że aż do chwili zakończenia poszukiwań nie powinien się spotykać się ani z nim, ani z nikim spośród naszych towarzyszy. Fukuda chciał coś powiedzieć.

- Nie gniewaj się. Takeo. Sekretarz ma rację. Przecież Amerykanie mogą chcieć cię wybadać, może nawet już ciebie śledzą. Zrozum, że gdyby zobaczyli cię w rozmowie z kimś, kogo znają jako komunistę, cały plan byłby do niczego.

Fukuda ponuro pokiwał głową,

- Może i słusznie. Bo ja wiem.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną nowinę - głos dziewczyny zadrżał nagle.

- Co ci jest, Tanimi? - zaniepokoił się Fukuda. - Czyżby i coś przykrego?

- O nie, Takeo. Dla ciebie to wcale nie będzie przykre - przełknęła ślinę. - Sekretarz prosił, aby ci powtórzyć, że ze względu na możliwości aresztowania będziesz musiał od razu po wykryciu tego laboratorium wyjechać.

- Jak to wyjechać? Dokąd? - Fukuda nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał. To było już nazbyt nieoczekiwane.

- On sam jeszcze nie wie dokąd - wyszeptała dziewczyna.- Zresztą co za różnica dokąd. Wystarczy, że musisz opuścić Japonię.

Gwałtownie odwróciła twarz. Fukuda siedział chwilę w milczeniu. Potem ostrożnie wziął rękę dziewczyny, leżącą bezwładnie na kolanie.

- Tanima - głos mu drżał - Tanima - powtórzył. - Ja nie wyjadę.

Dziewczyna obróciła się gwałtownie.

- Bo ja... bo ja - Fukuda jąkał się. - Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

Oczy dziewczyny wpatrywały się w jego twarz uważnie.

- Powiedz, Takeo - poprosiła.

- Bo ja... - Poczul, że jest cały mokry od potu. I nagle wyrzucił z siebie: - Nie wyjadę bez ciebie.

Oczy dziewczyny rozjaśnił blask. Jakby mignęło w nich słońce. Usta jej rozchyliły się w radosnym uśmiechu.

- Mówisz to poważnie, Takeo?

- Najzupełniej poważnie. Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale ja nie wyobrażam sobie pracy bez ciebie, ani...

- Koniecznie musisz mieć laborantkę? - Oczy jej się śmiały, gdy zadała to pytanie.

Fukuda nachmurzył się. - Ty sobie z tego kpisz.

- Nie, Takeo - dziewczyna przytuliła się do niego. - Jest mi po prostu bardzo dobrze. Bardzo dobrze.

Oparł jej rękę na ramieniu. Siedzieli cicho, patrząc na pstry kwietnik pławiący się w lipcowym słońcu.

- Muszę już iść. Takeo - powiedziała z żalem.

- Już, teraz? - zdziwił się.

- Tak, za pół godziny mam egzamin Ostatni egzamin. Ale przed nim musiałam z tobą porozmawiać. Było mi tak ciężko. A teraz wiem, że zdam, że niczego się nie boję.

Fukuda pogłaskał ją po włosach.

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. Idź prosto do domu i czekaj na mnie. Sekretarz bardzo o to prosił.

- Żebyś czekał na ciebie? - roześmiał się głośno.

- Nie - odpowiedziała mu uśmiechem. - żebyś nie chodził bez potrzeby po ulicy. I ja też cię o to proszę. Nie trzeba się narażać.

- Dobrze - powiedział niechętnie. - Tylko wracaj szybko.

- Wrócę od razu po egzaminie. Chociaż nie - coś sobie przypomniała - Po egzaminie opowiem wszystko sekretarzowi. A już po tej rozmowie wrócę do ciebie.

XII

Termin odsuwa się o jeszcze jeden dzień

Projektowane spotkanie z porucznikiem Rooge nie doszło do skutku. Fukuda przyszedł do dowództwa o oznaczonej godzinie. Oficer, ten sam który przyjął go przedwczoraj, przeprosił w imieniu Rooge'a, który musiał nagle wyjechać i dał mu list. Fukuda wyjął z koperty mały kawałek papieru, na którym Rooge w pośpiechu nagryzmołił.

„Bardzo pana przepraszam, ale muszę na jeden dzień wyjechać za miasto. Wypełnione formularze proszę przekazać pułkownikowi Crosby, który będzie na pana czekał i podpisze kontrakt. Czekam jutro o dziesiątej. Pojedziemy razem”.

Kiedy Fukuda skończył czytać, oficer oświadczył:

- Pułkownik Crosby czeka już na pana.

Fukuda ruszył w ślad za przewodnikiem. Crosby - pomyślał - to chyba jest ten, z którym Rooge, rozmawiał przez telefon. Widocznie w tej aferze bakteriologicznej musi odgrywać ważną rolę.

Oficer otworzył drzwi do kancelarii.

- Pułkownik jest? - zapytał młodego oficera, urzędującego za ogromnym biurkiem.

- Na razie jest zajęty - mruknął adiutant Crosby'ego. Potem spojrzał na pytającego - Aha. To zdaje się na pana czeka. Proszę wejść.

Fukuda znalazł się w gabinecie pułkownika. Przedstawił się i oświadczył, że z listu porucznika Rooge dowiedział się...

- Tak, tak - przerwał mu Crosby - właśnie czekałem na pana. Proszę siadać,

Musi być czymś zdenerwowany - pomyślał Fukuda.

- Niestety nie będę mógł z panem dłużej rozmawiać - mówił pułkownik. - Jestem teraz bardzo zajęty. Czy ma pan gotowe formularze?

- Tak jest - Fukuda wyciągnął z kieszeni złożone papiery. - Tu są wszystkie, jakie otrzymałem do wypełnienia.

Crosby przejrzał je uważnie, po czym wyciągnął z szuflady duży arkusz i podał go Fukudzie.

- Tu jest umowa, to jest chciałem powiedzieć, kontrakt służbowy.

- Czy mam to teraz podpisać?

- Tak, proszę. Tu ma pan pióro.

Fukuda w milczeniu przestudiował kilkanaście paragrafów umowy, wykaligrafował starannie nazwisko Sasaki i zwrócił pułkownikowi papier.

- Mam nadzieję, że my z pana, a pan z nas będziemy zadowoleni - mruknął pułkownik. - Porucznik Rooge zorientował pana co do charakteru pracy?

- Niestety nie bardzo. Obiecał uczynić to dziś. Mieliśmy razem jechać...

- Tak. Wiem. Niestety Rooge musiał wyjechać. Jutro panowie udadzą się na miejsce - Crosby mówiąc to machinalnie przeglądał papiery na stole.

Fukuda wstał, rozumiejąc, że rozmowa jest skończona. Już chciał się pożegnać, gdy nagle pułkownik zapytał go.

- Doktorze Sasaki, podczas wojny służył pan w wojsku? Fukuda poczuł, że błędnie. To pytanie było nieoczekiwane i dość niezwykle. Opanowując zdenerwowanie odrzekł, jak mógł najuprzejmiej:

- Tak jest. Podałem to w swoim życiorysie.

- Czy nie służył pan przypadkiem w jednostce 731?

Fukuda ogarnął spojrzeniem pokój. To była jego pierwsza reakcja na pytanie, w którym wyczuł bezpośrednio

niebezpieczeństwo. Błysnęła mu w głowie myśl - uciekać. Ale jak. Zanim zdąży uczynić krok, Crosby zaalarmuje swoich pomocników. Poczł się jak zwierz schwytyany w potrzasku.

- Może pan mi to śmiało powiedzieć - przynaglił go Crosby.

- Nie jestem przecież Rosjaninem. Nie mamy do was o to żadnych pretensji - uśmiechnął się. - Uznajemy zasadę, że, na wojnie każda broń jest dobra. Zwłaszcza jeśli jest w naszych rękach.

- Niestety, nie dostąpiłem tego zaszczytu - Fukuda nadał swemu głosowi żalčne brzmienie. - Byłem zaledwie lekarzem garnizonowym.

- Szkoda - westchnął pułkownik. - Myślałem, że pan mógłby mi pomóc. Rozumie pan, od dłuższego czasu szukam bakteriologa, który był w tej jednostce. Jest nam bardzo potrzebny - zacisnął pięści. - Bardzo. I nie możemy go w żaden sposób odszukać.

Fukuda postanowił zaryzykować. Ostatnie słowa Crosby'ego oznaczały, że poprzednie obawy były raczej nieuzasadnione.

- Może pan pułkownik powie mi, o kogo chodzi. Kto wie, a nuż zmam tego człowieka.

Nerwy miał napięte jak postronki. Teraz, teraz wszystko się stanie jasne.

- Nazwisko? - zastanowił się Crosby. - Zresztą ma pan rację. Chodzi mi o niejakiego doktora Fukudę.

Fukuda udał, że się zastanawia. Zmarszczył czoło.

- Fukuda - powiedział w zamyśleniu - Fukuda. Zdaje mi się, że...

- Co? - pułkownik zerwał się na równe nogi i całym ciężarem oparł się o biurko. Zdawało się, że oczy mu wyskoczą z orbit.- Co, zna go pan?

- Zdaje mi się, że spotykałem tego człowieka.

- Kiedy? Po wojnie? - ochryłym głosem zapytał pułkownik.

- Zaraz, zaraz muszę sobie przypomnieć... No tak, po wojnie. Nawet nie dawno - uderzył się dłonią w czoło. - Już mam. To było może miesiąc temu. Spotkałem go...

- Gdzie? - Crosby aż usiadł z wrażenia.

- W Osace. Tak, na pewno. Rozmawialiśmy nawet o sprawach zawodowych. Mówiliśmy dość krótko. Niestety nie podał mi adresu. Wspomniał jedynie, że mieszka stale w Osace. Więcej go nie spotykałem.

Pułkownik wyskoczył zza biurka i chwycił Fukudę za rękę.

- Dziękuję panu, doktorze. Nie zdaje pan sobie nawet sprawy z tego, jak wielką przysługę mi pan oddał. Nigdy panu tego nie zapomnę.

Fukuda roześmiał się beztrasko.

- Ale panie pułkowniku. To drobiazg. Jeżeli spotkam kolegę Fukudę, nie omieszkam mu powiedzieć, że pan chce go zobaczyć.

- Nie, nie - Crosby zamachał rękami - to niepotrzebne. Sam go teraz odnajdę - syknął. - To ma być niespodzianka. A teraz jeszcze raz panu dziękuję. Przepustkę dla pana będzie jutro rano miał porucznik Rooge.

Fukuda nie oglądając się wyszedł. Śpieszył się, by jak najprędzej wyjść z tego domu. Czegoś podobnego nie oczekiwał. Ten pułkownik wcale nie należy do najmądrzejszych. Chociaż... To też jest system. Ma przecież pełne prawo oczekiwać, że ktoś z lekarzy zna Fukudę i wskaże mu jego miejsce pobytu. Nie jego wina, że Fukuda nie występuje pod własnym nazwiskiem i że pytanie zadał samemu Fukudzie.

Musi to opowiedzieć Tanimie. Uśmieje się do rozpuku. Ruszył Szybkimi krokami do domu. Tanima obiecała na niego

czekać, Biegł po schodach przesadzając po dwa stopnie. Czuł się jak uczeń, który spłatał profesorowi doskonały kawał.

Otworzył drzwi i zdumiał się. W pokoju zamiast Tanimy siedział sekretarz. Ucieszył się. Nie widzieli się przecież trzeci tydzień.

- Jesteś już? Nie udało się, co? - zapytał sekretarz.

- Zależy co - roześmiał się Fukuda. - Jedno mi się nie udało. Rooge pojedzie ze mną dopiero jutro. Ale udało mi się inna rzecz. Powiadam ci, wspaniała historia.

Z ożywieniem, gestykułując i śmiejąc się opowiedział sekretarzowi o qui pro quo, jakie miało miejsce u Crosby'ego. Sekretarz śmiał się razem z nim.

- Całkiem jak na filmie - stwierdził sekretarz wysłuchawszy do końca. - Ale to nic nie znaczy. Musisz pamiętać, że twoich śladów szuka nie jeden wilk, lecz kilka. Oszukałeś jednego, a pozostali? Pamiętaj, Takeo, że Kanadzaws wprawi w ruch całą policyjną maszynę.

Fukuda rozejrzał się po pokoju.

- Nie widziałeś Tanimy? Obiecała zaczekać na mnie. Twarz sekretarza pokryła się chmurą.

- Widziałem. Musiała odejść.

- Dokąd? - zdziwił się Fukuda. - Nic mi nie mówiła. Spojrzał na sekretarza i zamilkł. Potem cichym, przygaszonym głosem zapytał:

- Stało się coś?

Sekretarz zaprzeczył kiwnięciem głowy.

- Na razie nic. Trzeba się jednak liczyć z tym, że coś się może stać. Dlatego musimy zachować najdalej idącą ostrożność.

- Ale o co chodzi?

- Tanima szła dziś ulicą. Z rana. I nagle zobaczyła Kosuka. Rozumiesz? Kosuke zamiast przejść obok niej obojętnie, zaczął

z nią rozmawiać i wypytywać. Zapomniał, że go śledzą. Porozmawiali sobie i rozeszli się. Całe szczęście, że Tanima jest ostrożna i spostrzegawcza. W pewnej chwili wydało jej się, że ją obserwują. Rozejrzała się i zaczęła spacerować. I przez cały czas szedł za nią jakiś człowiek.

- Zatrzymano ją? - przerwał gorączkowo Fukuda.

- Nie. Daj mi skończyć - uśmiechnął się przyjaźnie sekretarz. - Widzę, że źle zrobiliśmy przechowując cię u Tanimy. Za bardzo się nią interesujesz.

Fukuda zaczerwienił się.

- To wcale...

- Potem będziesz się tłumaczył. Na razie wysłuchaj do końca. Tanima widząc, że jest śledzona, zatelefonowała do mnie i uprzedziła mnie o tym. Sam rozumiesz, że nie mogła już wrócić do tego mieszkania. Przyszedłem tu tylko dlatego. Obawiamy się, że ten dom, jeśli Tanima tu wróci, będzie pod obserwacją. Kto wie, może już jest obstawiony. Mogli cię widzieć w jej towarzystwie i teraz zaczną się interesować twoją osobą. Na wszelki wypadek będziesz dziś nocował gdzie indziej.

- A Tanima?

- Nie bądź nudny. Tanima nie zginie. Przeżyjesz jeden dzień nie widząc jej. Lepiej słuchaj uważnie. W jakiś kwadrans po moim wyjściu zejdiesz na dół. Twoje papiery, wszystkie, jakie potrzebujesz, daj mnie. Zejdiesz na dół i od razu za rogiem zobaczysz taksówkę. Zapamiętaj numer 117206. Będziesz pamiętał?

- Tak.

- Wsiądziesz do tej taksówki. Już ona cię zawiezie na miejsce, gdzie masz siedzieć do jutra, zanim nie będziesz musiał iść do Rooge'a, żebyś mi się nie ważył wyjść na krok z domu. Pamiętaj, że tu nie o ciebie teraz chodzi, ale o sprawę.

- Nie wyjdę. Daję ci słowo.

- To dobrze. Z rana przyjedzie po ciebie inna taksówka. Sam nie pamiętam numeru. Zresztą poznasz szofera. Jeżeli pojedziecie z Roogem do tej przekłętej fabryki śmierci, musisz się postarać wrócić z nim przed gmach dowództwa. Tam wysiądziesz i znów będzie na ciebie czekał jakiś nasz samochód. Podobnie zresztą jak dziś. Zawiezie cię prosto do miejsca, gdzie będę już ja i jeszcze kilku towarzyszy. Napijemy wszystko do gazety i odwieziemy ciebie do portu.

- Po co? - wybuchnął Fukuda.

- Bo tak chce partia - rzucił twardo sekretarz. - Skoro możemy ocalić ci życie i wywieźć gdzieś, to musisz słuchać polecenia partii. Rozumiesz?

- Tak.

Sekretarz doszedł do Fukudy i objął go.

- Nie martw się, Takeo. Zobaczysz - uśmiechnął się - my ci krzywdy nie zrobimy. Jeszcze nam będziesz dziękował za ten wyjazd. Pojedziesz do Chin.

- Do Chin? - Fukuda ucieszył się, ale od razu znów spochmurniał. - A po co?

- Dowiesz się jutro. A teraz pamiętaj o wszystkim. Do zobaczenia. Wiedz, że od ciebie zależy powodzenie.

Uścisnęli sobie po męsku ręce.

Fukuda został sam. Przeszedł do drugiego pokoju. To było jego mieszkanie przez ostatnie trzy tygodnie. Mieszkanie, w którym znalazł nie tylko schronienie, lecz także dziewczynę, ukochaną dziewczynę. A teraz miał się rozstać zarówno z tym pokojem, jak i z nią.

Wrócił do pierwszego pokoju. Na biurku leżała otwarta rosyjska książka. Wczoraj wieczorem Fukuda czytał z niej i tłumaczył, a Tanima z miną surowej nauczycielki strofowała

go za błędy, poprawiała wymowę i gniewała się, kiedy zamiast w książkę spoglądał jej w oczy,

Zauważył na ścianie fotografię. Wyjął ją z ramki i schował do wewnętrznej kieszeni. Niech mu przynajmniej zostanie jej podobizna.

Spojrzał na zegarek. Jak ten czas leci. Kwadrans upłynął.

- Notowarzyszu Fukuda dość tych sentymentalnych rozmyślań - powiedział do siebie półgłosem. - Czeka was rozwiązanie bardzo trudnego zagadnienia. Na osobiste sprawy przyjdzie czas potem.

Powoli schodził ze schodów. Na ulicy rozejrzał się. Dotychczas nigdy nie stykał się z agentami policji. Coś mu jednak podpowiedziało, że oglądający witrynę sklepu po przeciwnej stronie ulicy zamiast na wystawę patrzy na niego. Przyjrzał się tamtemu z zainteresowaniem. Eh, chyba mu się przywidziało. Człowiek przy witrynie, prześliznął się po nim obojętnym spojrzeniem. „Stałem się naprawdę zbyt nerwowy” - pomyślał z niezadowoleniem i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Taksówka czekała za rogiem. Wsiadając machinalnie obejrzał się. Tamten człowiek nie stał już przy sklepie, ale na brzegu chodnika i wymachując ręką usiłował zatrzymać przejeżdżające samochody.

Fukuda zatrzasnął drzwiczki.

- Jedziemy. I to jak najprędzej. Ktoś mnie śledzi. Szofer spojrzał nań z zainteresowaniem,

- Zauważyliście coś?

- Zdaje mi się, że tak.

- Hm - mruknął szofer - to niedobrze. Mógł zapamiętać numer. Musimy zmienić taksówkę.

Wyjechali na ożywioną ulicę. Szofer zatrzymał się przy postoju.

- Czekaście - rzucił i wyskoczył z taksówki.

Zanim Fukuda zdążył się zorientować, ujrzał obok swojego samochodu taksówkę, w której siedział ten sam szofer.

- Przesiadka, towarzyszu. Tylko raz, dwa, żeby nikt się nie zorientował. - Ruszył z miejsca. Musimy teraz trochę polatać po mieście, żeby żaden szpik nas nie mógł wypatrzeć. A wy, towarzyszu, obserwujcie przez okno, czy jakiś wóz nas nie ściga.

Kluczyli tak przeszło pół godziny. Fukuda spoglądał przez szybę w tyle samochodu, ale żadne auto za nimi nie jechało. Widocznie tajniak, który go śledził, zgubił ślad. Interesowało go w tej chwili, czy obserwowany był od dawna, czy też dopiero od dziś w związku z tym, co mówił mu sekretarz o Tanimie. Zastanawiał się. Nie, to chyba niemożliwe. Skoro zaczęto Tanimę śledzić dopiero od rana, to nie mogli przecież jeszcze wpaść na jego trop. Pozostaje więc jedno z dwojga: albo śledzono go już dłuższy czas, albo ktoś ze szpiclów musiał go poznać przypadkowo. Tylko w jaki sposób? Zaklął w duchu. Przez takiego jednego agenta mógł się rozbić cały, mozolnie skonstruowany i realizowany plan wykrycia fabryki śmierci. Że też ten przeklęty Rooge musiał wyjechać właśnie dziś. Gdyby nie ta nieoczekiwana przeszkoda, nie musiałyby się teraz martwić o jakiegoś nędznego szpicla. Mogliby go nawet aresztować. Tajemnica zbrodni przestałaby przecież być tajemnicą.

Samochód gwałtownie stanął. Zatrzymali się na uliczce dość odludnej. Na jezdni bawiły się usmolone, zaniedbane dzieci. Domki po obu stronach przypominały rudery. Znał ten widok. Typowa dzielnica robotnicza.

- Wysiadka, towarzyszu - powiedział szofer. - W tym domku - wskazał palcem jedną z ruder - przeczekacie do jutra. Teraz was zaprowadzę. Tu mieszka mój brat.

Weszli do niskiej izby. Uderzył ich w nozdrza zapach przegniłej suszonej ryby. Nędza wyzierała z każdego kąta. Dwoje dzieci, siedząc w kucki w kącie, na strzępach maty, spoglądało na Fukudę z zainteresowaniem, pomieszanym ze strachem.

Do izby weszła kobieta. Szofer przywitał się z nią i coś jej powiedział do ucha.

- To żona mojego brata - wyjaśnił szofer i z zażenowaniem dodał: - Nie będzie tu zbyt wygodnie, towarzyszu. Wiadomo, co to bieda. Ale strachu nie ma nijakiego. Nikt was tu nie znajdzie. No czas na mnie - oświadczył podając Fukudzie rękę.
- Mieszkam tu obok, dlatego i taksówka nie zwróci niczyjej uwagi. Jutro przed dziesiątą po was przyjadę.

XIII

Kanadzawa wpada na trop

W tym czasie kiedy Fukuda opowiadał sekretarzowi o tym, jak wyprowadził w pole pułkownika Crosby, generał Kanadzawa kwaśnym uśmiechem wysłuchiwał zakomunikowanej przez telefon sensacji o tym, że Crosby wpadł na ślad Fukudy. Zgodnie z osobiście uzyskanymi informacjami - Crosby podkreślił to z naciskiem - od miarodajnego człowieka. Fukuda po wojnie osiedlił się w Osace. Crosby chwalił się Kanadzawie, że pchnął sprawę z miejsca. Wydał już odpowiednie zlecenie Riusi. Jego zdaniem schwytanie Fukudy było już teraz kwestią dni.

Kanadzawa słuchał tego zirytowany. Odłożył słuchawkę w bardzo złym nastroju. Jeżeli Crosby wpadł na właściwy ślad, to wszystkie rachuby Kanadzawy muszą zawieść. Nie będzie mógł tak jak tego pragnął, oddać Fukudy w ręce Smuthersa i postawić mu w zamian pewne żądania.

Generałowi nie brakło powodów do irytacji. Nakawa wprawdzie wrócił, ale rezultaty poszukiwań jego ludzi były niewspółmierne z wysiłkami. Kanadzawa miał przed sobą opinię eksperta, że żadne odciski przywiezione z Kobe nie są identyczne z odciskami poszukiwanego człowieka. Niewątpliwie ludzie Nakawy mogli przywieźć - mimo solenne zapewnienia - nie wszystkie odciski. Zdawał sobie sprawę z trudności tego rodzaju przedsięwzięcia. Miał jednak zaufanie do swego najlepszego agenta, który w takich sprawach wykazywał iście psi węch.

Wczoraj wieczorem otrzymawszy odciski był bardzo zajęty i nie miał czasu rozmawiać z Nakawą. Teraz ciekaw był ustnego raportu. Być może, że Nakawa coś gdzieś słyszał, ale

nadzieje na to były prawie że nieuzasadnione. Rachuby na odnalezienie śladu Fukudy w Kobe zawiodły.

Kanadzawa zabębnił palcami o stół. Nie tylko Nakawa wrócił z niczym, intensywne poszukiwania w innych miastach też nie przyniosły żadnych wyników. Agenci zaopatrzeni w odbitki fotografii Fukudy nigdzie nie znaleźli śladu bytności tego człowieka. Coś podobnego zdarzało się groźnemu żandarmowi po raz pierwszy. Zdawał sobie sprawę, że ująć Fukudę, tego spryciarza, który już dwakroć umykał policji, nie będzie łatwym zadaniem. Fukuda miał gdzieś zamieszkać pod przybranym nazwiskiem, może nawet zmienił zawód. Ale żeby tak się zakonspirować!

Zmarszczył czoło. Nie wątpił, że w tej chwili Fukuda jest gdzieś blisko i stara się wysledzić tajemnicę, tak usilnie ukrywaną przez Amerykanów nawet przed nim. Wprawdzie Smuthers napomykał podczas ostatniego spotkania, iż obawia się, by Fukuda nie zdobył cennych i ważnych tajemnic wojskowych, ale powiedział to w tak zawołowanej formie, że trudno było domyśleć się o jakiego typu tajemnicę chodzi. Kanadzawa był pewien, że jego teza o amerykańskich badaniach bakteriologicznych jest uzasadniona. Nie miał jednak żadnych konkretnych dowodów, a to przeszkadzało mu w realizacji jego własnych planów.

Wyciągnął z szuflady kopertę z kilku gęsto zapisanymi arkusikami papieru, tu jest jego plan. Nikt przecież nie musi wiedzieć, jakimi sposobami zdobył te notatki. Ważna była jedynie ich treść, przedstawiająca wartość milionów. Miał przed sobą własnoręczne notatki generała Isii, spisane już w ostatnich dniach wojny, poświęcone ulepszeniu masowej produkcji bakterii i udoskonaleniu bomby bakteriologicznej. Za te notatki mógłby wydębić od Amerykanów miliony dolarów. Do tego potrzebny mu był jednak Fukuda, On musi

go mieć w swoich rękach przynajmniej na kilka godzin, zanim zaczną go badać Amerykanie. Musi dowiedzieć się od niego, w jakiej fazie znajdują się ich badania i kto nimi kieruje. Mógłby wprawdzie udać się z tym do Smuthersa, ale wtedy trzeba będzie podzielić się z nim zyskiem. Zresztą nie orientował się w roli, jaką odgrywał Smuthers w tej sprawie. Zbyt dobrze jednak znał amerykańskich oficerów, by wierzyć w ich bezinteresowność nawet w służbie...

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Kanadzawa pośpiesznie schował notatki i dopiero wtedy zawołał:

- Wejść.

Zameldowano mu, że czeka na przyjęcie człowiek nazwiskiem Nakawa.

- Niech wejdzie - oświadczył generał.

Przyjął swego agenta z groźną miną. Obrzucił go stekiem wymysłów i grózb.

- Jesteś łajdakiem i twoi ludzie to łajdacy. Włączyliście się po spelunkach, z pewnością hulaliście z dziwkami, a o robocie nikt z was nie pomyślał.

- Ależ panie - usiłował bronić się przerażony Nakawa. Generał nie dał mu jednak dojść do słowa. Długo i soczyście kłął. Musiał na kimś wyładować swoją wściekłość, swój bezsilny gniew za to, że złudne projekty mogą się rozwiązać niczym dym.

Umilkł wreszcie zmęczony. Nie zwracając uwagi na agenta doszedł do okna. Widział, jak w dole, chodnikami i jezdnią płyną samochody, przechodzą ludzie. Kurczowo zacisnął palce na firance, aż się napięła. Tam, jednym z tych bezimiennych przechodniów mógł być Fukuda, człowiek, który złośliwie wymykał się z jego rąk, stawał w poprzek wspaniałym projektem - drodze do sławy, zaszczytów, bogactwa.

Obejrzał się. Nakawa siedział wciągnąwszy głowę między ramiona. Na jego tępej, bezmyślnej twarzy malował się przestach.

Z całej historii gotów jeszcze zapomnieć, co widział i słyszał w Kobe - pomyślał Kanadzawa - i wrócił na swój fotel.

- No, Nakawa, jeszcześ mi nie złożył raportu - powiedział cicho.

Agent chwilę siedział jak otępiały. Potem w oczach jego ukazał się błysk jakiejś myśli.

- Czy mogę mówić, panie? - zapytał wstając i złożył uroczysty ukłon.

Kanadzawa fuknął z gniewu,

- A coś myślał, że kazałem ci przyjść, aby spojrzeć na twoją twarz? Mów, dokładnie, o wszystkim, co ty i twoi ludzie widzieli lub słyszeli.

Nakawa usiadł. Ręce złożył na kolanach i schyliwszy głowę zaczął mówić cichym, monotonnym głosem;

- W Kobe, panie, było ciężko, bardzo ciężko. Pierwsze kilka dni chodził każdy z nas szukać adresów lekarzy. Było bardzo ciężko, bo wszystko się jakoś pomieszało. Nikt nic nie wiedział. Potem - zaczął mówić prędzej, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy generała - udawaliśmy wszyscy chorych i chodziliśmy do tych lekarzy. Błagaliśmy ich o lekarstwa. Widziałeś panie, ile recept ci przywiozłem. Na każdej pozostawały przecież odcinki palców.

- Mówisz, że byliście u wszystkich lekarzy, o jakich ci mówiłem, dlaczego więc nie ma wśród przywiezionych recept, odcisków palców tego, kogo szukam? Wiem, że mieszka on w Kobe.

Nakawa złożył ręce w geście przysięgi.

- Byliśmy u wszystkich, panie. To już nie nasza wina. Ale - przysunął się bliżej do biurka - mam dla ciebie coś innego niż receptę z odciskami palców.

- Co? - zerwał się generał.

- Zaraz opowiem wszystko - skłonił się Nakawa. - Chodząc od szpitala do szpitala dowiedziałem się w jednym z nich, że przed miesiącem, albo trochę dawniej, znikł ich pracownik. Lekarz. Miał przyjść do pracy i nie przyszedł. Czekali nań tydzień, potem posłali do niego do domu sanitariusza. Okazało się, że dom jego był zamknięty. I lekarz nie wrócił już więcej do pracy.

Twarz generała mówiła, że jest bardzo zainteresowany opowiadaniem agenta. Przebierał palcami po stole i z napięciem spoglądał na Nakawę, nie przerywając mu.

- Zacząłem szukać tego lekarza na własną rękę. Dowiedziałem się o nim wiele ciekawych rzeczy. Poszedłem do niego, udając jego przyjaciela. Sąsiedzi, których pytałem, co się z nim stało, musieli go bardzo lubić. Zachwycali się dobrocią tego człowieka. Mówili mi, że był komunistą...

Generał nerwowo zabębnił palcami o kruchą porcelanę pustej filiżanki.

- Tak, panie, komunistą - powtórzył z naciskiem Nakawa. - To wzmogło moje zainteresowanie. Udałem starego towarzysza, który nie widział doktora kilka lat. Sąsiad, który mi o nim opowiadał, to bardzo miły człowiek, pracuje na kolei. Otóż ten doktor był jakimś uczonym i wciąż opowiadał ludziom, że szuka lekarstwa, które zabija dżumę. A dżuma, panie, to straszna choroba. Gniew boży. Ale ten doktor nie tylko szukał lekarstwa. On leczył wszystkich komunistów w okolicy. Kanadzawa syknął niecierpliwie.

- Już kończę, panie - oświadczył pośpiesznie Nakawa. - Pomyślałem sobie, to bardzo ciekawy doktor. Komunista nagle

znika na miesiąc z miasta i nikt nic o nim nie wie?! W nocy wybrałem się do niego w odwiedziny. Ale w mieszkaniu nie znalazłem nic, co by zasługiwało na uwagę.

Generał zatrząsł się z oburzenia.

- Idioto, trzeba było przywieźć coś z jego biurka. Jakiś papier, notatki, nóż do książek... Przecież tam musiały być jakieś ślady.

- Zaraz ci powiem, panie - uśmiechnął się Nakawa. - Tam mogły być ślady palców może dziesięciu, może dwudziestu, a może Stu ludzi. Na co by ci się to przydało? Zamiast tego poszedłem znów do szpitala. Powiedziałem, że ten doktor jest synem mojej siostry i bardzo chcę go odnaleźć, ale widziałem go ostatni raz, kiedy był małym chłopcem. Zacząłem prosić, by mi pokazano jego fotografię. - Triumfalnym gestem sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niewielki skrawek kartonu. - Oto ona.

Kanadzawa zerwał się. Palcami, zakrzywionymi na kształt szponów, uchwycił fotografię i wpił się w nią rozszerzonymi źrenicami. Oglądał ją długo, w milczeniu. Otworzył szufladę i wyciągnął z niej taśmę papieru, na której na samej górze, przyklepiona była fotografia Fukudy w mundurze podporucznika. Kilka chwil porównywał obie fotografie i na twarzy jego zaczął rozpląwać się obleśny uśmiezek.

- Chodź tu, Nakawa. Popatrz. Ten sam człowiek? Nakawa stanął za generałem i wyciągając szyję zajrzał mu przez ramię.

- Ten sam - mruknął - chyba ten sam. Ale się bardzo zmienił. Wygląda jak starszy brat tego tu - wskazał palcem młodzieńczego Fukudę w mundurze.

- Ten sam, Nakawa, ten sam - zarechotał generał. - Teraz mi już nie umknie - mruzczał pod nosem. - Chwycę cię, doktorze Fukuda, chwycę i tymi oto rękami wydrę ci z gardła wszystkie twoje tajemnice.

Opamiętał się. Nakawa stał obok milczący i pokorny. Generał poklepał go po ramieniu.

- Zuch jesteś. Dostaniesz za to nagrodę.

Nakawa skłonił się głęboko.

- Ale jeszcze nie teraz. Wpierw muszę tego doktorka mieć tu, w tym pokoju. Rozumiesz?

Nacisnął dzwonek. Wszedł oficer i wyprężył się w drzwiach na baczność.

- Weźcie to - zawołał generał wyciągając rękę, w której trzymał przywiezioną przez Nakawę fotografię - i odnieście do fotografa. Za pół godziny muszę mieć jakieś pięćdziesiąt albo i więcej odbitek. Jeżeli nie zrobi na czas, Urwę mu głupi łeb. Zrozumiano? Dopilnować wykonania.

Oficer wyszedł. Kanadzawa przeszedł się po pokoju. Apatia, gniew i zniechęcenie minęły bez śladu. Czuł się jak wyżeł, który nieoczekiwanie, już zrezygnowawszy ze wszystkiego, wpadł na trop ściganej zwierzyny. Widział już oczami wyobraźni Fukudę złamanego, opowiadającego w tym właśnie pokoju wszystko, cc wie. Wyobrażał sobie minę Crosby'ego, kiedy powie mu: „Może pan, pułkowniku, odebrać aresztowanego Fukudę. Przed chwilą skończyłem wstępne badanie”. Crosby pęknie z zazdrości. Ale tu nie o to chodzi. Ważne jest, że on, Kanadzawa, znajdzie wreszcie możliwość łatwej, dokonanej bez ryzyka sprzedaży notatek Isii. Generał zacierając ręce stał przy biurku i uśmiechał się do własnych myśli.

Wreszcie przypomniał sobie, że nie jest w pokoju sam. Usiadł, a potem wskazał miejsce Nakawie.

- Musimy teraz mądrze działać, Nakawa, a nie minie cię sowita nagroda. Słyszałeś, że kazałem przygotować zaraz odbitki tej fotografii. Zbierzesz wszystkich swoich ludzi, rozdasz im te odbitki i każesz szukać Rozumiesz? Niech staną

na głowie, niech umrą, ale tego doktora musicie znaleźć. On jest teraz tu, w Tokio.

- O panie - jęknął Nakawa. - Jakże można znaleźć w Tokio człowieka. Łatwiej chyba dobrać dwa takie same ziarnka piachu z morskiego dna.

- Nie lamentuj, Nakawa. Nie będziesz go szukał sam. Cała policja będzie go tropiła. Bez wątpienia. Wiesz przecież, że trzeba go szukać w pobliżu komunistów. Nie pierwszy raz daję ci taką robotę.

Nakawa jednak nie ustępował. Zapewniał swego szefa, że nie jest w stanie podjąć się takiego zadania. Przekonała go wreszcie zaliczka na poczet przyszłej nagrody. Oczy mu się świeciły, gdy, chował szeleszczące banknoty do kieszeni. Widocznie cały jego upór miał na celu wyłudzenie pieniędzy.

- A teraz spiesz się. Tylko czekaj - przypomniał sobie nagle - jak...

Drzwi otworzyły się. Oficer doszedł do biurka i coś szepnął generałowi do ucha. Generał skinął głową.

- Już, już, tylko skończę. - Zwrócił się do Nakawy. - A jak nazywa się ten doktor, pod jakim nazwiskiem występował w Kobe? Zapomniałeś mi o tym powiedzieć.

- Sasaki, panie.

Generał zanotował nazwisko na skrawku papieru.

- Idź i pamiętaj. Im szybciej go znajdziesz, tym większa będzie nagroda.

Nakawa wyszedł. Od razu po nim wbiegł do gabinetu pułkownik Riusi. Był bardzo podniecony.

- Generale - wołał od progu. - Bardzo ważna wiadomość.

- Co się stało? - zaniepokoił się generał.

- Mój agent widział na ulicy Fukudę - wysapał Riusi. Kanadzawę poderwało z miejsca.

- Co? Masz go, Riusi?

- Nie, jeszcze nie. Dzwoniłem do pułkownika Crosby, ale nie mogłem go znaleźć. Podobno gdzieś wyszedł na konferencję. Ci Amerykanie - dodał z niezadowoleniem - wciąż mają jakieś konferencje. Przybiegłem więc tu, aby ucieszyć pana generała.

- Bardziej bym się cieszył, gdybyś mi tu sprowadził samego Fukudę.

Riusi, zapominając o obowiązujących przepisach, przerwał generałowi i zaczął powtarzać relacje agenta. W miarę opowiadania twarz Kanadzawy posępniała.

- Masz samych niedołęgów, Riusi - wybuchnął wreszcie. - Ten Fukuda gotów nam znów zniknąć z oczu na kilka tygodni. - Machnął rozgoryczony ręką. - Na szczęście mam tu - sięgnął po zdjęcie. - Obejrzyj to.

- To on? - zapytał szeptem Riusi, oglądając fotografię.

Skąd pan to ma, generale? - Patrzył na Kanadzawę zachwycony. - Przecież ta fotografia to skarb. - Generał uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Weź to i rozdaj swoim agentom. Niech węszą i szukają. Fukuda już dość długo spacerował na wolności, kpiąc z nas w żywe oczy. Musimy go mieć. Tylko jedno, Riusi - zawahał się przez chwilę. - Gdyby go twoi ludzie schwytali, daj mi o tym natychmiast znać. Mnie, rozumiesz, a nie pułkownikowi Crosby.

Riusi bez słowa skłonił głowę, na znak, że pojmuje. Zapadło milczenie. Przerwał je Riusi.

- Sądzę generale - oświadczył - że nie wystarczy jednak rozesłać agentów po mieście. Trzeba by się zabrać ostrzej. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy już poważne nici w rękę.

Generał zamyślił się.

- Masz rację. Trzeba zająć się tym Kosuke i tą dziewczyną, o której mi mówiłeś dziś rano. Zrozumiałeś? Trzeba ich

wybadać i wyciągnąć od nich wszystko, co wiedzą o Fukudzie. Zwłaszcza ten Kosuke może nam być pomocny.

- Trzeba go było wcześniej zaaresztować - mruknął Riusi. - Już byśmy dawno mieli Fukudę w swoich rękach.

Generał zaśmiał się kpiąco.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany, Riusi. Cóżbyś od niego wyciągnął. Przecież to komunista. Wątpię, czy i dziś co powie. Ale teraz przynajmniej mamy jakieś atuty, możemy go czymś zaskoczyć. Mam fotografię Fukudy i znam - uśmiechnął się - nazwisko, którego ostatnio używał. Zresztą dasz mi znać. Przyjdę, kiedy będziesz już miał tego szofera u siebie.

- A dziewczyna? - zapytał Riusi.

- Eh - generał pogardliwie wyduł wargi. - Ona z tym chyba nie ma nic wspólnego. A zresztą aresztujcie ją również.

XIV Wilczy obłąd

Agent, którego zauważył Fukuda, opuściwszy mieszkanie Tanimy, wpadł na jego ślad całkiem przypadkowo. Kiedy z rana doniesiono pułkownikowi Riusi, że ze śledzonym szoferem Kosuke rozmawiała na ulicy jakaś dziewczyna, znana jako komunistyczna działaczka, przy czym rozmowa miała dość podejrzany charakter, pułkownik zarządził obserwację Tanimy. W kartotekach prowadzonych przez policję na wzór przedwojennych, kiedy partia była nielegalna, a za należenie do niej płacono nieraz życiem, odnaleziono dość szybko adres rozpoznanej dziewczyny. Jednemu z agentów, który znajdował się w gmachu prefektury, polecono udać się czym prędzej na miejsce i pilnować mieszkania Tanimy. Przypadkowo wybór padł na szpicla, który podczas pamiętnej demonstracji był na Placu Cesarskim.

Szpicel zajął wygodne stanowisko obserwacyjne po przeciwległej stronie ulicy i zaczął się przechadzać. Ruch był dość duży, nie zwracał na siebie uwagi. W pewnej chwili dostrzegł, że z domu, w którym mieszkała dziewczyna, wyszedł znany mu z widzenia działacz partyjny. Szpicel denerwował się. Nie przypuszczał, by mógł przeoczyć wejście tego człowieka do domu. Oznaczało to, że dziewczyna, którą śledził, musiała zmylić pogoń i wrócić do mieszkania, zanim on zjawił się na posterunku. Obserwując w oknie wystawowym wejście do domu Tanimy zastanawiał się nad tym, co ma robić. Wydało mu się że, najśluszniej byłoby zatelefonować do prefektury i zawiadomić przełożonych o swoich spostrzeżeniach. Już miał zamiar to uczynić z pobliskiej rozmównicy ulicznej, gdy ujrzał jakiegoś człowieka wychodzącego z

tamtego domu. Twarz wydała mu się znajoma, nie mógł jej jednak sobie przypomnieć. Tamten szedł szybkim krokiem do rogu. Coś tknęło szpicla i ruszył za nim. Kiedy tamten obejrzał się, szpicel drgnął. Już wiedział. To był ten sam człowiek który przemawiał na demonstracji, ten, którego od tyłu tygodni poszukiwano bezskutecznie. Szpicel zachłysnął się wizją triumfu. On będzie tym który ujmie poszukiwanego, on otrzyma za to sowitą premię obiecaną przez pułkownika Riusi.

W tej samej chwili ujrzany przypadkowo człowiek wsiadł do taksówki. Pod szpiclem zatrzęsły się nogi. Wyskoczył na jezdnię i wymachując jak opętany rękami usiłował zatrzymać jakiś przejeżdżający wóz. Te jednak, jakby kpiąc sobie z niego, przelatywały obok. Taksówka skryła się już w sznurze aut - a wraz z nią znikła nadzieja na awans, premię... Szpicel postanowił jednak nie dać za wygraną. Pobiegł przed siebie, wciąż wymachując rękami w stronę przejeżdżających wozów. Wreszcie znalazła się pusta taksówka. Kazał szoferowi skręcić w ulicę, w którą wjechała taksówka z tamtym człowiekiem. Kiedy mijali postój, zobaczył poszukiwany wóz. Nie na próżno tyle lat pracował w policji. Numer widziany za ledwie przez mgnienie oka, wrył mu się dobrze w pamięć.

Wysiadł i zaczął wypytywać siedzącego w samochodzie kierowcę, co się stało z pasażerem. Kierowca zdziwił się niepomiernie. Pasażer? Dałby Bóg jakiego pasażera, zaczął narzekać. Czasy takie marne, że rzadko ktoś się trafi z amatorów drogiego środka lokomocji. Od godziny stoi tu i żadnego pasażera nie widział na oczy, Szpicel jednak nie ustępował, coś mówiło mu, że szofer kłamie. Zapamiętał doskonale numer wozu. Widząc, że nic nie wyciągnie z kierowcy, wprawnym ruchem pokazał mu znaczek i zagroził aresztowaniem. Szofer zmienił taktykę. Oświadczył, że owszem, stał na tamtej ulicy, i wziął pasażera. To był bardzo

dziwny pasażer. Wciąż denerwował się i przynaglał go, chociaż on, jako znający przepisy szofer, wcale nie miał zamiaru przekraczać dozwolonej szybkości. Pasażer zwymyślał go za to i tu właśnie, w tym miejscu wysiadł. Taki bezczelny gość. Zwymyślać szofera za to, że trzyma się przepisów.

- O, gdybym wiedział, że tego ptaszka poszukuje sam pan naczelnik - wołał z oburzeniem - zawiózłbym go prosto do policji.

Pokazał szpiclowi kierunek, w którym zbiegł ów pasażer. Agent pojął, że nic więcej nie wskóra. Zrezygnowany powlókł się wrotni na swoje miejsce. I tu przypomniał sobie, że opuścił posterunek obserwacyjny bez zezwolenia, nie postawiwszy nikogo na zmianę.

Zatelefonował do prefektury i w kilku słowach opowiedział pułkownikowi Riusi o całym wydarzeniu.

W kilkanaście minut potem policja wkroczyła do mieszkania Tanimy. Właścicielki nie znaleziono. Nieszczęsny agent dowiedziawszy się o tym zbladł. W obawie, by nie posądzono, iż Tanima wymknęła się wówczas, gdy gonił tamtego człowieka, zaklął się pułkownikowi Riusi, że nie opuszczał posterunku. Ściągnął na siebie jeszcze większe gromy.

Riusi dostał ataku szału. Wymachując trzcina i pięściami przed nosem przerażonego agenta krzyczał:

- Miałeś go w ręku, psie, i wypuściłeś. Pójdiesz za to pod sąd! Trzeba było go schwytać, choćbyś miał przy tym zdechnąć.

Przerażony szpicel żałował teraz gorzko, iż nie powiedział prawdy, ale nie mógł zmienić swego meldunku. Naraziłby się na jeszcze straszliwszy gniew.

Rewizja u Tanimy też nie dała żadnych rezultatów. Wszystko to jednak Riusi podczas swej bytności u Kanadzawy przemilczał. Dwa przykre zawody w ciągu jednego przedpołudnia - to za dużo jak na wysokiego oficera policji cesarskiej. Zresztą wolał nie drażnić generała przykrymi wiadomościami.

Wróciwszy do siebie Riusi wezwał najzdolniejszych agentów i rozdał im otrzymane od Kanadzawy fotografie. Wygłosił krótkie przemówienie, w którym zapowiedział, iż ten, kto sprowadzi Fukudę, otrzyma wysoką nagrodę, dwakroć wyższą od tej, jaką obiecywał przedtem. Agenci rozbiegli się, jak sfera zgłodniałych psów.

Teraz Riusi wydał odpowiednie rozkazy w sprawie ujęcia Kosuke. To nie nastroczało zbyt wielkich trudności. Na wszelki wypadek, wiedząc, że Tanima jest w tej chwili nieuchwytna, zarządził aresztowanie jeszcze kilku ludzi, którzy spotykali się z Kosuke.

Odbierający rozkaz porucznik zawahał się przez chwilę. Trzeba przecież mieć jakiś pretekst, dla aresztowania tych ludzi. Japonia jest krajem praworządnym i nie można pakować człowieka ja kratki bez żadnego powodu.

Riusi znów wybuchnął.

- Powód? Praworządność? - ryczał jak raniony byk. - My jesteśmy praworządnością! My jesteśmy powodem! Kazałem aresztować i koniec. A powód sam pan wymyśl. Kiedy byłem w pańskim wieku, poruczniku, wykonywałem rozkazy przełożonych bez dyskusji. Jak mi kazano aresztować pięćdziesięciu ludzi, aresztowałem i koniec. A pan mnie pyta o powód. Sam pan znajdź pretekst. Od tego pan tu jest.

Porucznik w pośpiechu opuścił gabinet szefa, ale na twarzy pułkownika Riusi długo jeszcze widniały krwistofioletowe wypieki.

*

W powietrzu unosił się kurz. Wdzierał się do oczu, do nosa, gryzł i drażnił krtań.

- Mogliby przynajmniej polać ulice w taki żar - mruknął Kosuke, wysiadając z samochodu.

Postanowił napić się choć odrobinę wody. Zatrzymał się obok przekupnia, wrzaskliwym głosem napełniającego całą ulicę. Kilkanaście osób tłoczyło się dokoła wiader wyciągając przed siebie dłonie, z zaciśniętymi w palcach monetami. Kosuke wcisnął się w tę cizbę. Śpieszyło mu się.

Poczuł nagle, że ktoś go szarpie za rękę, i jednocześnie usłyszał za plecami czyjś głos.

- Co za bydlę, pcha się i potrąca ludzi.

Obejrzał się zdziwiony. Za nim stał jakiś człowiek i krzyczał wniebogłose. Kosuke wzruszył ramionami i odwrócił się do przekupnia, usiłując wepchnąć mu pieniądze. Krzyk za plecami nie ustawał.

- Widzicie go, bije po twarzy spokojnych ludzi i nawet nie przeprosi.

Ktoś rzucił jakąś uwagę, ktoś zaczął ubolewać nad upadkiem obyczajów. Krzykacz znów szarpnął Kosuke za plecy.

- Ty chamie, jak śmiałeś mnie uderzyć? - wołał. - Mnie, spokojnego człowieka, który w milczeniu czeka, aż kropla wody zwilży mu spierzchnięte wargi.

Kosuke stracił rękę natręta i gniewnie fuknął:

- Odczep się i nie krzycz. Nikogo nie ruszałem. Wynoś się.

- Widzicie go ludzie, jeszcze się pcha - zawodził człowiek. - I jeszcze grozi. Rękami wymachuje. Chce się bić. Chce mnie bić.

Ktoś rzucił uwagę:

- Sam wymachujesz rękami. Nikt cię nie bije.

Ale wokół przekupnia mnożyła się liczba ciekawskich. Każdy chciał zobaczyć, co się dzieje, skąd i dlaczego podniósł się krzyk.

- Uderzył mnie, dobrzy ludzie, uderzył - krzyczał człowiek zwracając się do wciąż rosnącego tłumu. - Ten cham - palcem wskazywał Kosuke - mnie uderzył. I groził mi.

- Oddaj mu pan.

- Z nawiązką.

- Co za świństwo bić człowieka.

Ze wszystkich stron sypały się uwagi, przycinki, rady. Jakiś człowiek głośno narzekał na policję, której wtedy, kiedy jest potrzebna, nie można znaleźć.

Kosuke początkowo chciał wybuchnąć gniewem, ale usłyszawszy słowo „policja” postanowił wycofać się z tej awantury. Usiłował się wydostać z tłumu.

Krzykacz nie dawał jednak za wygraną.

- Widzicie ludzie, uderzył mnie w twarz - wołał z płaczącą miną - a teraz chce uciec! Gdzie policja? Niech go wylegitymują, podam go do sądu.

Kosuke rozejrzał się bezradnie. Ci, którzy nie widzieli początku awantury, snuli na ten temat domysły, opowiadając innym, jak to tamten w kombinezonie bił po twarzy i nawet kopał Bogu ducha winnego człowieka, a teraz chce uciec.

W tej chwili rozległ się przenikliwy gwizdek. W tłumie ukazał się policjant. Krzykacz zasypał go gradem słów, skarżąc się na to, iż został obity przez tamtego człowieka. Wskazał palcem na Kosuke. Kilka głosów go poparło.

Policjant spojrzał na Kosuke i nachmurzył się.

- To ten? Znamy go! To słynny awanturnik - oświadczył groźnie. - Wciąż mamy z nim przykrości. Proszę za mną - huknął do Kosuke i zwrócił się do oskarżyciela - a pana też poproszę. Spiszemy w komisariacie protokół.

- Kiedy ja... usiłował wytłumaczyć policjantowi Kosuke, sądząc, że ten bierze go za kogoś innego.

- Milczeć! W komisariacie pogadamy - krzyknął policjant.

Przeszli przez szpaler w tłumie. Przy chodniku stało auto. Policjant wskazał Kosuke ręką, że ma wsiąść.

- Ależ tu stoi moja ciężarówka - oburzył się Kosuke.

Policjant roześmiał się głośno.

- Chciałby jeszcze ukraść jakiemuś porządnemu człowiekowi samochód - zwrócił się do tłumu i nie czekając aż Kosuke coś powie, wepchnął go brutalnie do samochodu. Trzasnęły drzwiczki.

- Nie, proszę pana - powiedział jakiś zażywny grubas do swego sąsiada w tłumie - niepotrzebnie narzekamy na naszą policję. Widział pan sam. Zjawiła się w odpowiedniej chwili.

- Kto wie? - mruknął sąsiad. - Może to wszystko było ukartowane? Ten człowiek wcale nie wyglądał na awanturnika. Może policja chciała się go po prostu pozbyć.

Grubas parsknął ironicznie.

- Aha, to pan też z takimi trzyma - i oddalił się majestatem krokiem.

*

Pokój wywierał przygnębiające wrażenie. Był długi, pod nagimi ścianami stało kilka ławek. W połowie pokoju taboret. Okno w wąskiej ścianie, przysłonięte kotarą, chyba nawet w dzień mizernie oświetlało czarne ciężkie biurko umieszczone o dwa kroki od parapetu. Nawet krzesło mieściło się tu z trudem.

Z lewej strony biurka stał niewielki stolik, a na nim maszyna do pisania. W prawej ścianie, tuż przy wysokiej

masywnej szafie, przebite były niewielkie drzwi. Przez nie właśnie wśliznął się do pokoju generał Kanadzawa.

Urzędujący przy biurku kapitan, podoficer pochylony nad rozdygotanym stolikiem, pracowicie wystukujący coś na wkręconych do maszyny arkuszach papieru, zerwali się i zastygli witając zwierzchnika. Z ławek pod bocznymi ścianami porwali się na równe nogi czterej policjanci. Trzasnęli butami.

Tylko jeden człowiek nie oddał wysokiej szarży należnych honorów. Ten, który siedział na taborecie. Stojący za nim piąty policjant huknął go pięścią w kark, aż tamtemu zatańczyła głowa.

- Wstań, świnió. Nie widzisz, że generał wszedł - wysyczał czerwony z oburzenia.

Człowiek siedzący na taborecie nawet nie zareagował. Zobojętniał na wszystko. Z trudem utrzymywał równowagę. Powieki co chwila opadały mu, przesłaniając przekrwione białka wyglądające spomiędzy spuchniętych, sinych kawałków mięsa, które zaledwie przed kilku godzinami były rumianymi policzkami i jasnym czołem. Człowiek na taborecie reagował na wszystko z wysiłkiem i opóźnieniem. Słowa docierały do jego świadomości wolno, w postaci zamazanych dźwięków, obrazy - jak zdeformowane bryły o zatartych konturach. Patrzył przed siebie wciąż tym samym spojrzeniem nic nie rozumiejącego zwierzęcia, które nie pojmuje niczego i nie czuje niczego prócz bólu.

Policjant zamierzał już ponowić uderzenie, gdy generał łaskawie skinął ręką, dając znak, że ceremonii powitalnej stało się zadość. Usiadł na wolnym krześle przy biurku i pochylił się ku kapitanowi. Mówił coś szeptem uśmiechając się przy tym dobrodusznie. Tej chwili nie omieszkał wyzyskać policjant. Ostrożnie, by nie przeszkadzać oficerom, uderzył siedzącego pięścią w zębra. Ten zakołysał się, ale twarda dłoń policjanta

chwyciła go na czas za kołnierz, przywracając mu zachwianą równowagę.

- Dostaniesz po mordzie za to, żeś generała nie przywitał - wyszeptał policjant. - Już ja cię wymusztruję, łajdaku.

Więzień nie usłyszał, ba, nie poczuł nawet uderzenia. W obolałej głowie tłukła się jedna tylko myśl, a właściwie pytanie „skąd ja to znam”. Pierwszy raz torturowano go w więzieniu w taki sposób. Metody policyjnych „badań” znał jedynie z opowiadań i kilku przeczytanych książek. A jednak wciąż miał wrażenie, że gdzieś już to widział. Na chwilę ból zagłuszył w nim nawet tę jedyną, ocalałą jeszcze myśl. Słyszał, że od biurka płyną jakieś słowa. Musiał uczynić nieludzki wprost wysiłek, by skupić się, by zmusić do słuchania zmiażdżone ucho, by patrzeć zamglonymi oczami. Dobiegło doń jedynie zakończenie zdania.

- ...i nie chce nic powiedzieć.

To mówił kapitan. Nie widział dobrze jego twarzy, ale czuł ją czy może raczej przeczuwał. Wydało mu się nagle że widzi przed sobą nie człowieka w policyjnym mundurze ale straszliwy bestię, o wykrzywionym wściekłością obliczu, sterczących zębiskach unurzanych we krwi i ogromnych wszechwidzących ślepiach, przebijających wszystko okrutnym spojrzeniem. Takie bestie widywał w niektórych świątyniach. Budziły w nim zawsze lęk. Ale ten kapitan nie budzi lęku. Nie odczuwał przed nim strachu. Bał się raczej samego siebie, o swój ból, który wbrew jego woli może coś wykrzyzczyć. Z trudem przełknął ślinę i przecząco pokiwał głową.

I nagle oślepiła go myśl. Tak, widział to, widział wszystko.

Generał wstał. Wyszedł na środek pokoju. Z dobrotliwym uśmiechem na cienkich wargach zbliżył się do więźnia.

- A więc to jest Kosuke. Towarzysz Kosuke - mówił przyglądając się więźniowi. - Bardzo, bardzo się cieszę, że

spotykam tak szczerego i oddanego ideowca. Już dawno o tym marzyłem. Cóż - zachichotał - lepiej później niż nigdy. A, Kosuke?

Więzień milczał. Policjant za jego plecami spoglądał bez zmrużenia powiek na generała i nie wiedział, czy ma uderzyć więźnia za to, że nie odpowiada, czy też zapłacić mu za to później, z nawiązką.

- Zapomniałeś języka w gębie, Kosuke - mówił dalej generał - ale to nic. Ja ci przypomnę przodków. - Kapitanie, jak długo trwa już przesłuchanie aresztowanego? - zwrócił się do oficera za biurkiem.

- Cztery godziny, panie generale - odparł kapitan.

- Tak mało - zdziwił się generał. - Wstydź się, Kosuke - zwrócił się znów do więźnia - sądziłem, że jesteś bardziej wytrzymały, że potrafisz godnie reprezentować swoją partię. A tu zastaję kawał niemego cherlaka, który ledwie zipie po czterech godzinach badania Wstyd. Twój towarzysze wytrzymywali znacznie dłużej. Nieraz miałem przyjemność z nimi rozmawiać. Niestety - skrzywił się boleśnie - zawsze w takiej sytuacji.

Więzień spojrzał generałowi prosto w oczy.

- Psie - wycharczał - ty żandarmski psie.

Generał poczerwieniał i odruchowo cofnął się o krok. Policjant za plecami więźnia zeszywniał.

- Ach tak, przemówiłeś, gołąbku - syknął generał. - Może mi powiesz teraz, w jaki sposób się tu znalazłeś?

- Schwytałicie mnie - charczał więzień - podstępnie. Jak wściekle psy rzuciliście się...

Generał zdawał się nie słuchać. Wrócił wolnym krokiem na miejsce przy biurku. Sięgnął po jakiś papier i przerywając więźniowi zwrócił się do kapitana, tak jednak, by więzień usłyszał każde jego słowo.

- A wie pan, kapitanie, szkoda tego chłopca. Kosuke w gruncie rzeczy nie ponosi żadnej winy. I wcale nam nie jest potrzebny, Fukuda, wie pan, ten, którego szukaliśmy, został przed dwiema godzinami schwytany.

Więzień drgnął. Policjant myśląc, że traci równowagę i może упаść z krzesła, przytrzymał go za kołnierz.

Myśl więźnia zaczęła pracować niezwykle jasno. Fukuda aresztowany? Jak to może być? Czyżby wszystko stracone? Schwytali go, zanim zdążył nakryć tych bandytów chcących wymordować ludzi dżumą? Kosuke nie pomyślał o tym, że skoro Fukuda jest aresztowany, to nie ma sensu cierpieć, że koszmar tych czterech godzin i rozpaczliwa obrona, by nic nikomu nie wydać, nie były potrzebne. Myślał z rozpaczą o zmarnowanej okazji zdemaskowania łotrów.

- Możemy więc zaraz Kosuke wypuścić - ciągnął generał. - Nie jest nam potrzebny. Co na to powiesz, Kosuke? Jeszcze kilka pytań i jesteś wolny - zwrócił się do zmalretowanego szofera.

W duszy więźnia zatrzepotała, jak ptak, radość. Trwało to jednak zaledwie sekundę. „Kłamią - krzyczał w nim ból, rozdzierający wszystkie członki - łżą. Nie schwytali Fukudy. To tylko pułapka, aby mnie złamać, aby wydusić ze mnie zeznanie”.

Ochryłym głosem wymówił:

- Nie wiem o kim mówicie. Nie znam żadnego Fukudy.

- A przecież to wcale nie musi być kłamstwem, kapitanie. Kosuke jest porządnym chłopcem i mógł nawet nie wiedzieć, że człowiek występujący pod nazwiskiem Sasaki - rzucił błyskawiczne spojrzenie na więźnia i nie spuszczać zeń oczu dokończył - w rzeczywistości nazywa się Fukuda.

Kosuke uczynił heroiczny wysiłek, by nie zdrzeć. Czuł jedynie, jak mu się serce kurczy z rozpaczą. „Wszystko wiedzą,

wszystko wiedzą - jęczał w duchu. - Na pewno nie kłamią, mówiąc, że schwytali Fukudę. Bo i skąd..." A jednocześnie wmawiał w siebie, że to wielkie kłamstwo, że Fukuda jest wolny i tak jak mówiła Tanima, jutro lub pojutrze będzie już wszystko wiedział o tym przeklętym laboratorium.

- Nie znam żadnego Sasaki - wymamrotał.

Generał uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zmieniłem o tobie zdanie. To wcale nie łatwo złamać twój upór, Kosuke. Jesteś równie wytrwały jak twoi towarzysze. Nie przynosisz wstydu swej partii. - Zwrócił się z kolei do kapitana. - To dzielny człowiek, kapitanie. Milczy, bo mu się zdaje, że go poszukujemy, że chcemy wmówić weń kłamstwo o aresztowaniu Fukudy, by wydusić z niego zeznania. Nie mam ci tego za złe, Kosuke. - Spojrzał na więźnia i wstał. - Rozumiem twój upór, ale - mówił zbliżając się do taboretu - ja ciebie wcale nie okłamuję. Mogę ci nawet dać na to dowód. Spójrz - ciągnął pokazując więźniowi jedną z odbitek fotografii Fukudy - od razu po aresztowaniu kazałem tego Fukudę sfotografować, żeby nam nie uciekł bez śladu. Widzisz? - przysunął fotografię prosto pod nos aresztowanego.

Kosuke popatrzył. Z fotografii uśmiechał się doń Fukuda. Miło i beztrosko. Widział to nawet przez mgłę przesłaniającą wzrok. Tak nie uśmiecha się człowiek aresztowany przez policję. Przypomniało mu się nagle tamto popołudnie. Gwarna ulica, na której huczały jeszcze echa demonstracji, przerzuconej do innych dzielnic, zdruzgotany policyjny samochód, człowiek o pokrwawionej twarzy, wyskakujący przez połamane drzwiczki i biegnący przed siebie... Uśmiechnął się do niego w duchu. Biegnij, towarzyszu Fukuda, ja ciebie nie wydam, pomogę ci...

- Nigdy nie widziałem tego człowieka. Nie znam go - powiedział cicho.

Generał zeszywniał. Ręka trzymająca fotografię opadła, spojrzął na Kosuke pociemniałymi z gniewu oczami i rzucił do policjantów usłużnie czekających na rozkazy:

- Zabrać go! Na badanie.

Policjanci schwyтали Kosuke za ręce i wypchnęli z pokoju. Kapitan wstał i skinął na podoficera dając mu znak.

- Zaraz idziemy - wstrzymał go generał. - Musimy tego drania złamać. Rozumie pan, musimy!

Kapitan schylił się do ucha generała.

- Jeżeli pan pozwoli, generale, to zastosuję badania typu „3”. Wodną „kurację” - uśmiechnął się przymilnie.

- Wodną „kurację?” A tak, to dobry sposób. Tylko skąd - generał spojrzął zdziwiony na oficera - skąd panu przyszło na myśl, że to jest typ „3”. Co to ma znaczyć?

- Pan generał raczył zapomnieć. To przecież określenie pana generała zawarte w instrukcji dotyczącej badania...

Twarz Kanadzawy promieniała.

- Pan ją zna, kapitanie.

- A jakże, panie generale. Studiowałem ją bardzo dokładnie podczas wojny, kiedy byłem oficerem śledczym przy komendzie żandarmerii w Nagasaki. Obowiązuje ona nadal, choć - uśmiechnął się - Amerykanie przed zatwierdzeniem jej do oficjalnego użytku - zmienili tytuł.

Generał stał i w zamyśleniu zapalał papierosa. Był zadowolony, prawdziwie zadowolony po raz pierwszy od kilku tygodni. Oto ma jeszcze jeden dowód, że w jego ojczyźnie nic a nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło. On, Kanadzawa, układał jeszcze przed wojną, kiedy był majorem, instrukcję o badaniu wywrotowców i podejrzanych o sympatie komunistyczne. Przeszła nad krajem burza wojny i klęski. Małoduszonym głupcom zdawało się, że świat się kończy, że w Japonii nastąpi przewrót. Komuniści podnieśli głowę, robotnicy i

chłopi zaczęli się burzyć. Wszyscy widzieli w tym zapowiedź wielkich zmian. A on, usunięty, z wojska generał Kanadzawa, człowiek, któremu groziła nawet szubienica, gdyby się nim nie zaopiekował Crosby, nie dawał się zwieść pozorom. Wierzył, że Amerykanie nie pozwolą na żadne zmiany. I nie omylił się. Oto jego stara instrukcja obowiązuje wciąż i wciąż jest stosowana w tych samych okolicznościach.

Strzepnął popiół na podłogę i roztarł go bucikiem.

- Idziemy kapitanie. Szkoda czasu.

Zatrzymał się w drzwiach tak zwanej „celi śledczej”. Kosuke leżał na ziemi w kałuży krwi i wody.

- Zemdłał - wyjaśnił jeden z policjantów. - Musieliśmy go cucić. Zdechłe łajno - rzucił pod adresem więźnia.

Ten otworzył oczy. Właściwie jedno oko. Wlepił je w stojącego u drzwi generała i zacharczał:

- Psie... żandarmski psie...

XV Dwie narady

Ludzie siedzieli stłoczeni, uważnie słuchając tego, co mówił stary robotnik, o pomarszczonej twarzy i siwych włosach. W niewielkim pokoju zebrało się około dwudziestu osób. Ubrani byli przeważnie w zasmolone, przesiąknięte zapachem smarów kombinezony i ubrania robotnicze. Musieli tu widocznie przyjść wezwani nagle, prosto z pracy.

Przemawiający robotnik stał między słuchaczami i cichym, ale znamionującym z trudem hamowany gniew, głosem mówi:

- Taka więc jest sytuacja naszego kraju. Wszystko to, co powiedziałem, można właściwie zmieścić w trzech słowach: nędza, głód i niewola. Nie będę już powtarzał tego, o czym mówiliśmy dziś dość dużo: o przymierzu między zagranicznymi i rodzimymi wrogami wolności. Sami na własnej skórze przekonaliśmy się wszyscy, że imperializm japoński znalazł godnego opiekuna w imperializmie amerykańskim. Zbrodnie tych, których rozgromienie przez armię wolnych i szczęśliwych ludzi radzieckich powitał z radością każdy nienawidzący zła Japończyk, nie zostały ani napiętnowane, ani ich sprawcy nie stanęli przed sprawiedliwym sądem. Amerykańscy fabrykanci zaopiekowali się tymi łotrami. I co dzień otrzymujemy tego nowe dowody.

Mówił teraz głośniejszym głosem, słowa padały ciężko i twardo:

- Partia nasza jest teraz na tropie nowej, potwornej zbrodni, którą planują amerykańscy kapitaliści wspólnie z japońskimi wrogami ludu, chcąc przynieść nowe nieszczęście światu. Ale proletariat japoński nie może do tego dopuścić. Prawda?

- Tak, nie dopuścimy!

- Trzeba temu przeciwdziałać!

- Mów, o co chodzi!

Nikt z zebranych nie mógł powstrzymać się od jakiejś przynajmniej uwagi, wyrażając w ten sposób swe uczucia.

- Spokojnie, towarzysze. Nie mogę jeszcze dziś powiedzieć wam, o co chodzi. Kilku naszych towarzyszy stara się teraz wykryć tę nową zbrodnię. Czynią to z narażeniem życia, ale nic ich nie może powstrzymać. Lada dzień partia będzie miała w ręku obfity materiał dowodowy demaskujący zbrodniarzy. Zadaniem naszym będzie wówczas podnieść masy i skierować ich gniew przeciw ludobójcom. Musimy...

Drzwi otworzyły się. Mówca spojrział w tamtą stronę z niezadowoleniem. Na progu stanął sekretarz. Szybkimi krokami przesunął się między zgromadzonymi towarzyszami, nie odpowiadając nawet na pozdrowienia i odwołał mówcę. Kilka chwil tłumaczył mu coś szeptem, żywo gestykulując. Zebrani siedzieli w milczeniu obserwując tę scenę i przeczuwając, że stało się coś ważnego, bardzo ważnego.

Widzieli, że w oczach mówcy zapalił się gniew i oburzenie. Skinął potakująco głową i zwrócił się do zebranych.

- Towarzysz Jamada, sekretarz dzielnicy centralnej, ma coś ważnego do zakomunikowania.

Sekretarz spojrział na zebranych.

- Towarzysze, przynoszę wam smutne wieści. Wielu z was znało dobrze starego towarzysza, doktora Matsumurę. Ten towarzysz nie żyje.

Przez pokój przeleciało ciężkie westchnienie. Sekretarz uciszył zebranych ruchem ręki.

- Towarzysza Matsumurę zamęczyła na śmierć policja! Teraz już nie westchnienie, lecz groźny pomruk odpowiedział sekretarzowi. Ktoś wstał i zacisnąwszy pięści wyrzucił z siebie przekleństwo.

- Towarzysze! - w głosie sekretarza dźwięczały stalowe nuty. - Nie na tym koniec zbrodni policji. Wiecie, że podczas ostatniej wielkiej demonstracji aresztowano kilku towarzyszy. Jeden z nich uciekł. Nasza policja i amerykańscy żołdacy postanowili go jednak schwytać za wszelką cenę, bo ten towarzysz za dużo wiedział o ich zbrodniczych planach. Ale władze nie miały żadnych śladów tego towarzysza, który dopiero na kilka dni przed demonstracją zjawił się w Tokio. Czy wiecie, co zrobiła policja? Poddała aresztowanych straszliwym torturom. Dwaj z nich umarli. Towarzysz Matsumura był trzecią ofiarą bestialstwa policji. I tego jednak było za mało wściekłym psom Dżajbatsu i amerykańskich koncernów. Dziś aresztowano znów pięciu towarzyszy. Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość o ich losie. Wśród nich znajduje się towarzysz Kosuke. Skatowano ich, do nieprzytomności i poddano nieludzkiemu badaniu. - Otarł pot z czoła. - Oto wszystko, co wam chciałem zakomunikować. Aha - przypomniał sobie naraz - żeby nie było wątpliwości, że w Japonii od czasów przedwojennych nic się dzięki Amerykanom nie zmieniło, dodać mogę jedno: generał żandarmerii Kanadzawa, którego znają co starsi towarzysze, zamiast ponieść zasłużoną karę za swe zbrodnie, został przed kilku tygodniami powołany do pracy w policji. Ten morderca stoi na czele całej akcji, o której mówiłem. On otrzymał od Amerykanów rozkaz kierowania nią z ramienia policji japońskiej,

W pokoju zapanowała wrzawa. Wszyscy naraz, głośno i zapalczywie wyrażali swój gniew. Mówca, który ustąpił miejsca sekretarzowi, na próżno wymachiwał rękami i głośno krzyczał, usiłując stłumić hałas.

Jakiś stary robotnik zwrócił się do swojego sąsiada.

- Słyszeliście? Mówił, że Kanadzawa. Ja go znam - zazgrzytał zębami. - Wpadłem już raz przed wojną w łapy tego

psa. Od tego czasu pluje krwią. To straszna bestia. A oni dziś biorą go znów, żeby się z nami rozprawiał. Ale niedoczekanie jego ani ich - schwycił sąsiada za rękaw. - Nie damy się. Dość już tego.

- Towarzysze, spokój, towarzysze! - wołał mówca.

Uspokajano się bardzo niechętnie. Kiedy wreszcie zapanowała cisza, mówca oświadczył:

- Niezależnie od tego, że zbrodnie policji, o których mówił towarzysz Jamada, są ściśle związane z poszukiwaniami prowadzonymi przez partię w kierunku wykrycia zbrodni, musimy się teraz zastanowić nad tym, jak pomóc towarzyszom, jak wyrwać ich z łap policji - Spojrzeniem uciszył wzbierający szmer, - Teraz każdy może się wypowiedzieć, tylko kolejno, żebyśmy mogli uważnie wysłuchać.

Pierwszy wstał starszy robotnik, który przedtem mówił swemu sąsiadowi o Kanadzawie. Twarz jego miała przy tym zacięty wyraz.

- Ja to gadać nie umiem, ale tu miarka się przebrała. Nie możemy pozwolić, żeby nam policja mordowała towarzyszy ani w ogóle nikogo. Co to jest, czasy przedwojenne? Jak tak dalej pójdzie, to nam jeszcze partię zlikwidują. Policja czuje za plecami rękę Ameryki i robi, co jej się podoba. I na to jesteśmy my, żeby po tych krwawych łapach uderzyć, przypomnieć, co to znaczy lud.

- Racja!

- Dobrze mówi!

Słowom starego towarzyszyły okrzyki i oklaski.

- Jeszcze nie skończyłem - mruknął. - Trzeba coś zrobić i ja myślę, że najlepiej jutro zorganizować wielką manifestację, strajk protestacyjny i zażądać wypuszczenia aresztowanych, oddania pod sąd Kanazawy i tych, co są odpowiedzialni za

morderstwa i tortury... - Chwilę milczał i wreszcie zakończył. - Ot i wszystko. Już nic więcej teraz nie powiem. Może potem.

Znów zapanował gwar, ale uspokojono się, gdy wstał inny uczestnik narady.

- To wszystko pięknie brzmi, towarzysze, ale czy możemy jutro zorganizować taką wielką akcję. A przygotowania? A kraj? Czy nas poprze?

- Głupstwa gadacie - zerwał się zapalczywie sąsiad starego robociarza. - Wszyscy pójda za naszym przykładem. Od czego mamy prasę partyjną? A u nas w Tokio wszystko można zorganizować. - Rozejrzył się po zebranych. - Jest nas tu kilkudziesięciu prawie ze wszystkich większych fabryk. Trzeba tylko, żeby każdy z nas dziś jeszcze porozumiał się z najbardziej aktywnymi towarzyszami i powiedział im, o co chodzi. A jutro rano zwołać wszędzie mityngi, na miejscu, w fabrykach, i opowiedzieć ludziom o zbrodniach. Zobaczycie, jak na to odpowiedzą. W ludziach aż kipi od gniewu. Nie ślepi przecież, coraz lepiej widzą, co się dzieje wokół nich.

- Kiedy już późno - zauważył ktoś.

- To co, że późno. Wypaść się nie zdążymy, czy jak? - odkrzyknął młody. - A czy pomyśleliście o tym, że policja i teraz pracuje choć późno. I morduje naszych.

Teraz kolejno wstawali wszyscy i zgadzali się na plan zaproponowany przez starego robociarza. Trwało to dłuższą chwilę, potem oczy zebranych zwróciły się na mówcę. Widocznie od niego zależała decyzja. Ten wstał, uważnie rozejrzył się po twarzach, na których malował się zapal pomieszany z gniewem,

- Cóż, plan dobry, towarzysze, choć ryzykowny. Sądzę, że ze strony Komitetu Centralnego nie będzie sprzeciwu. Pamiętajmy jednak, że powodzenie akcji leży w naszych rękach. Mamy przed sobą kilkanaście godzin czasu. W dodatku

nocnych. To bardzo mało. Chociaż - uśmiechnął się - dla komunistów czasem kilka godzin wystarczy, by zorganizować akcję. Tyle, że to sprawa bardzo poważna, Bardzo poważna.

- Damy radę, towarzysze, zrobi się - zahuczało dokoła. - Dajcie swoją zgodę. Trzeba przecież odpowiedzieć tym katom.

Mówca opuścił twardo zaciśniętą pięść na stół

- A więc - postanowione. Przedstawię sprawę w KC.

Ludzie wstawali teraz z miejsc, tłoczyli się i po chwili znikali za drzwiami. Czekala ich jeszcze mozolna i odpowiedzialna praca.

Po kilku minutach w pokoju został jedynie sekretarz I przedstawiciel Komitetu Centralnego.

- No i co, towarzyszu - zapytał ten ostatni. - Co robicie jutro?

- Postąpimy tak, jak nam doradziliście. Pojedziemy za samochodem, w którym będzie Fukuda. Gdyby mu się coś stało, musimy się przynajmniej dowiedzieć, gdzie jest ta fabryka śmierci.

- Słusznie. - Przedstawiciel KC zamyślił się na chwilę. - A jak tam wygląda sprawa od strony policji i amerykańskiego dowództwa?

- Wciąż jeszcze prawie nic nie wiedzą. Podobno ten Kanadzawa coś zwęszył o Fukudzie, ale dotąd nie wie jeszcze, gdzie się ukrywa. Dlatego męczą Kosuke.

- A ten nic nie wyda?

Sekretarz obruszył się.

- Co wy powiadacie? Kosuke? On miałby coś powiedzieć? Mam do mego większe zaufanie niż do siebie.

Przedstawiciel Komitetu skinął głową z aprobatą.

- A czy oni nie zwęszą czegoś do rana?

- Chyba nie. Zresztą ryzyko, sami wiecie, jest bardzo duże, Na wszelki wypadek przed amerykańskim dowództwem

będzie ktoś z naszych. Gdyby Kanadzawa albo Riusi przyjechali tam przed przyjściem Fukudy, zatrzymamy go...

- A jeśli ktoś z nich przyjedzie wówczas, gdy Fukuda będzie u tego Rogge'a?

- Wtedy - oczy sekretarza zwęziły się - wtedy postaramy się utrudnić mu wejście do gmachu. Zresztą jutrzejsza akcja strajkowa i manifestacja nie będą sprzyjały policji. Sprawimy jej sporo kłopotów, a to oznacza, że na kilka godzin zainteresowanie Fukudą osłabnie. Najniebezpieczniejszy jest Kanadzawa, ale jeśli dowie się z samego rana, że robotnicy wołają o szubienicę dla niego, to też zatrząśnie się ze strachu i zamiast o Fukudzie będzie myślał o własnej skórze.

- No, to życzę wara powodzenia - przedstawiciel KC uściśnął mocno dłoń sekretarza. - Uważajcie na siebie nie mniej niż na innych. I pamiętajcie, że czekamy na materiały o tej fabryce śmierci. Musimy zdemaskować tych łotrów. Musimy! To nasz obowiązek wobec ludzi, którzy chcą być szczęśliwi, wobec idei, która jest treścią i celem naszego życia, Rozumiecie?

*

Prezes George Crosby wszedł do sali konferencyjnej, gdy pięciu wyfraczonych jegomościów siedziało już przy stole. Za nim, jak cień, sunął sekretarz, niosąc teczkę z aktami. Mister Crosby zajął miejsce, obok usadowił się sekretarz, usłużnie podsunąwszy szefowi papiery. Prezes, nie zważając na zniecierpliwienie wyraźnie malujące się na twarzach, oczekujących rozpoczęcia konferencji, członków zarządu uważnie coś czytał. Potem rozejrzał się, wstał i uśmiechając się przemówił:

- Panowie wybaczą - skłonił lekko głowę - że kazałem na siebie tak długo czekać. Niestety, nie mogłem przyjechać wcześniej. Audycja w Białym Domu przeciągnęła się. Była to - uniósł brwi, jakby starając się sobie coś przypomnieć - trzecia narada z przywódcami rządu w ciągu niespełna dwóch miesięcy. Chciałbym teraz poinformować panów, jako członków zarządu naszej firmy, o treści i rezultatach tych rozmów. Jesteśmy sami i sądzę, że nie muszę panom przypominać iz rzeczy, o których będę mówił, stanowią tajemnicę państwową największej wagi.

Twarze słuchających wyrażały skupienie. Jeden z członków zarządu oparł się łokciami o zielen sukna, inny wyciągnął notes. Mister Crosby zmarszczył się.

- Mister Forning, pan zdaje się słyszał, co mówiłem na temat tajności naszej narady. Nie sądzę, by notatki sprzyjały dotrzymaniu tego warunku.

Wymieniony zaczerwienił się i niezgrabnym ruchem usiłował wepchnąć notes do kieszeni.

- Nie będę się wdawał w szczegóły. Część ich już panowie znają, innych nie wolno mi jeszcze podawać do wiadomości. Nie to jest jednak najistotniejsze. Ważne jest w tej chwili, że stanowisko Białego Domu i Pentagonu zostało już ostatecznie uzgodnione. Wśród członków rządu panuje całkowita zgodność w przychylnej ocenie planu naszej firmy. Mało tego. W wyniku rozmów prowadzonych przez nas z leaderami partii, usłyszałem na dzisiejszej konferencji, iż podczas najbliższych sesji Kongresu orędzie prezydenta zawierające żądanie nowych kredytów na cele obrony, a w tej pozycji zawarte są kredyty przyznane naszej firmie, uzyska aprobatę obu partii.

Mister Forning, ten który chciał notować, aż gwizdnął z wrażenia. Pozostali członkowie zarządu, poruszeni tak ważną wiadomością, kiwali z zadowoleniem głowami.

Mister Crosby zaczekał, aż pierwsze wrażenie przeminie.

- Trwająca od kilku lat współpraca między naszą firmą o poszczególnymi Departamentami, zwłaszcza Wojny i Stanu, będzie jeszcze bardziej zacieśniona. Mister Parker – uśmiechnął się do siedzącego opodal współnika - który dopiero teraz wrócił z Niemiec zakończywszy tam przygotowania wstępne, będzie musiał wracać do tego kraju. - Na twarzy Parkera odmalowało się zdziwienie. - Tym razem - dokończył Crosby - już nie jako wysłannik naszej firmy, lecz w charakterze doradcy przy sztabie gubernatora.

- Brawo, Crosby, jesteś genialny - zawołał mister Forning. Crosby skłonił się dziękując za miły komplement.

- Mister Boyton - zwrócił się do łysego jegomościa opierającego się o stół - otrzyma jutro nominacje na doradcę Sekretarza Departamentu Wojny w sprawie unowocześnienia uzbrojenia naszej armii.

Wymieniony dżentelmen „niósł na chwilę głowę, popatrzył na zebranych, sprawdzając, jakie to na nich wywarło wrażenie i wrócił do pierwotnej pozycji.

- Jak więc panowie widzą, twierdzenie, że plan naszej firmy był planem na wskroś patriotycznym, nie jest gołosłowne. Usłyszałem dziś miłe słowa, iż firma nasza zasłużyła sobie na wdzięczność za doskonały projekt obrony zachodniej cywilizacji. Interesy naszej firmy są nie tylko zbieżne, są identyczne z interesami naszego rządu. Odtąd jeszcze dwaj członkowie zarządu będą reprezentowali równocześnie politykę firmy i politykę rządu, podobnie jak mister Smuthers i mój brat. Jest to zarówno dowód uznania, jakim się cieszymy, jak też dowód naszej siły i znaczenia w państwie.

Mister Crosby chrząknął i upił kilka łyków wody ze szklanki podanej mu przez sekretarza.

- W chwili obecnej - podjął prezes, skinąwszy sekretarzowi głową - nasz ośrodek w Japonii zakończył prace wstępne. Wykorzystane zostały doświadczenia i próby czynione w czasie wojny przez sztab japoński, a zwłaszcza przez doskonale zorganizowaną jednostkę 731. Rezultaty tych prac, w wyniku których mister Otomura, nasz najcenniejszy pracownik, były pomocnik generała Isii, Wyhodował szczep bakterii dzumy oznaczony cyfrą „078”, zostały Z uznaniem powitane przez czynniki wojskowe. Bakteria ta jest niezwykle odporna na wszelkie zjawiska atmosferyczne, temperaturę i działanie antytoksyn. W tej chwili nie jest znana surowica, zdolna zwalczyć chorobę wywołaną przez tę bakterię, i zgodnie z relacjami japońskiego ośrodka i eksperta bakteriologicznego Departamentu Wojny wykrycie przez uczonych takiej surowicy bez szczegółowego zapoznania się z naturą bakterii 078 jest prawie wykluczone. Wymagałoby to co najmniej kilku lat pracy.

Przy stole konferencyjnym panowała cisza. Nikt nie przerywał prezesowi, zebrani wyrażali swój podziw i zachwyt jedynie mimicznie.

- Nowozałożony ośrodek w Niemczech, kierowany przez znakomitego bakteriologa profesora Meisfelda, który podczas wojny Z polecenia niemieckiego sztabu generalnego prowadził pewne badania w tej dziedzinie, będzie miał ułatwione zadanie. Zresztą, omówiliśmy już z doktorem Otomurą możliwości jego wyjazdu do Niemiec, dla usprawnienia prac nowego ośrodka. Pewne trudności napotkaliśmy z utworzeniem nowego laboratorium w Stanach. Propozycja uruchomienia takiego ośrodka została przez profesora Hustingsa odrzucona. Było to zresztą do przewidzenia - dodał z pogardliwym

Bakteria 078

grymasem. Profesorem Hustingsem zajęła się, rzecz jasna, komisja do badania działalności antyamerykańskiej. Senator Mathews będzie nam mógł powiedzieć o tym kilka słów.

Senator Mathews skinął twierdząco głową.

- Proszę panów - Crosby zajął do notatek - nasz ośrodek w Japonii w ciągu najbliższych dni przystąpi do wyciągania praktycznych wniosków z dotychczasowych badań. Bakteria 078 przestaje być bakterią i przekształca się w potężną broń służącą do ochrania cywilizacji zachodniej.

Mister Forning cichutko parsknął śmiechem.

Crosby skrzywił się z niesmakiem, ale nie zareagował na to.

- Brak nam, niestety - ciągnął niewzruszenie - pewnych danych odnośnie do praktycznego wyzyskania bomby bakteriologicznej. Prowadzone przez naszych agentów poszukiwania archiwum jednostki 731 nie dały dotąd żadnych rezultatów. Preliminowana suma na ewentualne wykupienie tych szkiców leży dotąd nie podjęta i należy sądzić, że żadne papiery nie zostały uratowane wówczas, gdy Japończycy, z obawy przed Rosjanami wysadzili swoje laboratoria w powietrze. W związku z tym praktyczne wykorzystanie bakterii 078 nie nastąpi, znów muszę użyć słowa niestety, w takim terminie, w jakim chcielibyśmy to uczynić. Toteż słusznie zwrócono dziś w Białym Domu uwagę, że konieczne jest otoczenie naszych prac absolutną tajemnicą. Panowie rozumiecie chyba, że nie powinna się powtórzyć sprawa bomby atomowej. Skutki ujawnienia naszej działalności przed opinią publiczną mogą być nieobliczalne. Sądzę, że nowy Apel Sztokholmski nie przypadłby do smaku ani rządowi, ani nikomu z nas. Musimy pamiętać, że komuniści tylko czekają na wykrycie takich badań, by rozpętać nową pokojową burzę na

świecie. Ostrzeżono mnie przed tym właśnie na dzisiejszej audiencji. Skończyłem.

- Już ja pilnuję tego Hustingsa - warknął Mathwes. - Wyrok zapadł i chociaż jego znajomi i różne komitety chcą złożyć kaucję, nie zgodziłem się. Widzeń też nie otrzymuje. To wszystko jednak nie jest takie proste. Nie wolno mu było nawet proponować pracy w naszych zakładach. Całe szczęście, że wprost od rektora zawieziono go do Komisji.

- T słuszna i cenna uwaga - zgodził się Crosby. - Dobór ludzi do pracy w naszej firmie musi być niezwykle staranny. Dzięki staraniom naszych władz wojskowych, w Niemczech i Japonii ocalało dość ludzi, do których możemy mieć pełne zaufanie.

Członkowie zarządu zaczęli wymieniać swoje spostrzeżenia i uwagi. W pewnej chwili Crosby wstał.

- Chciałbym jeszcze w kilku słowach przedstawić rozwój finansowy firmy za okres ostatnich trzech miesięcy.

Twarze konferujących spoważniały. Mister Forning schwycił czym prędzej notes, zapisując w nim cyfry podawane przez prezesa.

XVI

Fabryka śmierci

Fukuda siedząc w kącie izby obserwował w milczeniu swoich przygodnych gospodarzy. Mężczyzna zawiązywał na nogach tasiemki drewnianych chodaków. Z pomarszczonej twarzy trudno było odcyfrować jego wiek. To samo było z gospodynią. Kiedyś musiała być ładną dziewczyną - pomyślał Fukuda. To „kiedyś” oznaczało chyba osiem lub najwyżej dziesięć lat, ale każdy rok nędzy wyciskał tak silne piętno, że równie dobrze można było „kiedyś” określić jako okres lat dwudziestu i więcej. Kobieta krzątała się przy malutkim piecu, kończąc przygotowanie śniadania dla śpieszącego się męża. Obok niej dreptały dzieci smakowicie wchłaniając zapachy. Widocznie obecność niezwykle gościa oznaczała zmianę jedzenia, a zapach gotowanego ryżu unoszący się w izbie nie należał; tu do zbyt częstych zjawisk.

Odżyły w nim nagle przymglone wspomnienia dzieciństwa, Mieszkał w podobnej chacie, Nędza gnieździ się w takich samych izbach czy to w mieście, czy na wsi. Jego matka też krzątała się od świtu w mieszkaniu, a ojciec wzuwał słomiane trepy śpiesząc na pole. Zapach ryżu oznaczał jakiś szczególnie uroczysty dzień albo rok obfitszych zbiorów. Przymknął oczy przywołując obrazy dalekiego dzieciństwa ale zamiast nich widział wciąż żalobną wieś, w której ludnie marli jak muchy. Czuł złowieszcze tchnienie dżumy bezlitosnej i wszechpotężnej, której nikt, nawet pocziwy stary doktor, nie mógł się przeciwstawić.

Kobieta postawiła miseczki z dymiącym ryżem. Gospodarz gestem wskazał mu miejsce na macie Jedli w pośpiechu Czasu

było niewiele, a spóźnienie do fabryki mogło bardzo drogo kosztować.

Poprzedniego wieczoru gospodarz opowiadał mu o swojej pracy. Zatrudniony był w fabryce porcelany. Z nienawiścią wymieniał nazwiska właściciela i dozorców, którzy bez ustanku wrzeszczeli wygrażając kijami. Nie, teraz już nie bito robotników, tłumaczył z ironią. Boją się, boją się, że związki zawodowe i partia podniosą krzyk. Ale kto wie, co się dzieje w zakamarkach fabrycznych, dlaczego niektórzy młodzi robotnicy, dopiero przybyli na fabrykę i nie znający stosunków, mają czasami sińce na plecach. Ludzie boją się mówić o swoich krzywdach. Nie tak łatwo znaleźć pracę. A z czego żyć?

Gospodarz mówiąc o tym, machał apatycznie ręką. W ich fabryce mało jest jeszcze ludzi uświadomionych, pojmujących, jaką siłą jest zespolecie wysiłków, jaką siłą jest partia. I dlatego właściciel poczyna sobie, jak chce. Prawda, ostatnio trochę się poprawiło. Nawet udało się zorganizować strajk, gdy właściciel wyrzucił trzech robotników - działaczy związkowych. Kiedy gospodarz opowiadał o strajku, w oczach jego zapalały się nowe błyski. Apatia znikwała. Zdawać by się mogło, że oto siedzi inny zupełnie człowiek - walczący i silny.

Teraz podobno właściciel sprzedaje fabrykę Amerykanom, Byli wśród robotników tacy, co wierzyli, że poprawi się ich dola, ale on w to nie wierzył. Znał jednego człowieka, który pracował jeszcze przed wojną w amerykańskiej fabryce na Filipinach. Amerykanie wypruwali z nich żyły nie gorzej od fabrykantów japońskich.

Przy śniadaniu nie było jednak czasu na takie rozmowy. Gospodarz rzucał od czasu do czasu jakąś uwagę i Fukuda równie Krótko na nią odpowiadał. Gospodarz, korzystając z pobytu gościa „z wielkiego świata”, jak określił wczoraj

Fukudę, interesował się głównie tym, czy będzie wojna. Sam był w wojsku i jak mówił, cudem tylko uniknął śmierci. Wojny nienawidził i bał się jej. Chciał się upewnić, czy „gość z wielkiego świata” wierzy w to, że oni wszyscy, mali i właściwie nie znaczący ludzie, mogą swoim „nie” odmienić plany bogatych panów. Fukuda opowiadał Inu o ruchu pokoju, o Związku Radzieckim, o tym jak wielka jest siła milionów takich..małych” ludzi, od których właśnie zależy historia świata. Gospodarz i jego żona słuchali tych słów, chłonili z nich wiarę w swoje zwycięstwo, kiwali ze zrozumieniem głowami.

Gospodarz wstał, pożegnał się i w pośpiechu wyszedł na ulicę. Fukuda spojrzął na zegarek. Miał jeszcze kilka godzin czasu do spotkania z Rooge'm. Czuł narastający niepokój, powtarzał bezustannie w duchu pytanie: uda się, czy nie? - i jednocześnie wiedział, że w decydującej chwili będzie spokojny i opanowany, że potrafi nawet żartować rozmawiając z porucznikiem, że nie da po sobie poznać, ile sił i nerwów kosztuje go taka rozmowa.

Wszystko zależało od jednego: czy Rooge albo Crosby podejrzewają go o jakieś skryte plany, czy też nie. Jeśli nie - to wszystko musi się udać, żałował teraz, że w rozmowie z sekretarzem nie wspomniał o konieczności wysłania kogoś z towarzyszy w ślad za nim. A to było konieczne. Gdyby go schwytano, partia wiedziałaby przynajmniej, gdzie mieści się fabryka śmierci. Tego błędu nie da się już jednak naprawić.

Wiedział, że za kilka godzin spotka się twarzą w twarz z Otomurą, człowiekiem, który w jego oczach był uosobieniem zła i nienawiści, uosobieniem ustroju nie przebierającego w środkach zabijania, gdy chodzi o panowanie. Był przekonany, że Otomura nie pozna go i tym razem, zwłaszcza gdy zjawi się

w towarzystwie amerykańskiego porucznika jako nowy współpracownik. A może Otomury nie będzie?

A Kanadzawa? Teraz dopiero przypomniał sobie o istnieniu tego najbardziej niebezpiecznego, jak mówił sekretarz, przeciwnika. Pamiętał jak przez mgłę wieczór w więzieniu przy dowództwie żandarmerii w Charbinie, kilkugodzinne przesłuchanie, podczas którego zjawił się Kanadzawa. Odczuł nagle ból, jakby ktoś ciął go szpicrutą przez twarz. I zaraz potem zobaczył pochyloną nad sobą uśmiechniętą twarz Kanadzawy, bawiącego się cienką bambusową laseczką.

Przed zamkniętymi oczami przelatywały obrazy ukazujące mu, jak w kalejdoskopie, przeżycia minionych lat. Wywołał z mroków pamięci inny wieczór. Wesoło trzaskało ognisko rozniecone na dużej polanie. Widział wokół siebie kilkuset towarzyszy - chłopów mandżurskich w skupieniu słuchających jego opowiadania. Mówił im wtedy o sobie, o straszliwych zbrodniach japońskiej armii. Pamiętał, jak zaciskały się palce na kolbach karabinów. Ale ci ludzie żądali, by mówił im o czym innym, o niedoli ludu japońskiego, o jego ciężkim życiu, o tragedii jego rodzinnej wsi. To było im bliskie, zrozumiałe dla nich. Z tych jego słów czerpali nadzieję i wiarę w to, że przyjdzie dzień, kiedy w jednym gronie - już nie w partyzanckim lesie, ale w pięknych i wolnych Chinach, w pięknej i wolnej Japonii, będą siedzieć obok siebie japońscy i chińscy chłopcy ciesząc się wspólnym zwycięstwem, opowiadając o radościach wolnego życia.

Potem stanęła mu przed oczami Tanima, pstry kwietnik i ławka pod jabłonią. Przypomniały mu się słowa ciepłe i takie wzruszające. Tanima. Co się z nią teraz dzieje? Czy zobaczy ją kiedykolwiek? Sekretarz powiedział wyraźnie, że trzeba będzie uciekać. Do Chin. A Tanima? Nie zdoła wymazać jej z pamięci, nie potrafi wmówić w siebie, że jej nie spotkał i nie

znał. Będzie mu się śniła po nocach, będzie go wołała ku sobie, a on, oddzielony od niej setkami kilometrów morza i lądu, nie będzie mógł nawet uścisnąć w milczeniu jej wiotkiej dłoni.

Otrząsnął się zamyślenia. „Towarzyszu Fukuda - zganił siebie w duchu - cóż to za nowość. Rozklejasz się przed wykonaniem wielkiego i odpowiedzialnego zadania. Zdążysz, zdążysz, wieczorem sobie pomarzysz...”

- Towarzyszu - głos biegł od drzwi - towarzyszu... Otworzył oczy. Na progu stał wczorajszy szofer.

- Myślałem, że drzemiecie. Już czas. Mamy kawałek drogi do przebycia, a dziś przejechać nie tak łatwo.

Fukuda zerwał się. Poczuł przyływ energii i siły. Pożegnał się z gospodynią, wtykając jej siłą w rękę kilkanaście yen, i wyszedł przed dom. Szofer otworzył drzwiczki.

Ruszyli z miejsca dość szybko, wymijając bawiące się na jezdni dzieciaki i trąbiąc przeraźliwie. Jechali różnymi zaułkami i uliczkami bliźniaczo podobnymi do siebie. I wszędzie widzieli ten sam obraz - ludzką niedolę.

- Dlaczego mówiliście, że dziś nie łatwo przejechać? - zwrócił się w pewnej chwili Fukuda do szofera.

Przejeżdżali właśnie obok jakiejś fabryki. Przed bramą panował ożywiony ruch. Widać było, że ludzie są podnieceni. W tłumie raz po raz wybuchała wrzawa. Opodał przechadzało się chodnikiem kilku policjantów.

- A no dlatego - szofer wskazał ręką zbiegowisko przed fabryką. - Wszędzie to samo. Na ulicach aż czarno od ludzi.

Teraz dopiero Fukuda zdał sobie sprawę z tego, że na ulicach panuje niecodzienny ruch. Raz po raz przejeżdżali obok większych ludzkich skupisk. Na ulicach pełno było policji. Wyminął ich amerykański wóz, w którym siedziało kilku żołnierzy z MP. Spod kasków rzucali w tłum wrogie spojrzenia. Fukuda obejrzał się. Ktoś wrzasnął coś, odpro-

wadzając Amerykanów wzniesioną pięścią. Tłum podchwycił okrzyk.

- Ale co się stało? - zapytał gorączkowo Fukuda.
- Ludzie strajkują. Zaraz będzie wielka demonstracja.
- Dziś? - zdziwił się Fukuda.

Przyszło mu na myśl, że demonstracja zwołana została w związku z możliwością wykrycia fabryki śmierci. Ale nie, chyba nie organizowano by manifestacji przed ujawnieniem szczegółów w prasie partyjnej. Musiał więc istnieć inny nieznan mu powód wyjścia mas na ulicę.

- Słyszałem, że manifestacja zwołana została na znak protestu. Mówił mi rano jeden przyjaciel, że policja i Amerykanie schwycili kilku naszych ludzi i zamęczyli na śmierć. Te psy - zacisnął palce na kierownicy - torturują ludzi tak samo jak przeciw wojnę. A my nie pozwolimy na to. Łby im pourywamy.

- Skąd macie te wiadomości? - dopytywał się gorączkowe Fukuda.

- Jak to skąd - szofer wzruszył ramionami - „Akachata” o tym pisała, żebyście widzieli miny policjantów - roześmiał się - jak biegali po kioskach, by wyłapać naszą gazetę. A w kioskach nic nie ma. Wszystkie gazety już rozchwytyli ludzie. Mówią - dodał nagle - że jutro też gazety będzie się rozprowadzało przez naszych ludzi. Podobno jakieś ważne dokumenty mają opublikować, o nowych draństwach.

- A kogo aresztowali i kiedy? - gorączkował się Fukuda.
- Jednych dość dawno, a kilku wczoraj.
- Kogo?

Fukuda schwycił szofera za rękę. Ten z trudem uniknął karambolu i spojrzał na pasażera z wyrzutem.

- Aleście nerwowi. Do nieba wam spieszo, czy jak?

Fukuda nie zwrócił uwagi na uszczypliwość.

- Macie gazetę?

- Nie dostałem, już zabrakło. Wszystko opowiedział mi przyjaciel.

- A nie wiecie kogo wczoraj aresztowali?

Zobaczył nagle przed sobą twarzyczkę Tanimy. Błądą, przeciętą pręgą uderzenia bambusem. Nad nią pochylał się uśmiechnięty Kanadzawa szczerząc ostre, długie zęby.

- Pięciu, zdaje się, towarzyszy. Jednego to nawet dobrze znam. Kolega po fachu. Morowy chłopak. Kiedyś też jeździł na taksówce, a potem dostał robotę przy ciężarówce. Nazywa się Kosuke.

- Kto? - zachrypiął Fukuda. - Kosuke? Szofer?

- Tak - kierowca spojrzał na pasażera i wyczytał w jego oczach przerażenie. - Znaliście go?

Fukuda z trudem przełknął ślinę, jakby to był kamień. Przypomniał sobie roześmianego szofera. To on go przecież wyratował z rąk oprawców. Gdyby nie Kosuke, policja schwytałaby go najdalej w ciągu pół godziny. A teraz Kosuke siedzi. Torturują go. I wszystko w związku ze sprawą, którą on, Fukuda, musi rozwikłać. Ale czy to się uda? Czy nie jedzie prosto w paszczę wilka, czy nie zaaresztują go ledwie przekroczy próg gabinetu Rooge'a?

- Znam go - wyszeptał cicho. - Zawdzięczam mu bardzo wiele.

- Widzicie - syknął szofer - i takich ludzi te psy wsadzają do więzienia i męczą. Draństwo. Słyszałem, że Amerykanie znów przyjęli do porcji jakiegoś starego żandarma, podobno generała, co przed wojną zajmował się tropieniem komunistów. Dlatego dziś demonstracja.

Samochód stanął. Dopiero teraz Fukuda zauważył, że są już na miejscu. Opanował zdenerwowanie i otworzył drzwiczki

Przed gmachem amerykańskiej policji stały wzmocnione posterunki.

- Powodzenia, towarzyszu - powiedział szeptem szofer. - Będę na was czekał. Sekretarz was pozdrawia.

Fukuda spojrział nań z wdzięcznością. Dojrzał w oczach szofera filuterny uśmiech. Już zamykał za sobą drzwiczki, gdy szofer wychyliwszy się dodał:

- I jedna dziewczyna też was pozdrawia. Mówiła, że będzie na was czekać.

Kiedy słowa te dotarły do świadomości Fukudy, szofera już nie było, Samochód odjechał.

Wejście do gmachu zagroził mu barczysty podoficer w hełmie, z opaską na ramieniu i naganem przytroczonym do pasa.

- Dokąd? - warknął,

Fukuda spojrział nań obojętnym wzrokiem, jakby się dziwił bezczelności podoficera, który ośmielił się jego zatrzymać.

- Do porucznika Rooge'a - mruknął.

- Czekać - warknął podoficer i wszedł do gmachu.

Fukuda rozejrzał się po ulicy. Błyskawicznie obmyślił plan działania. Jeżeli podoficer wyjdzie zaraz sam i wpuści go - to znaczy, że jak dotąd wszystko w porządku. Gdyby jednak z twarzy jego można było odczytać, iż polecono mu aresztować przybysza, gdyby uczynił jaki podejrzaný ruch, trzeba będzie uciekać. Rzuci się prosto pod nogi tamtemu wartownikowi, przewróci go i od razu zniknie wśród tłumnie kręcących się opodal ludzi. W każdym bądź razie nie dostaną go łatwo, o nie.

Uważnie obserwował twarz wracającego podoficera. Nie wiedział, że z oddali przypatrywało się tej scenie kilka par czujnych oczu.

Podoficer skinął nań głową. Fukuda pomyślał, że to może być podstęp, ale było już za późno. Opanował rosnące z

sekundy na sekundę zdenerwowanie i doszedł do Amerykanina.

- Proszę, niech pan idzie - warknął podoficer nieco uprzejmie. - Porucznik czeka na pana.

Zastał porucznika w jego gabinecie. Rooge przemierzał pokój nerwowymi krokami, przebierał palcami guziki niedopiętego munduru i przerwał nieme przekleństwa. Na jego nalanej twarzy zamiast uprzejmego uśmiechu malowała się wściekłość.

Fukuda zatrzymał się w drzwiach i głośno się przywitał. Porucznik mruknął coś opryskliwie w odpowiedzi i nie zwracając uwagi na gościa wciąż biegał po pokoju. Dopiero po dłuższej chwili zatrzymał się, zerknął na doktora i nieco grzeczniejszym tonem oświadczył:

- Proszę, doktorze, zaraz pojedziemy.

Fukuda usiadł i spokojnie zapalił papierosa. Poczł nagle odprężenie. A więc pojedą. Niedługo zobaczy wszystko na własne oczy, nic się przed nim nie ukryje.

- Widzę, że pan porucznik jest dla czegoś bardzo zdenerwowany - zagaił uprzejmie rozmowę, spoglądając Amerykanowi prosto w oczy.

- A tak - mruknął Rooge. - Mam po temu dość powodów. Pańscy rodacy przyczyniają nam niemało kłopotów,

Fukuda udał zdziwienie.

- Moi rodacy? Jak to?

- Znów jakiś strajk - wybuchnął Rooge - znów jakaś demonstracja. Ani jednego spokojnego dnia w tym przeklętym kraju. - Zreflektował się, że mówi do Japończyka. - Przepraszam, ale jestem naprawdę wściekły. Ta komunistyczna gazeta wyciągnęła skądś wiadomość, że policja aresztowała kilku wywrotowców i napisała od razu sążnisty artykuł o tym, że

aresztowanych storturowano, pomordowano. A pan przecież sam rozumie, że...

- Rozumiem, że przy badaniu aresztowanych może wydarzyć się niejedno - wtrącił uprzejmie Fukuda.

Rooge speszył się. Chciał powiedzieć zupełnie co innego. Machnął ręką jakby dając do zrozumienia, że on, Rooge, rezygnuje już ze wszystkiego, ma tego powyżej uszu.

- Zresztą - mruknął - mnie to mało obchodzi. To nie mój resort. Waszą policją zajmuje się inny wydział. Ja mam dość własnych kłopotów. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z pułkownikiem Crosby - zmienił temat. - Bardzo żałowaliśmy, że nie zgłosił się pan do nas wcześniej. Pańska informacja w sprawie tego Fukudy jest bardzo cenna.

Fukuda zacisnął zęby, żeby opanować drzenie.

- Muszę panu powiedzieć - Rooge usiadł obok Fukudy i położył mu rękę na kolanie - że ten Fukuda to bardzo niebezpieczny ptaszek.

- Czyżby? - wymusił z siebie uśmiech,

- A tak. Pan go dobrze znał?

- O, nie. Tylko przelotnie.

- Aha, widzi pan, doktorze, nie zdążył się pan zorientować. A ten Fukuda to niebezpieczny człowiek.

- Dla kogo?

- Dla nas, dla Ameryki, dla Japonii. Pan wie, kim on jest!

Fukuda pokręcił przecząco głową i spojrzał na porucznika.

- To jest agent łowiecki. Przyjechał do Tokio, bo musi pan wiedzieć, że znajduje się on teraz w Tokio, ze specjalnym zleceniem. Chce wykraść pewne tajemnice naszej armii i...

- Rozumiem. Sprzedać Sowietom.

- O tak, właśnie. Utrafił pan w sedno sprawy. I rozumie pan, jak na złość nie możemy go znaleźć. Znikł jak kamfora.

- Trzeba rozesłać listy gończe - Fukuda mówiąc to zmrużył oczy.

- Ba. To wcale nie takie proste. Nie wiedzieliśmy dokładnie, jak on wygląda. Dopiero wczoraj zdobyto fotografię tego człowieka.

Fukuda zbladł. Udał, że zakrztusił się dymem i zakasłał.

- Widział pan już tę fotografię? - zapytał po chwili.

- Jeszcze nie. Zresztą co mi po fotografii. Za kratki ją wpakuję? Potrzebny nam jest on, a nie jego zdjęcie. Zresztą obiecano mi je przesłać jeszcze dzisiaj.

Fukuda wstał.

- Może byśmy jednak pojechali - zaproponował. - Chciałbym obejrzeć moje przyszłe miejsce pracy, a mam jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia. Przecież musiałbym przystąpić do pracy od jutra. Nieprawdaż?

- Tak, tak - Rooge zerwał się i doszedł do biurka. - Pan ma rację. Jedziemy. - Otworzył szufladę. - Proszę. Tu jest pańska przepustka. Chciałbym pana tylko uprzedzić - dodał wręczając złożony karton Fukudzie - że zgubienie tego dokumentu, chociaż jest on na razie tymczasowy, może być bardzo brzemienne w skutki.

Fukuda schował przepustkę do kieszeni.

- O nie, poruczniku. Takiego dokumentu na pewno nie zgubię.

- No to jedziemy - oświadczył Rooge.

Zamkną biurko, przepuścił Fukudę i wychodząc rzucił dyżurnemu oficerowi:

- Będę z powrotem za jakieś dwie, trzy godziny, Clark. Numer telefonu, pod którym można mnie znaleźć, ten sam co wczoraj. Tylko pamiętaj, telefonuj w razie jakiejś rzeczywiście pilnej sprawy.

Przed domem czekał już na nich duży czarny „Buick”. Fukudzie wydało się, że ze stojącego opodal samochodu obserwuje go ktoś znajomy. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym. Dopiero w drodze przypomniał sobie to wrażenie i cały zeszywniał. Przecież to był sekretarz. Na pewno on. A więc nie działa sam ani przez chwilę, towarzysze pamiętają o nim, czuwają nad nim. Ta myśl dodała mu otuchy i odwagi.

Samochód wyjechał za miasto. Po obu stronach szosy uciekały wstecz w zawrotnym pędzie jabłonie. Rooge opowiadał coś, gestykulując żywo i raz po raz wybuchał rehotliwym śmiechem, Fukuda machinalnie kiwał głową i od czasu do czasu wywabiał na usta grymas uśmiechu. Słowa porucznika nie docierały do jego świadomości.

- Czy daleko jeszcze? - przerwał Amerykaninowi.

Tamten popatrzył nań urażony.

- Nie, teraz już nie - mruknął. - Zaraz zjedziemy z szosy.

Rzeczywiście ujechali jeszcze kilometr i skręcili w prawo na piaszczystą drogę. Po kilku minutach niezbyt przyjemnej jazdy, samochód stanął. Fukuda rozejrzał się zdziwiony.

- Kontrola dokumentów - wyjaśnił Rooge. Zbliżył się oficer, odcyfrował przepustki i zasalutował. Droga była wojna.

Wjechali w niewielki, rzadki las. Tu znów sprawdzono przepustki.

„Zupełnie tak samo jak w Pinfanie” - pomyślał odruchowo Fukuda.

Minęli jeszcze jeden zakręt i wtedy Fukuda ujrzał cel swej podróży. Cel wielotygodniowych poszukiwań.

Na ogromnym pustym polu stało kilka długich posępnych szarych domów. Ze wszystkich stron otaczały je zasieki z drutów kolczastych. Wewnątrz zasieków czerniał wysoki płot. Co kilkaset metrów widniała wieża, na której stał wartownik.

Karabiny maszynowe i działa przeciwlotnicze szczyrzyły paszcze luf.

„Wszystko tak jak w Pinfanie - stwierdził w duchu powtórnie Fukuda, kiedy wjeżdżali przez bramę odprowadzani obojętnym wzrokiem straży. - Nawet te działa przeciwlotnicze umieszczono na wieżach. Widocznie strefa zakazana. Przelatujące samoloty narażone są na zestrzelenie”.

Rooge wysiadł, Fukuda za nim.

- Tu mieści się laboratorium, w którym będzie pan pracował. - Rooge wskazał najbliższy budynek. - Zaraz tam pójdziemy.

- A w pozostałych domach mieszka obsługa i pracownicy? - zapytał Fukuda rozglądając się uważnie na wszystkie strony.

Porucznik roześmiał się.

- O nie. Oddziały wojskowe mieszczą się tam, w koszarach prowizorycznych - wyciągnął rękę w kierunku baraków przyległych do płotu. - Tu nikt nie mieszka. Wszystkie te domy, to pomieszczenia laboratoryjne. Tylko w każdym mieści się co innego.

- O, skoro to jest tajemnica - Fukuda skłonił głowę.

- Przed panem nie mam specjalnych tajemnic, doktorze - zarechotał Rooge - Przecież pan jest naszym człowiekiem, naszym współpracownikiem. Na razie wyposażony jest kompletnie jeden tylko budynek. Ten właśnie, gdzie mieści się laboratorium, pozostałe dopiero urządzamy. Sprowadziliśmy trochę maszyn, cieplarek...

- Aha, więc tu ma być fabryka - wtrącił Fukuda.

- Właśnie, fabryka. Tylko nieco odmienna od fabryki... na przykład czekolady. - Rooge roześmiał się zadowolony z własnego konceptu. - Zresztą o wszystkim, doktorze, dowie się pan w swoim czasie. Na razie interesuje pana laboratorium. Prawda?

Fukuda zrozumiał, że nie należy pytać, jeśli nie chce wzbudzać w poruczniku podejrzeń. Wiedział już i tak dość dużo. Amerykanie zbudowali swoją fabrykę śmierci podług wzorów jednostki 731. Widocznie pomagał im w tym Otomura. Ze słów porucznika Fukuda wywnioskował, że w tej chwili urządzenia dopiero się instaluje i do masowej produkcji kultur bakterii jeszcze nie przystąpiono. Wszystko jednak było już w stadium daleko posuniętych przygotowań. Po budynkach można było bez trudu poznać, że stoją one tu od niedawna. Musiano budować w pośpiechu.

„Bandyty - zżymnął się w duchu Fukuda - spieszno im, tęskno do krwi, do trupów, do wojny...”

- Zaraz pana przedstawię kierownikowi laboratorium, doktorowi Maoto - usłyszał słowa porucznika Rooge'a.

Weszli do gmachu laboratorium. Pozornie nie różniło się ono niczym od wszystkich laboratoriów na świecie. Jasne, duże sale, w których stały długie białe stoły, oszklone szafy pełno naczyń, probówek, słoików, odczynników chemicznych, zapach lekarstw i środków dezynfekujących.

W kilku salach pracowali ubrani w białe fartuchy Japończycy i Amerykanie. W niektórych nie było nikogo.

Fukuda spojrzął pytająco na swego przewodnika. Ten zrozumiał, o co chodzi nowemu pracownikowi.

- Mamy mało ludzi - poskarżył się Rooge. - Wprawdzie nie wszyscy nasi pracownicy są dziś na miejscu, ale oprócz tego brak nam fachowców. Japońscy specjaliści nie bardzo się do nas kwapią.

Pchnął drzwi, na których wisiała tabliczka „Wstęp wzbroniony”.

- Teraz idziemy do kierownika.

Fukuda ujrzał przed sobą znieawidzoną twarz i świdrujące oczy skryte za okularami w czarnej oprawie. Instynktownie zacisnął pięści.

- Panowie pozwolą, że ich poznam. Doktor Sasaki, nasz nowy współpracownik, doktor Maoto, kierownik naszego laboratorium.

Fukuda skłonił głowę. Maoto przyjrzał mu się uważnie.

- Gdzieś pana musiałem widzieć, kolego - powiedział.

- A, tak, tak, przypominam sobie, że miałem już zaszczyt widzieć pana kolegę w Kobe - pośpiesznie odrzekł Fukuda.

- Właśnie, właśnie w Kobe. Niestety nie przypominam sobie okoliczności. Zdaje się, że to było...

- Może pan objaśni w kilku słowach doktora Sasaki co do metod pracy - przerwał Rooge, którego nużyła przydługa wymiana powitalnych grzeczności.

Maoto ujął Fukudę pod ramię i poprowadził go do drzwi.,

- Przede - wszystkim, drogi kolego...

Fukuda zadrżał słysząc te słowa. Zrobiło mu się zimno. Ten łotr, ten morderca, który całe swe życie poświęcił szukaniu najpotworniejszego środka uśmiercania ludzi, ośmiela się doń mówić „kolego”. Maoto spojrzał zdziwiony na Fukudę.

- Cóż to, zimno panu?

- A tak - wykrztusił z trudem Fukuda - zimno tu jakoś.

Rooge pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Ściany jeszcze nie przeschły dostatecznie. Te domy są przecież zupełnie nowe, dopiero wybudowane.

Fukuria zdążył się już opanować Szybko wciągnął na siebie ochronne ubranie i maskę, wskazane mu przez Otomurę.

- Zaraz przejdziemy do sali laboratoryjnej. Tam jest już cieplej - powiedział Maoto, otwierając drzwi.

Fukuda rozejrzał się. Sala przypominała mu widziane przed laty laboratorium Otomury. Na stole stał długi rząd

próbówek, na których widniały numery. Wziął jedną z nich. Mętna ciecz zakołysała się.

- „078”? - zdziwił się. - Co to znaczy?

- To hodowla nowego szczepu bakterii - uśmiechnął się Maoto. - Sam ją wyhodowałem. To bakteria dzumy o niespotykanej odporności.

- „078” - powtórzył w zamyśleniu Fukuda.

A więc ten łotr nie tracił na próżno czasu. Doszedł już do numeru siedemdziesiątego ósmego. Trzeba będzie potem sprawdzić swoje wyliczenia - pomyślał - i ewentualnie ulepszyć surowicę. Wprawdzie w swoich pracach brał pod uwagę największą zjadliwość bakterii, ale czy ta, „078” nie będzie oporniejsza, bardziej zjadliwa, niż przypuszczał.

Nie słyszał, co do niego mówił Maoto. Rozróżniał jedynie poszczególne słowa: - bakteria, dzuma, choroba. Każde z nich, jak rozżarzona igła wpijało się w jego rozpalony umysł i od razu przywoływało setki obrazów i skojarzeń.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś obcy głos. Megafon na stole chrypiąc wyrzucał z siebie dźwięki. Zrozumiał jedynie, że kogoś wołają do telefonu. Rooge zwrócił się do lekarzy.

- Muszę skoczyć do telefonu. Za chwilę wrócę.

Fukuda wzdrygnął się. Przyszło mu nagle na myśl, że ten telefon ma jakiś związek z jego osobą. Przywróciło mu to opanowanie i zimną krew.

Otomura kończył właśnie relację, o tym, jak wiele trudów wymagało wyhodowanie bakterii 078 i jakie to może mieć znaczenie.

- My, Japończycy, nie umieliśmy wyzyskać przewagi, jaką nam dawało posiadanie doskonałej wiedzy o bakterii. Dlatego musimy dziś popierać wysiłki Amerykanów w tym kierunku. W przeciwnym...

- Drogi doktorze - przerwał mu nieoczekiwanie Fukuda. - Mam do pana wielką prośbę.

Otomura spojrział zdziwiony na swego rozmówcę.

- Słucham - oświadczył sucho.

- Mam niewielkie laboratorium domowe - mówił gorączkowo Fukuda. - Posiadam w nim różne ciekawe okazy flory bakteryjnej. Byłbym panu niezmiernie wdzięczny... Ula upamiętnienia naszego poznania. Taki okaz jak bakteria 078, to przecież...

Otomura obnażył zęby w uśmiechu.

- Rozumiem pana, drogi kolego - poklepał Fukudę protekcyjnie po ramieniu. - Nigdy nikomu nie dałbym, ale skoro i tak będziemy ze sobą współpracować... Proszę bardzo. Spełnię pańską prośbę.

Otworzył szafkę przy biurku i wyciągnął z niej niewielkie, hermetycznie zamknięte, metalowe naczynko.

- Proszę. Tu jest bakteria 078.

Fukuda drżącymi z podniecenia rękami chwycił naczynko i schował je do kieszeni.

- Dziękuję. Bardzo mi się przyda.

Wywody Otomury mało go teraz obchodziły. Miał hodowlę „078”, a to oznaczało, że będzie mógł wypróbować działanie swojej surowicy i gdy zajdzie tego potrzeba, ulepszyć ją. Ten projekt go pasjonował, utwierdzał w nim nadzieję, że po wyjściu z tej fabryki śmierci zdoła przeciwstawić planom zbrodniarzy nie tylko swój gniew i słowa, lecz także czyny, których rezultaty sparaliżują te plany.

Wszedł Rooge. Fukuda poznał po minie porucznika, że rozmowa telefoniczna była ważna i denerwująca. Patrząc na twarz Amerykanina zrozumiał, że porucznik wciąż jeszcze nie wie, kim w rzeczywistości jest rzekomy doktor Sasaki.

Rooge obrzucił obu lekarzy roztargnionym spojrzeniem.

- Doktorze Sasaki, czy chciałby pan tu jeszcze pozostać? Niestety pilne sprawy służbowe zmuszają mnie do natychmiastowego powrotu.

Fukuda wysilił się na uprzejmy uśmiech.

- Chętnie wrócę z panem, poruczniku. Dowiedziałem się od doktora najważniejszych rzeczy. Dużo pan sam mi powiedział. Wiem już prawie wszystko, co mnie interesowało.

- No to świetnie - ucieszył się Rooge. - Reszty dowie się pan już w trakcie pracy. Jedziemy.

Kiedy wsiadali do samochodu, Fukuda wychylił się przez okno i powiedział do Otomury.

- Jeszcze raz panu dziękuję za cenny podarunek. Wyświadczył pan tym wielką przysługę nie tylko mnie.

Otomura uniósł brwi, dając do zrozumienia, że nie pojmuje sensu tych słów, ale samochód ruszył i trudno było żądać jakichkolwiek bliższych wyjaśnień.

Rooge siedział bez słowa, zamyślony i zdenerwowany. Fukuda znów poczuł przyływ beczelnej odwagi.

- Przykre wiadomości, kolego? - poklepał porucznika po ramieniu.

Amerikanin zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie tyle przykre - ile ważne. Miałem telefon w sprawie tego Fukudy. Jesteśmy już na jego tropie.

- Och, bardzo się cieszę - odparł Fukuda.

- Ja też. Skoro tylko go złapiemy, spadnie mi kamień z serca.

Fukuda nic nie odpowiedział. Obserwował swego sąsiada z odrazą. „Gdybyś wiedział, kto przy tobie siedzi, ty tłusty wieprzu - myślał - oszalałbyś chyba z wściekłości”.

Samochód jechał ulicami miasta. Raz po raz zwalniano tempo z powodu zatorów. W pewnej chwili zatrzymał ich podoficer MP. Zajrzał do środka, zsalutował i uprzedził, że

muszą jechać nieco zmienioną trasą. Zaledwie przed pół godziną udało się rozpedzić demonstrantów sprzed gmachu MP, ale teraz manifestacja przeciąga innymi ulicami, właśnie w tym kierunku.

Rooge zaklął. Samochód skręcił w boczną uliczkę. Fukuda wyjrzał przez okno i zobaczył, że wymija ich taksówka prowadzona przez szofera, który go przywiózł z rana do porucznika. Szofer pozornie obojętnie patrzył na amerykański wóz, ale Fukuda uchwycił ledwie widoczne mrugnięcie powieką. Taksówka przejechała kilkadziesiąt metrów i zatrzymała się. Fukuda zrozumiał. Udał zamyślenie i naraz chwycił porucznika za rękę.

- Dobrze że sobie przypomniałem, mam tu właśnie na tej ulicy pewną sprawą do załatwienia. Może wobec tego wysiądę.

- Ach tak - mruknął Rooge - proszę bardzo. Tylko, wie pan doktorze, chciałbym się z panem jakoś umówić. Chodziłoby o ewentualne rozpoznanie tego Fukudy.

- Proszę bardzo - zaśmiał się Fukuda. - Z największą przyjemnością spełnię pańską prośbę. Wobec tego - spojrzał na zegarek - zatelefonuję do pana za trzy godziny. Będzie pan w biurze?

- Tak, bardzo dziękuję.

Samochód stanął.

- A więc za trzy godziny, panie poruczniku - powtórzył Fukuda. - Być może do tego czasu Fukuda będzie już pod kluczem.

Rooge skinął mu na pożegnanie ręką. Fukuda zaczekał chwilę i szybkimi krokami ruszył ku taksówce., Szofer otworzył drzwi.

- Prędeż, towarzyszu. Jak to dobrze, że mnie zrozumie-liście. Gmach MP cały obstawiony. Balem się, żeby tam któryś z agentów was nie poznał, więc jechałem cały czas za wami,

Fukuda podziękował mu błyskiem oczu.

- Teraz damy gazu. Czekają na was już wszyscy.

*

Generał Kanadzawa czekał na powrót porucznika Rooge'a w jego gabinecie. Bezskutecznie usiłując opanować zdenerwowanie przechadzał się po pokoju, pałac, wbrew swoim zwyczajom, papierosa za papierosem.

Powodów do zdenerwowania nie brakło. Strajk, który rozpoczął się tego rana w Tokio - otrzymano już także wiadomości, że ruch strajkowy przerzucił się na prowincję - był najzupełniej nieoczekiwany. Wszystko zaczęło się z samego rana, prawdopodobnie bez żadnych większych przygotowań, w przeciwnym wypadku informatorzy Riusi, zakonspirowani w związkach zawodowych, wiedzieliby coś niecoś o całej sprawie. Zresztą na zły humor generała nie tyle wpływał sam wybuch strajku - do tego można się było przyzwyczaić - ile hałas, rozpętany wokół jego osoby.

Jeden z usłyszanych okrzyków utkwiał generałowi w pamięci i wywoływał w nim paroksyzmy wściekłości. Słyszał przecież na własne uszy, jak demonstranci szli krzycząc: „Precz z mordercą Kanadzawą - faszystowskim żandarmem w służbie Amerykanów”. Jeszcze teraz wzdrygał się myśląc o tym. W uszach huczał mu wielogłosowy ryk tłumu „Precz”. A od tego ciarki mogą przejść człowieka nawet o bardzo silnych nerwach.

Zatrzymał się przy oknie. Ulicą mknęły samochody, w których tłoczyli się ubrani w ciemne mundury japońscy policjanci. Raz po raz przelatowały śmigłe motocykle wiozące amerykańskich MP w głęboko na oczy nasuniętych hełmach.

Przed gmachem komendy kręciły się patrole. Przypominało to stan oblężenia w mieście,

Kanadzawa cofnął się od okna i usiadł przy stoliku, na którym leżało pudełko po papierosach. Przekłęta historia. Zepsuła mu wszystko. Bez reszty. Cały, wspaniale ułożony plan wziął w łeb. Marzenia o tym, że Kanadzawą przyjdzie do Smuthersa i będzie mu dyktował warunki - nigdy się nie spełnią. Teraz nie czas myśleć o wielkich projektach - trzeba ratować własną skórę, mocno zagrożoną.

Zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja od kilku godzin jest bardzo, ale to bardzo niepewna. Kto wie, co mogą postanowić Amerykanie. Na ulicach już demonstrują dziesiątki tysięcy ludzi. A co będzie jutro lub nawet za parę godzin? Komuniści wywęszyli, że w policji zamęczono kilku więźniów. Związano to między innymi z jego powrotem do czynnej służby. To może być nawet bardzo na rękę Amerykanom. Przymkną uszy i udadzą, że nie słyszą, jak ludzie krzyczą „precz z Amerykanami”. Powiedzą, że masy są niezadowolone z niego, z Kanadzawy, że jego osoba drażni tłum, wobec czego...

Wzdrygnął się. Amerykanie mogą go teraz wykorzystać jako ofiarę, usunąć go z urzędu, ba - nawet oddać pod sąd i z wielkodusznym gestem oświadczyć, że oto kat Kanadzawa został wyrzucony i skazany. Z pewnością Amerykanie nie będą na tyle głupi, by sądzić, że takie rozwiązanie oznacza wyjście z ciężkich opresji. Ale od czego mają propagandę, od czego radio i gazety? Zrobią wszystko, by rozdmuchać sprawę Kanadzawy i za tą dymną zasłoną postarają się ukryć innych, ważniejszych odeń winowajców - takich jak Smuthers czy Crosby, nie mówiąc już o tych, co stoją na znacznie wyższym szczeblu.

Trzeba się jakoś ratować, coś zrobić, aby nie dać się złamać. To właśnie spowodowało Kanadzawę aż tutaj. Miał w ręku jeden atut, jedyne, jaki mógł go uchronić przed

ostatecznym złamaniem. Tym atutem były lepsze, bardziej dokładne informacje o Fukudzie. Był przekonany, że za cenę tych informacji - przedtem miały mu służyć do zdobycia wielkiego majątku i stanowiska - uda mu się uchronić głowę i pozyskać wdzięczność Smuthersa i Crosby'ego. Jak na złość jednak Smutshers był na konferencji i miał się zwolnić dopiero późnym wieczorem, a Crosby gdzieś wyjechał i ma wrócić dopiero nazajutrz w południe. Pozostał więc jedynie Rooge. Z nim trzeba będzie prowadzić pertraktacje.

Kanadzawa zżymał się myśląc o tym. Gruby, krzykliwy; nazbyt pewny siebie Amerykanin irytował go. Ale teraz trzeba było zapomnieć o osobistych sympatiach czy antypatiach. Dlatego przyszedł tu i czeka już prawie godzinę na powrót porucznika Rooge'a, długo prosił, aby koniecznie zawiadomiono, że ma mu coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Rooge mimo niskiego stopnia oficerskiego był osobą ważną i w historii Fukudy grał niepoślednią rolę. Trzeba tylko w odpowiedni sposób podejść do całej sprawy...

Stuk drzwi wyrwał go z zamyślenia. Rooge wrócił. Kanadzawa, zapominając o tym, że on, a nie Rooge jest generałem, zerwał się na równe nogi. Porucznik przyglądał mu się z sarkastycznym uśmiechem i wierzchem dłoni ścierał pot z pokrytego kurzem czoła.

- Phuh - sapnął Amerykanin - gorąco dziś jak w piekle. 1 nie tylko od słońca - dodał spoglądając ironicznie na gościa.

- Tak, tak - wtrącił pośpiesznie Kanadzawa - jest bardzo gorąco. Chyba ze czterdzieści stopni.

Rooge nie odpowiedział. Doszedł do biurka, przerzucił kilkanaście listów leżących na stole. Jeden z nich rozpieczętował i zaczął czytać. Kanadzawa czuł, jak rośnie w nim zdenerwowanie i zarazem gniew na bezczelnego

porucznika. Czytanie listu trwało kilka minut. Wreszcie Rooge odłożył list i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Stał się pan sławny, generale - zarechotał nagłe. - Bardzo sławny. Ludzie na ulicy wykrzykują pańskie nazwisko...

- Niechaj piekło pochłonie taką sławę - mruknął Kanadzawa, - Ale nie tylko ja jestem taki sławny - dodał po chwili. - Tu wskazał palcem rozłożoną na stole gazetę - wspominając również o moich amerykańskich przyjaciółach. Nie jestem ani mniej, ani bardziej sławny od generała Smuthersa, nie mówiąc już o...

Rooge gwałtownie wstał.

- Zapomina pan, generale - przerwał gościowi - że pańskie nazwisko jest bardziej znane pańskim rodakom, że łatwiej lin je wymówić. Pańscy rodacy nie są zachwyceni tym, że pracuje pan w policji japońskiej. Cóż - wzruszył ramionami - my, Amerykanie, jesteśmy demokratami, z krwi i kości. Szanujemy wolę ludu, a skoro lud powiada, że pan...

- Chwileczkę, poruczniku - Kanadzawa opanował drzenie.- W tej właśnie sprawie przyszedłem tutaj.

- Domyślam się - odrzekł zimno Rooge. - Czy to ma być ta ważna sprawa, o której chciał mnie pan na gwałt zawiadomić. Jeśli tak, to bardzo żałuję, bo nie jestem upoważniony do jej załatwiania. Zresztą, o ile się orientuję, pułkownik Crosby ma zamiar wezwać pana jutro, po swoim powrocie, na rozmowę. Rozumie pan chyba, że ja...

Kanadzawa uśmiechnął się z przymusem.

- Pan, panie poruczniku, jest prawą ręką pułkownika Crosby. Sam mi to mówił. Pułkownik liczy się z pańską opinią we wszystkich sprawach. Dlatego nie czekając na jego przyjazd postanowiłem się zwrócić do pana.

- Hm - mruknął Rooge wracając na fotel. - Wątpię, czy będę mógł być w czymkolwiek pomocny.

- Nie przychodzę z pustymi rękami, poruczniku.

- Och, pan chce mnie przekupić? - obruszył się Rooge.

- Nic podobnego. Są sprawy, w których kilka tysięcy dolarów nie odgrywa poważniejszej roli. - Kanadzawa zmrużył oczy. - Mam pewną propozycję, bardziej konkretną, zdolną zainteresować całe amerykańskie dowództwo. Chodzi o sprawę Fukudy.

Zapadło milczenie. Spoglądali na siebie bez słowa, jakby czytając nawzajem swoje myśli. Z twarzy porucznika znikł ironiczny uśmiech. Na twarzy Kanadzawy nie drgnął ani jeden muskuł.

- Dlaczego nie udał się pan do generała Smuthersa? - spytał wreszcie Rooge, spoglądając uważnie na Kanadzawę.

- Generała Smuthersa nie ma u siebie - drewnianym głosem odparł generał. - Jest na odprawie.

- Mhm - mruknął Rooge. - Rozumiem, o co panu chodzi, generale. Wie pan przecież - dodał uprzejmie - jak bardzo cenimy sobie pańską współpracę. - Wstał i ruszył do drzwi. - Proszę na mnie poczekać kilka minut. Zaraz wrócę.

Kanadzawa nic nie powiedział, ale gdy za porucznikiem Rooge'm zamknęły się drzwi, zatarł ręce i wyraz zadowolenia rozlał mu się na twarzy. Rybka połknęła przynętę. Był przekonany, że Rooge pobiegł porozumieć się z kimś z przełożonych. Ten cały Rooge wcale nie jest taki głupi. Bez słów zrozumiał, że warunki są do przyjęcia. Albo Amerykanie w zamian za informacje o Fukudzie ujmą się za Kanadzawą, albo on Kanadzawa nie chce więcej o Fukudzie myśleć. Niech im szkodzi, ile mu się żywnie podoba. Rooge w lot uchwycił tę myśl i teraz na pewno komunikuje o tym Smuthersowi.

Generał poczuł przyływ dobrego humoru. Cóż, przeżyło się już niejednym raz krach ambitnych planów. Niech tam. Pomoże złapać Fukudę. Widocznie Amerykanie podobnie jak

Riusi nadal nic prawie o nim nie wiedzą. Chyba tylko mają ten fałszywy trop na Osakę. Kiedy Fukuda będzie już siedział i kiedy weźmie się w żelazne karby zbuntowany motłoch z fabryk, wtedy on, Kanadzawa, znajdzie nową drogę do chwały i majątku. Archiwum jednostki 731 z pewnością przyda się Amerykanom. Uśmiechając się błogo do tej myśli, usiadł na krześle w oczekiwaniu na powrót porucznika.

Rooge wszedł do gabinetu zacierając ręce. Zajął miejsce przy biurku i uśmiechając się uprzejmie, zwrócił się do generała:

- Słucham pana, generale Kanadzawa. Co pan ma mi do zakomunikowania w sprawie Fukudy?

Kanadzawa uniósł brwi na znak zdziwienia.

- Sądziłem, że pan mnie zrozumiał, poruczniku. Chciałbym przede wszystkim usłyszeć coś od pana.

Rooge skrzywił się ironicznie.

- My, Amerykanie, nie jesteśmy przyzwyczajeni, aby ktoś stawiał nam warunki. To my je stawiamy.

Kanadzawa wzruszył ramionami.

- Niestety, tym razem nie chodzi o konwenanse dyplomatyczne. Zresztą - zmrużył oczy - sam pan mówił, że jestem sławny, a ludzie sławni mają pewne przywileje.

Rooge aż zatrząsł się ze śmiechu. Podrygiwał w fotelu, wymachiwał rękami, krztusząc się słowami, których nie mógł z siebie wydusić. Kanadzawa, tłumiąc palące go uczucie nienawiści do tego człowieka, który ośmielił się kpić z niego, generała, potomka znanej rodziny samurajów, schylił głowę.

- Pan jest wsparły, mister Kanadzawa - huczał Rooge. - Wspania-ły. Dawno już się tak nie ubawiłem. Ale - spowaźniał - wracajmy do rzeczy. Jako człowiekowi sławnemu - stłumił chichot - wolno panu stawiać pewne warunki. Zresztą my je sami proponujemy. Władze amerykańskie - mówił teraz

głosem pompatycznym i napuszczonym - nie chcą rezygnować ze współpracy z panem. Wprawdzie sytuacja w pańskim kraju nie bardzo temu sprzyja, niemniej jednak gotowi jesteśmy przymknąć uszy na wołanie z ulicy. Potrzebni nam są specjaliści w różnych dziedzinach i niekoniecznie w Japonii. Pańska specjalność bardzo nas interesuje. Rozumie mnie pan?

- Zdaje mi się, że tak. Czy to tylko pańskie zdanie?

Rooge poczerwieniał z oburzenia, ale w milczeniu przełknął obelgę ukrytą w pytaniu Kanadzawy.

- Moje również. Komunikuję je panu jednak głównie w imieniu generała Smuthersa.

Kanadzawa skłonił głowę, kryjąc triumfalny uśmiech.

- Jestem bardzo wdzięczny zarówno generałowi Smuthersowi, jak i panu za tak miłe słowa.

Rooge zabębnił niecierpliwie palcami o szklaną tafelę przykrywającą masywne biurko.

- Sądzę - oświadczył - że ta część naszej rozmowy jest wyczerpana. Czeka pana kariera jako fachowca i eksperta. A teraz ja czekam na pańskie wyjaśnienia. Co pan wie o Fukudzie prócz dawnych sprawek tego człowieka?

Kanadzawa wstał. Powolnym ruchem rozpiął guziki munduru i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął białą kopertę. Rooge śledził uważnie każde jego poruszenie. Kanadzawa nie śpiesząc się wyjął z koperty fotografię i bez słowa położył ją na biurku. Porucznik ujął fotografię dwoma palcami, przyjrzał się jej.

Kanadzawa z zadowoleniem obserwował piorunujące wrażenie, jakie zdjęcie wywarło na poruczniku. Rooge upuścił fotografię, błędnym wzrokiem spojrzął na Kanadzawę, znów schwycił fotografię drżącymi palcami, dolna szczęka opadła mu nagle, a twarz nalała się krwią. Kanadzawa przerażony

szukał w myślach objaśnienia takiego dziwnego zachowania amerykańskiego oficera.

- Kto... Kto to jest? - wycharczał wreszcie Rooge.

- To Fukuda. Poszukiwany przez nas Takeo Fukuda, ukrywający się obecnie pod nazwiskiem doktora Sasaki - pośpiesznie wyjaśnił Kanadzawa.

- Sasaki? Sasaki? - powtarzał bezmyślnie Rooge, mnąc w palcach fotografię. - Fukuda? Sasaki? - I nagle ryknął wściekle.

- Skąd? Skąd pan to ma?

Kanadzawa zmarszczył brwi.

- Dostałem to od swego agenta.

- Kiedy? - ryczał Rooge. - Kiedy?

Wyskoczył zza biurka i chwycił Kanadzawę za ramię, potrząsając - mu przed nosem fotografią.

- Wczoraj - odrzekł gniewnie Kanadzawa usiłując uwolnić się z uścisku porucznika.

- Idioto! - zawył Rooge. - Idioto! Dlaczego pan tego od razu nie pokazał... Wczoraj! - Zatoczył się jak pijany i słaniając się wrócił do biurka. - Dlaczego nie wczoraj - jęknął chwytając się oburącz za głowę. - Co mi teraz po Fukudzie. Za późno, za późno!

- Na co za późno? - wybąkał Kanadzawa.

- On już wie - jęczał Rooge - on wszystko wie. Sam mu pokazywałem. Sam go oprowadzałem.

Spojrzał na generała i znów poczerwieniał z wściekłości. Zerwał się z miejsca, chwycił słuchawkę i gorączkowo zaczął wydawać polecenie zaalarmowania całego G-2. Kanadzawa stał obok nic nie pojmując, z tego co się wokół niego działo.

- Idiota! - wrzasnął Rooge, odrzucając słuchawkę. - Stary kabotyn!

I wybiegi z pokoju, depcąc po drodze pogniecioną fotografię Takeo Fukudy i rzucając zaalarmowanym oficerom rozkazy.

*

W zadymionym pokoju siedziało kilku mężczyzn. Na twarzach poprzez wyraz skupienia i powagi przebijało zdenerwowanie. Od kilku minut nie padło ani jedno słowo. Ludzie siedzieli cicho i tylko raz po raz zerkali na duży, głośno tykający zegar, zawieszony na ścianie.

- Wciąż go nie ma - mruknął jeden z oczekujących.

Pozostali spojrzeli nań gniewnie. Po co powtarzać to, co sam każdy dobrze przecież wie i widzi. To tylko denerwuje, a nerwy i tak są napięte do ostatnich granic. Milczenie jednak ciążyło wszystkim i słowa tamtego były jakby sygnałem do jego przzerwania. Pierwszy odezwał się siwy mężczyzna z wyglądu robociarz.

- Żeby się tylko nie połapali i nie wpakowali go do więzienia. Szukają go przecież od tylu dni.

- Na razie wszystko w porządku - odparł inny, młody o czarnych jak węgiel oczach. - Wiemy, że wyjechał z tym Amerykaninem jego autem. Nikt za nim nie pojechał.

- Kto wie - mruknął ktoś. - Może przygotowali jakąś pułapkę.

Siwy robociarz zmarszczył brwi.

- Nie trza robić paniki, towarzysze. Zrobiliśmy wszystko, żeby sprawa się udała. Nie zaniedbaliśmy chyba żadnego środka ostrożności. No i pamiętajmy, że policja jest dziś bardzo zajęta naszymi demonstracjami.

- Ktoś idzie - rzucił stojący przy oknie mężczyzna. Wszyscy zebrani zerwali się z miejsc. Wszedł niski, szczupły mężczyzna o długich, zwisających wąsach.

- To wy, towarzyszu Ruidzi - mruknął siwy robociarz, nie kryjąc nawet nuty rozczarowania w głosie.

- A ja - odparł przybyły. - Towarzysze przysłali mnie, żebym się dowiedział co słyhać. Jest już materiał? Niepokoimy się.

- Jeszcze nie - odrzekł z ciężkim westchnieniem stary. - My tu też mało ze skóry nie wyskoczmy, tak nas nerwy zzerają. A tymczasem jeszcze nie jest tak późno.

Znów zapadło milczenie. Przybyły doszedł do robociarza i półgłosem odezwa' się:

- Dobrze żeście pomyśleli o przygotowaniu zapasowych maszyn, bo naszej drukarni pilnują. Przysłali z samego rana cenzora i ten siedzi bez przerwy. Ani słowa bez niego nie da rady wydrukować.

- A nikt was nie widział, jakeście tu szli? - zaniepokoił się nagle siwy robociarz.

- Mnie - nowoprzybyły roześmiał się cicho. - Cóż to, nie znacie mnie? Małośmy się z wami przemykali pod nosem policjantów? Nie takim głupi, żeby mnie kto złapał albo wytropił. - Przysunął się bliżej. - Ta nasza zapasowa rotacja pójdzie aż miło. Tylko dostarczcie materiał, a za godzinę dodatek będzie na mieście. Ludzie będą go sobie wyrywali z rąk, a rząd, policja i Amerykanie oszaleją z wściekłości.

Robociarz skinął z uznaniem głową.

- Cieszę się, że wasi ludzie rozumieją, jaka to ważna sprawa. Widzicie, partia przywiązuje do tego ogromną wagę...

- Skoro wam polecono kierować...

- Ech - robociarz zmarszczył się niechętnie na tę pochlebną uwagę i machnął ręką. - Co to ma do rzeczy. Ważna jest

sprawa. Trzeba demaskować wrogów pokoju i ludzkiego szczęścia. Po to zmobilizowaliśmy tylu ludzi.

- A co będzie z tym towarzyszem, na którego czekamy? Mówiliście, że on jeden miał wykonać najważniejszą część zadania.

- Jużemy o nim pomyśleli. Jeżeli tylko uda mu się dobić tutaj bez szwanku, nic mu już nie będzie groziło.

XVII

Piorun z jasnego nieba

Tłum rósł. Z minuty na minutę. Ze wszystkich ulic wiodących na plac wylewały się masy ludzkie. Szli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, ubrani najróżnorodniej. Jedni w strojach narodowych, w barwnych, choć postrzępionych kimonach, inni w kombinezonach robotniczych, jeszcze inni w przybrudzonych koszulach, przepasanych sznurami, które podczas pracy pomagały dźwigać ciężary. Szli robotnicy z fabryk, kolejarze, robotnicy drogowi, tysiące bezrobotnych. Szły kobiety wiodąc ze sobą dzieci, blade, na cienkich nóżkach, o zapadniętych policzkach, na które kładły się już cienie smutku i dojrzałości. Szli urzędnicy z biur i urzędów. Białą plamą odcinała się w tłumie liczna grupa lekarzy i sanitariuszek. Ludzie szli i szli. Zdawało się, że nie ma już na placu miejsca, aby ktokolwiek jeszcze mógł się tu wcisnąć, a jednak ludzi wciąż przybywało. Jakgdyby całe Tokio wylało na ten jeden plac miliony swoich mieszkańców.

Na twarzach ludzkich zastygł wyraz gniewu. Z ust szeroko rozwartych raz po raz wyrywał się okrzyk - potężny i mocny jak grzmot: Pięści, sękate i twarde, unosiły się ponad głowy tłumy. Zaciśnięte dłonie groziły, ochryple okrzyki oskarżały.

Policji nie było widać. Zrozumiała widocznie, że nie starczy jej sił dla rozproszenia tylu tysięcy ludzi, że nie zdoła hukami wystrzałów karabinowych zastraszyć zebranych, stłumić ich gniewu i oburzenia. Jedyne przed potężnym gmachem - siedzibą amerykańskiego dowództwa stał posepny kordon żołnierzy w nasuniętych na oczy stalowych hełmach. Żołnierze trzymali broń w pogotowiu, ciężkie karabiny maszynowe

szczyrzyły swe wąskie gardziele. A tłum huczał gniewnym pomrukiem.

Z rąk do rąk wędrowały gazety, pokryte czarnym, krzyczącym maczkiem druku. Oczy gorączkowo przebiegały po papierze z góry na dół i unosiły się znów z zastygłym wyrazem zdziwienia i oburzenia. Ręce przekazywały gazetę dalej i unosiły się, wygrażając pięściami tym, o których pisano w gazecie.

- To straszne - szeptała jakaś kobieta, ściskając kurczowo ręką dłoń dziecka - to straszne!

Jej szept zlewał się w jedno z szeptem tysięcy kobiet i zamieniał się w groźny szum, jakby fale przyływu waliły w przybrzeżne skały.

Gdzieś pośrodku placu wykwitł nagle nad głowami zebranych czerwony sztandar, załopotał na wietrze i zawisł nad ludzkim mrowiem. Zahuczały okrzyki, powietrze drgnęło od grzmotu oklasków.

Człowiek trzymający drzewce sztandaru miał na sobie wypłowiały, stary mundur żołnierski.

- Słyszysz? - szturchnął stojącego obok sąsiada. - Słyszysz? Ludzie się cieszą, kiedy widzą ten sztandar. On im dodaje otuchy, sił, to wzmaga ich gniew przeciw tym, co chcieliby czerwienią ich krwi zrosić pola i ulice.

- Słyszę - odparł sąsiad. - Skąd ci przyszło na myśl ten sztandar tu przynieść?

Żołnierz uśmiechnął się.

- Nauczyłem się szanować i kochać czerwony sztandar. Widziałem tysiące, setki tysięcy ludzi, którzy sztandar ten uczynili symbolem swej pracy i walki.

- Byłeś w Związku Radzieckim?

- Byłem. Wstyd mi, że trafiłem tam jako jeniec. Tylko nie myśl - dodał żołnierz pośpiesznie - że wstydzę się przegranej.

Wstyd mi, że mogłem wystąpić z bronią w ręku przeciw ludziom, którzy walczyli o swoją wolność, którzy walczyli przeciw swoim ciemnościom i moim. Wstyd mi, że zamiast strzelać do tych, co tuczyli się moim potem i krwią, strzelałem do moich braci - robotników i chłopów, którzy wypędzili ze swego kraju niewolę i wyzysk.

- Nauczyłeś się wielu rzeczy - wtrącił siwy kolejarz.

- Bardzo wielu i jestem z tego dumny - skinął głową człowiek w żołnierskim mundurze. - Nauczyłem się dostrzegać wroga i rozpoznawać przyjaciół. Nauczyłem się nienawidzić morderców choćby mi oni sto tysięcy razy mówili o Japonii, o imperium... - Wyszarpnął z kieszeni pomietą płachtę nadzwyczajnego dodatku. - Tu - zawołał ochrypłym głosem - tu są dowody zbrodni. Rzeźmieszki pokumały się przez ocean. Jeden mają cel i ci z Dażjbatu i ci od Morgana - wyssać z nas krew, zamienić w niewolników, rabować i zabijać. A my chcemy żyć. Inaczej niż żyliśmy. Lepiej. Chcemy być wolnymi ludźmi, chcemy pracować dla siebie, dla...

- Bracia i siostry...

Głos wołającego z trybuny sekretarza zawisł nad wielotysięcznym tłumem. Ludzie zamilkli. Ucichły rozmowy. Tylko czerwone płótno sztandarów łopotało na wietrze.

- Siostry i bracia! - wołał sekretarz. - Zebraliśmy się tu, by dać wyraz swemu oburzeniu na tych, co przygotowują straszliwą śmierć dla milionów ludzi! Zebraliśmy się - dziesiątki tysięcy mieszkańców Tokio, by powiedzieć zagranicznym i rodzimym siewcom dżumy - nie chcemy wojny!

Tłum zahuczał. Przez ogromny plac przetoczył się wielogłosy krzyk: „Nie chcemy”. Ledwie milkł w jednym końcu placu, już podchwytywano go dalej.

Sekretarz stał w milczeniu czekając, aż przebrzmia okrzyki.

- Nie chcemy wojny! Nie pozwolimy przekształcić Japonii w pole doświadczalne dla siewców chorób.

I znów odpowiedziały mu głosy:

- Nie pozwolimy!

Echo okrzyków toczyło się przez plac, wdzierało się między domy, w ulice wypełnione ludzkim mrowiem. Powtarzano je po stokroć wszędzie, gdzie ludzie gorączkowo czytali straszliwe wieści opublikowane w gazecie.

Manifestacja trwała. Tłum wołał gniewnie, groził wznieścionymi w górę, zaciśniętymi pięściami podpalaczom świata. A wiatr kołysał pieszczotliwie czerwone sztandary, niosąc w świat potężne wołanie: - Precz z siewcami dżumy!!!

Samochód pędził szybko. Pułkownik Crosby rozparty na poduszkach tylnego siedzenia drzemał uśmiechnięty. Powodów do zadowolenia nie brakło. Wracał z tajnej konferencji przemysłowców amerykańskich i japońskich, w której brał udział z ramienia dowództwa sił zbrojnych USA. Konferencja przeciągnęła się do późnej nocy, ale czy to ma znaczenie, skoro załatwiło się tyle ważnych spraw. Japończycy początkowo trochę się boczyli. Nic dziwnego, nie uśmiechała im się rezygnacja z części dochodów na rzecz amerykańskich businessmenów. Ulegli jednak w obliczu argumentów, wysuniętych przez przedstawicieli przybyłych zza oceanu. Wiedzą przeleż, że ruch komunistyczny - Crosby określał tak wszelkie przejawy sprzeciwu wobec woli właścicieli fabryk - szerzy się w Japonii; z zastraszającą szybkością Japończycy są dość pojętni, by zrozumieć, że bez pomocy Ameryki, bez żołnierzy amerykańskich, całe ich cesarstwo nie jest w gruncie rzeczy funta kłaków warte. Chiny są dostatecznie przekonującym argumentem. Dlatego po pewnych targach porozumienie zostało zawarte, przy czym Crosby'emu udało się uszczknąć niezły udział w dochodach dla swojej firmy.

Drzemiąc w samochodzie obmyślał treść listu, jaki jutro rano wyśle do brata. Był zadowolony i dumny z siebie. Wbrew powszechnemu mniemaniu potrafił dyplomatycznie wyprowadzić w pole japońskich przemysłowców.

Samochód wjechał w ulice willowej dzielnicy Tokio, gdzie znajdował się w ogródku domek oddany do użytku Crosby'emu. Wsiadając pułkownik zauważył wzmożoną ilość patroli ochraniających mieszkania amerykańskich oficerów. Był jednak zbyt zmęczony, by się tym zainteresować. A na dobytek w głowie czuł lekki szum, wywołany kilkunastu obowiązkowymi kieliszkami, opróżnionymi podczas kolacji.

Wszedł do swego pokoju, rozebrał się szybko i wskoczył do łóżka. Pomyślał, że warto byłoby się umyć, ale opanowało go zmęczenie nie do przewyciężenia. Po chwili zachrapał, pogrążony w ciężkim śnie. Śniło mu się, że jest w Nowym Jorku, że przewodniczy w zastępstwie brata na zebraniu zarządu firmy. Właśnie opowiadał o wzroście dochodów spowodowanych rozwojem „ośrodka BB”, gdy zadzwonił telefon.

Crosby otworzył oczy. Chwilę trwało zanim z krainy snu wrócił na jawę. Sięgnął po papierosa, zły że przyjemny sen trwał tak krótko. Nie zapalił jednak papierosa. Usłyszał gwałtowne terkotanie dzwonka u drzwi wejściowych.

- Kogo tam diabli niosą po nocy - krzyknął niechętnie.

Usłyszał człapanie kroków ordynansa i natarczywe, alarmująco brzęczenie dzwonka. Uniósł się na pościeli, trzymając w palcach niezapalonego papierosa. Na dole trzasnęły drzwi, zahuczał czyjś znajomy głos i zaraz potem ciężko zadudniły kroki na schodach Crosby zaświecił lampę. Na chwilę zmrużył oczy. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Smuthers.

Crosby chciał go przywitać wymysłami za spóźnioną wizytę, ale wyraz twarzy generała sprawił, że pułkownik wyskoczył z łóżka.

- Co się stało, Smuthers? - zapytał przestraszony.

- Nie wiesz nic? - Smutheip powiedział to półgłosem. Wyciągnął do pułkownika rękę, w której trzymał złożoną gazetę i zachrypiał:

- Przeczytaj to sobie, głupcze. Przeczytaj! Znasz przecież japoński.

Crosby chwycił gazetę. W miarę czytania dolna szczęka mu opadła, a ręce zaczęły drżeć. Na chwilę oderwał wzrok od papieru, spojrzął na Smuthersa i wrócił do czytania.

*POTWORNY PLAN WROGÓW LUDZKOŚCI! STRASZLIWA
TAJEMNICA PODPALACZY ŚWIATA AMERYKAŃSCY I JAPONSCY
ZBRODNIARZE PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO WOJNY BAKTERIO-
LOGICZNEJ!*

krzyczały nagłówki.

Potem następował tekst zaczynający się od słów:

„Obłąkanym podpalaczom świata marzy się nowa wojna. Opętani szaleńczą myślą o podboju świata, przerażeni wzrostem sił obozu pokoju, szukają oni gorączkowo nowych narzędzi zbrodni nowych sposobów masowego zabijania.

Ludzkość zdemaskowała atomowych szantażystów i postawiła pod pręgierz tych którzy chcieliby powtórzyć nieludzką zbrodnię popełnioną w Hiroszimie i Nagasaki. „Tajemnica” bomby atomowej nie jest żadną tajemnicą. Apel Sztokholmski był dla atomowych szaleńców groźnym ostrzeżeniem. Podżegacze świata nie cofają się jednak przed żadną zbrodnią. Weszli oni na drogę przygotowywania wojny

bakteriologicznej. Naród japoński przeklina imiona takich morderców jak Isii ale imperialiści amerykańscy i japońscy sławią je i czczą. Weszli oni na drogę, którą kroczył Isii. W oparciu o ukrywanych przed wymiarem sprawiedliwości wspólników Isii założyli Amerykanie laboratorium bakteriologiczne w pobliżu Tokio...”.

Dalej następował dokładny opis fabryki śmierci. Wymienione były nazwiska najpoważniejszych współpracowników, kilkakrotnie powtarzały się nazwiska: Crosby i Rooge Artykuł kończył się słowami:

„...Zdemaskowanie imperialistów, wydarcie im tak pilnie strzeżonej potwornej tajemnicy jest zabójczym ciosem wymierzonym w ich zbrodnicze plany. Ale nie jest to cios śmiertelny. Musimy jeszcze silniej zewrzeć szeregi bojowników pokoju. Musimy jeszcze bardziej nieustępliwie walczyć przeciw podpalaczom świata. Musimy ich demaskować na każdym kroku, by wytrącić im z rąk wszelką broń, jaką chcieliby się posłużyć w zabijaniu ludzi. Musimy uczynić wszystko, by spętać nogi i ręce siewcom dżumy. Od każdego z nas zależy zwycięstwo wielkiej sprawy - pokoju na całym świecie!”.

Crosby skończył czytać. Ręce mu opadły. Stał niemy i przerażony w rozchełstanej pidżamie, z włosami zmierzwionymi, Patrzył z przestachem na Smuthersa.

- Co... co teraz będzie? - wyjąkał wreszcie.

Smuthers zaklął.

- Wszystko przez ciebie - wysyczał. - Durniu! Przez ciebie. Nie schwytałeś Fukudy i teraz żłop zupkę, którą on ci nawarzył. Zresztą - znów zaklął - ty mnie nie obchodzisz. Pójdiesz na śmietnik, ale nasze plany - uniósł ręce do góry i potrząsnął nimi nad głową Crosby'ego. - Przez ciebie wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Czy wiesz, że musieliśmy w ciągu kilku godzin zlikwidować nasze laboratorium?

Musieliśmy wszystkie budynki i część sprzętu wysadzić w powietrze, by zatrzeć ślady!

Crosby opadł na łóżko. Szczękając zębami wypił kilka łyków wody. Smuthers długimi krokami chodził po pokoju.

- Tu sprawę przegraliśmy - grzmiał. - Po raz drugi założyć ośrodek w Japonii... tego się nie da. Rozumiesz? A dziś jest coraz mniej miejsca na świecie, gdzie możemy się czuć bezpieczni. Żyjemy na wulkanie, a przez ciebie nastąpił jeszcze jeden wybuch. Wiesz, co to znaczy? Coraz bliższy jest dzień, w którym nastąpi wybuch ostatni i czerwona lawa zaleje nas, zmiecie z powierzchni ziemi.

Crosby ścisnął palcami czoło. Smuthers spojrzął na zegarek, po czym obrzucił pogardliwym wejrzeniem pułkownika.

- Czas już na mnie Trzeba teraz naprawiać wszystko to, co zepsuła twoja nieudolność. Trudne to zadanie. Bardzo trudne. La« wirujemy nad przepaścią, bronimy się, by nie dać się w nią zepchnąć. A to jest... niemożliwe. I zdaje mi się, Crosby, że nie uratuje nas przed tym ani bomba atomowa, ani bomba napełniona bakteriami dzumy, ani żadna inna bomba. Oni - z wściekłością kopnął nogą leżącą na podłodze gazetę - oni mają chyba rację mówiąc, że zwycięstwo będzie należało do nich.

Zbliżył się do okna Na wschodzie niebo różowiło się już blaskiem jutrzni. Na wilgotną zielen liści kładły się pierwsze odblaski świtu. Budził się nowy dzień. Nocny mrok niechętnie ustępował mu miejsca. Dzień wstawał jasny i piękny, rześki i słoneczny, kolejny dzień walki o szczęście człowieka.